

A photograph of a staircase with a lit lantern on a step. The scene is dimly lit, with the lantern providing a warm, yellow glow. The staircase has a dark metal railing and wooden steps. The overall atmosphere is mysterious and somber.

HUBERT
HADDAD

TEORIA
NIEGRZECZNEJ
DZIEWCZYNKI

Hubert Haddad

TEORIA NIEGRZECZNEJ DZIEWCZYNKI

przełożyła Marta Olszewska



Żywej pamięci Élie Delamarre-Deboutteville

Część pierwsza Hydesville

*Te rzeczy są nieuchronne;
kiedy się przydarzają, należy je przyjąć¹.*

Jan van Ruysbroeck

I

Pieśń Irokezów

Promienie zachodzącego słońca wpadały przez okna na piętrze, zalewając światłem schody. Kate siedziała na stopniu z surowego drewna i obserwowała kurz wirujący wewnątrz kryształowej włóczni, jakby zawieszony w poprzek domu. Zafascynowana, wstrzymywała oddech. Każdy pyłek sprawiał wrażenie, jakby pokonywał własną, precyzyjnie określoną trajektorię, w roztańczonym towarzystwie maleńkich sąsiadów, których było tysiące, miliony, więcej niż gwiazd nieruchomych i tych spadających w bezkieszcycowe noce. Kate tkwiła w bezruchu, nie chcąc wywoływać turbulencji, i usiłowała śledzić wzrokiem jedno wybrane ziarenko kurzu, nie tracąc go z oczu podczas kapryśnego lotu, lecz po chwili to już nie było ono, straciła je na zawsze, a słoneczna włócznia archanioła przeszła boleśnie jej czoło, oświetlając dno oczodołów. W ten jesienny poranek zebrała tyle polnych kwiatów do udekorowania mogiły swojej suki Iroise, że do ściśniętego gardła podchodziła jej fala mdłości, a całe ciało wciąż piekło.

A przecież mamusia ją ostrzegała.

Wtem słyhać blisko skrzypnięcie schodów i gwałtownie zapada noc: dwie lodowate dłonie nakrywają jej oczy.

– Zostaw mnie w spokoju – mówi Kate. – Widziałam cię.

– Czyżbyś miała oczy z tyłu głowy?

Margaret siada na zakręcie schodów, tuż nad młodszą siostrą. Górna część jej ciała gasi promień słońca i tłumi galaktyczne zamieszanie.

– Przeszkadzasz mi – mówi Kate. – Myślałam o Iroise...

– Ach, Iroise, biedne stworzenie! Nie przejmuj się, biega sobie teraz po psim niebie. Nie istnieje piekło dla zwierząt, przecież wiesz.

– Piekło? Wierzysz w to? Po co Bóg miałby się męczyć pieczeniem zmarłych przez całą wieczność? Wystarczy zapomnieć ich w ziemi raz na zawsze.

– Widzisz, Kate, to niemożliwe, nawet dla Boga. Dusze są nieśmiertelne!

Wieczór gęstniał nad Hydesville. Z początku niebieskawy jak powierzchnia stawu za dnia, później fioletowy, wreszcie niemal czarny. Z głębi schodów na dziewczynki zsunął się cień, zacierając powoli ich

sylwetki. Kate nie widziała już twarzy siostry. Tylko na zębach i w oczach migotały jej jeszcze żywe odblaski, upodabniając ją do niedźwiadka w peruce z grubych czarnych warkoczy. Kate wpatrywała się w nią uważnie tak długo, aż wydało jej się, że dostrzega okrutną maskę rozżarzającą się od wewnątrz, i krzyknęła, targnięta dreszczem.

– Co się stało? – przestraszyła się Margaret.

– Nic, nic, to przez ten cień...

– Ależ mnie przestraszyłaś, myślałam, że zobaczyłaś demona na moim miejscu.

Margaret przyjrzała się młodszej siostrze z zakłopotaniem i rozdrażnieniem. Lubiła małą Katie; była taka ładna i czasami zabawna, ale najwyraźniej brakowało jej jednej albo i dwóch klepek. Z pewnością była bystra, zgadzała się z tym nawet Leah, ich najstarsza siostra, która wyjechała do Rochester; mimo to jej ciągle odrywanie się od rzeczywistości i osobliwe spojrzenie kocich oczu, które gubiło się w oddali, zdradzały coś więcej niż roztargnienie, w każdym razie coś innego, jak gdyby jakaś jej część śniła na jawie. W wieku jedenastu lat Katie przypominała aniołka, jednego z tych pełnych wdzięku ptaków o ludzkiej twarzy, których miriady zaludniają promienne przestrzenie, jak to kiedyś opisał wielebny Henry Gascoigne podczas niedzielnej kazania.

Nagle wokół zapanował spokój. Słysząc było tylko czyste, metaliczne odgłosy dobiegające z kuchni, gdzie babcia, co dopiero ozdrowiała z uciążliwego kaszlu, krzątała się, przygotowując kolację. Na pastwiskach ryczały krowy, konie ciągnące dyliżans na żelaznych kołach parskały, pokonując pędem Długą Drogę wiodącą do Rochester. Kiedy wszystko ucichło, rozległo się beczenie owiec i kóz, oznajmiające powrót Pecquota, przygłupiego pasterza przezywanego tak z powodu mocno czerwonego oblicza, którego wygląd i małpie grymasy budziły strach wśród dziewcząt z Hydesville. Ojciec Fox, który też wrócił z pastwisk i pól, układał narzędzia w stajni, gdzie jak co wieczór rozsiadł Old Billy'ego.

Kate objęła ramionami podkulone kolana i wybuchnęła płaczem.

– Co się dzieje? – zdziwiła się siostra, gdyż przed chwilą jeszcze chichotały w ciemności.

– To przez braciszka! Tak bardzo za nim tęsknię.

– On też jest w niebie.

– Myślisz, że z Iroise?

– W każdym razie gdzieś w pobliżu, dzieci nudziłyby się same ze starszymi.

- Przecież na cmentarzu położyliśmy go na ciebie dziadka.
- Ciii! Historie szkieletów nie mają nic wspólnego z życiem wiecznym!

Margaret zamilkła, wspominając ich dawne życie, nie tak znów odległe w czasie, w innej osadzie hrabstwa Monroe, dwanaście mil od Rochester. Nawet kiedy się ma piętnaście lat, jeśli jest się uzależnioną od dorosłych, nie jest się wartą więcej od zwykłego mebla. Maggie miała tam dwie przyjaciółki, powierniczki, a nawet narzeczonego, tak na niby, ślicznego Lee, za którym szalały wszystkie dziewczęta w jej wieku, aż nagle, z dnia na dzień, bez ostrzeżenia, opróżnia się dom od piwnicy po strych przy pomocy sąsiadów, łąduje się wszystko jak popadnie na wielki wóz i koniec z pięknymi przyjaciółkami i miłośkami, mimo obietnic ponownego spotkania przy okazji festynu parafialnego albo rodea. „Trzy przeprowadzki to tyle co jeden pożar” – przeczytała słowa Benjamina Franklina w starym almanachu „Poor Richard”, wydawanym za czasów jej babki. Cała sterta tych pism leżała pod szafą w pokoju rodziców. Kiedy ma się piętnaście lat, jedna przeprowadzka znaczy tyle ile wszystkie zawody miłosne razem wzięte. Katie zdawała się mieć tylko jeden żal, głęboki jak wyrzut sumienia: że tam, w grobie, porzucono braciszka. Jeśli chodzi o resztę, wykazywała całkowitą obojętność albo też po mistrzowsku ukrywała swoją grę.

Teraz nagle odwraca się i podnosi ku siostrze czujne spojrzenie nocnego ptaka.

– Myślisz czasami o synu gospodarza?

– O kim? O Lee? – pyta zdumiona Margaret, drżąca, ze wzrokiem wbitym w młodszą siostrę.

W dole migocze chybotliwy płomyk lampy oliwnej.

Mamusia przestawia krzesła. Słyszczyć skrzypienie butów ojca, który – nieco już podpity – krząta się przy palenisku. Zapach zupy na boczku dociera aż na schody. Na zewnątrz wyje wilk, puszczyk pohukuje, a porywisty wieczorny wiatr miesza powietrze i przepędza choroby. To pieśń Irokezów, którą nocne dusze powtarzają od zamierzchłych czasów. Kate słyszy ją wyraźnie przez drewniane ściany.

*Wyrażamy wdzięczność gwiazdom i księżycowi
Które dają nam jasność po odejściu słońca
Wyrażamy wdzięczność naszemu przodkowi He-no
Za to, że chronił swe dzieci przed czarownicą i wężem
I że dał nam deszcz².*

II

Dziennik Maggie

Mój pamiętnik nie jest jeszcze zbyt opasły. Obiecałam sobie co wieczór spisywać w nim moje wrażenia, począwszy od naszej przeprowadzki do Hydesville. (Ależ żałośnie czułam się na wozie wyładowanym skrzyniami i meblami, znieczeka pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia, na oczach roześmianych pastuchów! Czy to możliwe, żeby przeprowadzka była przyczyną tak silnego wstydu?). Mieszkańcy Hydesville zachowują się w stosunku do nas naprawdę uprzejmie. Podejrzewam wielebnego Gascoigne'a o to, że przed naszym przyjazdem wygłosił im na ten temat kazanie. Zresztą jesteśmy metodystami, jak większość tutejszych ludzi. Zerwanie z naszymi dotychczasowymi zwyczajami tak naprawdę mi nie przeszkadza. Ale nieobecność Lee i moich drogich przyjaciółek dotyka mnie dogłębnie. I ten smutek... nic nie potrafi go rozwiać. Przeciwnie, rzekłabym, że rozgascza się on na dobre w Hydesville. Chodzi o to, że nie lubię naszego nowego domu. To nędzny budynek z najzwyczajszych desek i dachówek, nawet bez ganku, z piwnicą z klepiskiem i strychem wyścielonym kurzem. Farma położona jest na uboczu miasteczka, przy Długiej Drodze, i przypomina porzuconą stodołę, mimo widocznego ogrodu warzywnego i ogrodzenia. Na tyłach domu, pod zielonymi dębami i wysokim cedrem, w budynku nieco przechylonym w stronę stawu ze względu na osuwające się podłoże, mieszczą się pod jednym dachem stajnia, obora i szopa na siano. Dzisiejszego popołudnia, po lekcji z panną Pearl, córką wielebnego, Katie i ja badałyśmy dzikie brzegi stawu, który ciągnie się aż pod las i wdziera weń coraz ciemniejszą wodą. Ciekawe, że w stawie nie odbijają się chmury; można by przysiąc, że wszystkie uczennice zmarłe na gruźlicę, ospę i zapalenie opon mózgowych wylały tam zawartość swoich kałamarzy. Katie zaczęła śpiewać swoim wysokim głosem. Sądząc po poruszeniu w wodzie i po bąbelkach, karpie i szczupaki podążały jej śladem, płynąc wzdłuż brzegu.

Pierwszego wieczoru, kiedy położyłyśmy się w naszym nowym pokoju na piętrecie, deszcz i wiatr chłostały okno pozbawione zasłon. Słysząc było jęki starego dachu. Gdzieś w oddali, wśród wzgórz, grzmiało. Po skwarnej końcówce lata jesień naładowana była elektrycznością. Błyskawice

migotały bezgłośnie na całym niebie. Kiedy okno wypełniało się niebieskawym blaskiem, dziwaczne cienie prześlizgiwały się po ścianach i suficie. Przykryta kołdrą po szyję, leżałam przerażona, jak króliczek pod skrzydłem puszczyka. Tuż obok mnie zobaczyłam błysk w otwartym oku Kate, jej źrenicę czarną jak skarabeusz. Nie bała się. Kate lęka się tylko samej siebie. „Czy ty nigdy nie sypiasz?” – ofuknęłam ją zduszonym głosem. Roześmiała się łagodnie, po czym westchnęła i powiedziała: „Wiesz, co mówią we wsi?”. I nie czekając na odpowiedź, z pośpiechem małej dziewczynki wymyśliła mi tę historię nawiedzonego domu. Poprzedni mieszkaniec farmy, niejaki pan Weekman, miał podobno celowo zataić ją przed tatą Foxem... Przy pierwszym grzmocie zaczęłam trząść się niczym gałęzie drzew targanych wichurą. Moja siostra zamilkła, czujna. Jej twarz wydała mi się nagle śmiertelnie blada. Syn wdowy z Bout du Haut, wielki gamoń, pod pretekstem przekazania nam kluczy od pana Weekmana, który poszedł sobie w diabły ze swoimi końmi i krowami, przyglądał się naszej przeprowadzce, siedząc na skraju drogi, w końcu jednak zdołał odciągnąć moją siostrę na stronę. Zazwyczaj zwalnia się ją z trudniejszych prac ze względu na delikatne płuca. Samuel Redfield, wdowi syn o foczej twarzy, wykorzystał okazję, żeby jej opowiedzieć, jak to dom ten przynosi nieszczęście, jak to nocą sam się przemieszcza, pełen skarg, podrapanych pazurami ścian i podłóg, ruchomych świateł i widziadeł; poprzedni mieszkaniec podobno wielokrotnie chorował na żółtaczkę, zanim zdecydował się wyprowadzić. Ja, która jestem niewiele bardziej uczona niż mamusia albo Old Billy, śmiałam się do łez. To tylko zabobony Irokezów albo Szkotów, nic więcej. Oto co sobie z początku powiedziałam. Obcy dom zawsze budzi niepokój; myślimy o ludziach, którzy w nim mieszkali i którzy tu umarli. Zmarłych jest zawsze więcej niż żywych – gdyby można było ich zobaczyć, byłoby to przerażające: zwarty tłum, jak podczas rodeo. Nieznany dom trzeba poskromić, nie dać się z niego wyrzucić po ośmiu sekundach, jak z grzbietu byka albo dzikiego konia.

Ojciec Fox chyba nie czuje się tu najlepiej, wraca coraz później z pastwiska albo z szynku, pije znacznie więcej niż dawniej, często słyhać go, jak zrzędzi bez większego powodu. To właśnie przez jego reputację pijusa musieliśmy opuścić Rapstown. Wszystkie pijaczyny w okolicy były jego przyjaciółmi. Nie mógł wyjść z domu, żeby jakiś kowboj nie wziął go pod ramię i nie zaciągnął na jednego. Tutaj, w Hydesville, jak zdążyłam zauważyć, mężczyźni są lepiej pilnowani przez żony lub matki: bigotki i dewotki wielebnego Gascoigne'a. Kościół metodystów chce, byśmy rośli

w wierze, i zaleca umiarkowanie we wszystkich dziedzinach życia – to właśnie głoszą w ubiegłą niedzielę. Nie powinno się być nikomu nic dłużnym, a szczególnie sprzedawcy rumu i whisky, trzeba też kochać się nawzajem – oto w skrócie doktryna pastora, rosłego wdowca o oczach czarnych jak węgiel i z wiecznie uniesionym w górę palcem wskazującym. Nosi wysokie buty, czarny kapelusz i nakrochmalone kołnierzyki. Kiedy się odezwie, można by przysiąc, że przetacza się grzmot. Jego oczy wówczas płoną i rzucają błyskawice. Sędzia, który chciałby nas wszystkich wysłać na szubienicę, nie zachowywałby się inaczej.

Panna Pearl, jego córka, w niczym go nie przypomina, jest równie jasna jak on ciemny, cała jak płatek róży. Jej włosy, wargi i oczy lśnią niczym miód. Ale mimo swoich osiemnastu lat ma posłuch w klasie: to zasługa pastora. Mówi się, że jej matka cierpiała na melancholię. Takie ładne słowo, wydaje się nieszkodliwe. Czyżby chodziło o to, że wskutek długotrwałego odczuwania smutku człowiek zaczyna czerpać z niego swego rodzaju przyjemność? Tak jak ten, który pije, rozsmakowuje się w swoim nieszczęściu. A mimo to Violet, raz egzaltowaną, a raz ponurą żonę pastora, znaleziono pewnego zimowego poranka w stawie. Rzuciła się do wody wieczorem, w koszuli nocnej, tak powiadają. Myśliwi zmierzający w stronę lasu, zawiadomieni przez jękającego się z emocji Samuela Redfielda, rychło dostrzegli w wodzie ludzki kształt. Pani Gascoigne leżała tuż pod powierzchnią, zasłonięta szybą lodu. Koszula podwinęła się aż na twarz, pozostawiając ją nagą niczym wielka, słodkowodna ryba bez łusek. Lily Brown, najstarsza z uczennic panny Pearl, opowiedziała mi, że pastor publicznie oskarżył się o brak miłosierdzia dla nieszczęsnej kobiety. Okazał skruchę podczas niedzielnego nabożeństwa, po pogrzebie. Później, z upływem czasu, stał się pochmurny, zwrócił się przeciw wiernym i groził im piekłem na ziemi, cierpieniem istot pozbawionych ideałów, przypominając, że życie wieczne zaczyna się w chwili naszych narodzin. Przez wiele miesięcy co niedziela – tak twierdzi Lily Brown – grzmiał i potępniał całe miasteczko. To był jego sposób na przeżycie żałoby. Pewnej niedzieli, straszliwie wychudzony, z czarnymi włosami sterczącymi na głowie i nieogolony, ogłosił odpuszczenie grzechów, przysięgając, że wszyscy ludzie zostaną zbawieni w Chrystusie.

Pojawiliśmy się w miasteczku, nie znając jego dramatów. Ale młodzi ludzie szybko we wszystko nas wtajemniczyli. Lily opowiedziała mi o nieszczęsnym Joe Charliem-Joe, synu byłego niewolnika z rancza Mansfield, którego powieszono na wielkim dębie w Pré-Courant za to, że

zabrał piękną Emily na spacer w dolinę. Zanim wzięli się do dzieła, linczujący mieli zmusić dziewczynę do przyznania się, że ją pocałował. Skoro skradziony całus kosztował młodych ludzi pętlę na szyję, jak mieliby się znaleźć chętni do ożenku? Chociaż oczywiście nie wszyscy są czarni. Piękna Emily Mansfield musi mieć ogromne wyrzuty sumienia. Z jej winy niespełna dwudziestoletni czarnoskóry poszedł do nieba z pocałunkiem w charakterze wiatyku.

Gdyby mój drogi Lee był czarnoskóry, ludzie z Rapstown mieliby więcej niż jedną okazję, żeby założyć mu pętlę na szyję. Na samą myśl o tym łzy napływają mi do oczu. Obiecaliśmy pisać do siebie codziennie. Moje listy pachniały lawendą i były zdobione płatkami kwiatów. Po tygodniu znudziłam się: nie dostałam niczego w zamian, ani jednego słowa. Śnię o Lee niemal każdej nocy. Jak go opisać? Ma jasne, zrudziałe na słońcu włosy i orzechowe oczy. W moim śnie jedziemy na oklep na lśniącym koniu czystej krwi i, co niemożliwe w rzeczywistości, oboje trzymamy go za długą grzywę, jakbyśmy siedzieli obok siebie. Rumak galopuje takim pędem, że doganiamy zachodzące słońce i nagle nasz wierzchowiec znika w przepaści, a ja dosiadam Lee zmienionego w konia. Czuję, że lada chwila amazonka i jej wierzchowiec staną się jednością i sięgną słońca, wykrzykując swoją radość. W tym właśnie momencie budzę się cała złana potem, z mieszaniną uczuć szczęścia i niespełnienia. Jak wytłumaczyć podobny sen?

Tej nocy szkielec domu znów trzeszczał. Na pewno z powodu wiatru z północy. Północny wiatr wślizguje się między deski ścian, przez szpary w drzwiach i oknach, wciska się w przewód kominowy. Jest przyczyną nagłych zgonów, powiadają. Szczególnie jesienią. Zmiata zeschnięte liście i dusze. Dręczona jego zawodzeniem, Katie mówiła przez sen. Coś o demonie z diabelskimi kopytami. Po czym zaczęła cichutko nucić:

Och! to chłopak!

O zgrozo! to chłopak!

To skrzat, to czart!

III

Punkt widzenia pijaka na saloon z naprzeciwka

Robert McLeann, marshal Hydesville, mając za jedyne towarzystwo butelkę whisky, świętował wymarsz bandy łowców nagród w stronę Wielkich Jezior, szlakiem słynnej „kolei podziemnej”, którym zbiegli niewolnicy ze stanów południowych podążali ku kanadyjskiej granicy. Włóczędzy ci nie wahali się nabijać sobie kiesy, łapiąc wolnych czarnoskórych, niezdolnych dowieść swoich praw przed nieuczciwymi sędziami, opłacanymi po dziesięć dolarów za głowę. Przy zbiornikach z wodą znajdowała się stodoła służąca za „stację”. Rodzina składająca się z ośmiorga dzieci i trzech kobiet, ukryta tam przez mormońskich pionierów, którzy sami ocaleli z rzezi w Missouri, zdołała zbiec przetartą trasą do innych kryjówek, tymczasem mormoni zaokrętowali się w nowojorskim porcie, jak ich przodkowie na USS Brooklyn, w szalonej nadziei, że zdołają dotrzeć przez przylądek Horn na przeciwległe zbocza Gór Skalistych. Marshal, wrogo nastawiony do przyjętej przez Kongres absurdalnej ustawy o kompromisie, nie miał zamiaru wyświadczać na swoim terytorium jakiegokolwiek przysługi łowcom niewolników. Miał już i tak dość roboty z przygodnymi awanturnikami, z napływającym nieprzerwanie strumieniem wygłodzonych imigrantów poszukujących edenu, zrujnowanymi rodzinami powracającymi z Zachodu i zabójcami Indian zamieszanych w handel bronią.

Nadeszła godzina, gdy wzgórze Irokezów zniknęło wśród mgły, a październikowe słońce barwiło czerwienią fasady domów i kurz wzbijany przez wozy powracające z pól. Z okna swojego biura McLeann, którego umysł był już lekko przyćmiony alkoholem, zobaczył, jak tata Fox zsiada ze swojego konia, przywiązuje go do belki przy poidle i utykając, kieruje kroki w stronę położonego po przeciwnej stronie ulicy saloonu. Mężczyzna i jego wierzchowiec byli spragnieni. Poznał to po przygnębieniu jeźdźcy i przypomniał sobie poprzedniego lokatora farmy przy stawie, starego Weekmana, który też co wieczór przemierzał drogę do szynku takim samym regularnym krokiem. Ów były łowca bizonów okazał się dobrym farmerem, jednak po osiedleniu się przy Długiej Drodze, po stracie żony i kilku latach bez większych zmartwień parę razy zapadł na żółtaczkę, cierpiał na

tachykardię, nawiedzały go ostre ataki dreszczy i dotknęło przedwczesne siwienie. Nigdy nie spieszyło mu się do domu, opowiadał więc w szynku o swoich rozterkach samotnego wdowca: wydarzyło się coś niepojętego – dom porozumiewał się z nim odgłosami i niemal niezauważalnymi ruchami, nocą trzeszczał, w gęstym mroku migotały płomyki. Weekman zaczął więc chodzić spać ze zwierzętami w szopie; do domu wracał dopiero nad ranem, żeby się umyć i zjeść śniadanie. Lęk go odmienił, upodobił do jego koni: twarz mu się wydłużyła i byle co go płoszyło. Wreszcie zdecydował się opuścić Hydesville. Zabrał z sobą meble i ekshumowaną trumnę z żoną.

Marshal potarł zapałkę, żeby ożywić resztkę cygara. W jego zawodzie ludzki strach był raczej korzystnym zjawiskiem, trzymał obywateli w ryzach. Pokój zależał w gruncie rzeczy od niemieszania się do cudzych spraw, a porządna doza lęku sprawiała, że wszyscy mogli lepiej spać. Niemniej jednak nie było nic gorszego i bardziej zagrażającego porządkowi publicznemu niż lęk przesadny, a szczególnie lęk przed nieznanym, który drąży po cichu mężczyzn i kobiety skulonych wokół jednej wieży kościelnej. Ci, mimo wzajemnej nieżyczliwości, zawsze gotowi są obrócić się przeciwko pierwszemu, który nie należy do ich stada. McLeann sam miał już parę razy okazję tego doświadczyć. Na przykład owego przeklętego dnia, kiedy nie zdołał powstrzymać zbiorowego zabójstwa na młodej Mohawce, która z niewiadomych przyczyn zbiegła z rezerwatu położonego nad Jeziorem Dwóch Gór. Na niekorzyść dziewczyny przemawiały jej diabelska uroda i okoliczności: epidemia tyfusu dotknęła rodziny niedawno przybyłych w te okolice irlandzkich imigrantów. Indiankę przywiązano do drewnianego krzyża i spalono żywcem w zwirowni, a ciało zakopano w piasku na głębokości trzech metrów. Gorączka głodowa nie opadła mimo to wśród purytanów. Pod pretekstem, że opętały ich złe duchy, wieszano dawniej dziesiątki niewolników, miażdżono ich pod skałami, jak w Salem i w zatoce Massachusetts niespełna sto lat wcześniej. Nowe dekryty umożliwiały służbom wspierającym policję zapobieganie żarliwym przejawom wiary, podobnie jak rozpuście i korupcji.

Marshal przyjrzał się listom gończym przypinanym do ściany: koniokrady, przemytnicy broni, mordercy. Wszyscy zasługiwali na roboty przymusowe albo stryczek, czułyby się jednak wśród nich bezpieczniej niż w gronie uczciwych ludzi podżeganych przez napływających z Europy lub wielkich miast kaznodziei głoszących apokalipsę. Jego szczególną uwagę zwróciło nazwisko William Pill na jednym z plakatów. Pamiętał pewnego zawodowego oszusta, przezywanego Willie the Faker, który zatrzymał się

w Hydesville na krótką chwilę, jaka była mu potrzebna do wyczyszczenia kiesy niejednego hodowcy owiec. Do kart jednak siadał niechętnie, zmuszony okolicznościami, między jednym większym oszustwem a drugim. Pewnego wieczoru, po zamknięciu szynku, Pill przyszedł prosić go o ochronę: farmerzy uzbrojeni w kije i zaopatrzeni w mocny sznur mieli z nim do załatwienia kilka spraw. Bezpieczny za kratami aresztu, mężczyzna wkrótce zaczął mu się zwierzać, ot tak, dla zabicia czasu. Wysoki i solidnie zbudowany, o naznaczonej dziobami po ospie wietrznej przystojnej twarzy, na którą przy każdym ruchu brody opadał jasny kosmyk, ów William Pill miał talent bazarza i wydawał się zaradny. Twierdził, że był strażnikiem w wartowni, handlowcem, przedstawicielem farmaceutycznym i parał się jeszcze wieloma innymi rzeczami w swoich poprzednich życiach. Był jednym z tych pozbawionych skrupułów awanturników, jakich wielu wokół szynków i świątyń. Tego wieczoru, gdy tłum parafian zapalał pochodnie, marshal McLeann zaczął poważnie zastanawiać się nad swoją prawowitością: gdy się ich postawiło na szali, wyjęci spod prawa powodowali znacznie mniej szkód niż uczciwi ludzie. Czyż więzienie nie służyło częściej do ochrony osobników zasługujących na karę przed dobrymi obywatelami, którym zależało przede wszystkim na poszanowaniu szóstego przykazania?

Ale oto John D. Fox wychodzi z saloonu, na ugiętych nogach, z kapeluszem z szerokim rondem naciśniętym na nos, z ową wiotkością karku charakterystyczną dla czwartej lub piątej szklanki whisky. Zrobił kilka kroków, kuśtykając, wpadł na beczkę z deszczówką i runął na pylistą ziemię. Marshal ruszył ku niemu, starając się nie śmiać.

– Cholerna beczka! – zawołał farmer, wspierając się na pomocnym ramieniu. – Ach! To pan, McLeann, dziękuję za uprzejmość...

– Odprowadzić pana do domu?

– Dziś nie trzeba, dam radę. Old Billy ma wprawę... Niechże pan powie, wierzy pan w te wszystkie bzdury?

– Niech pan lepiej idzie się położyć, panie Fox! O tej porze Meksyk już kapituluje, jak to mówią: koniec wojny! Ubędzie więc trochę duchów, prawda?

Pomógł pijanemu farmerowi wsunąć stopy w strzemiona i odwiązał Old Billy'ego od poidła. Koń parsknął i ruszył pewnym krokiem w stronę Długiej Drogi.

McLeann spojrzał na niebieskawy cień na poboczu drogi, na czapkę lecącą nad powierzchnią wody i na złotą obwódkę wokół wzgórz. Ledwo

widoczny jeszcze na tle pociemniałego lazuru księżyc w pełni wydawał się skakać po dachach, wybijając się niczym z trampoliny ze świecącej mocnym światłem gwiazdy. Jedynym życiowym błędem McLeanna było pomylenie Wenus z gwiazdą. Jego gwiazda zbladła szybko, zgasła wręcz, pozostawiając go oniemiałego z walizką pełną mundurów z przydziału. Człowiek zostaje marshałem przez przypadek, z miłości lub ze złości, albo dlatego, że obiecał sobie zerwać ze społeczeństwem ludzi.

Pewien bojący się Boga obywatel, dobry artylerzysta, wyszedł z saloonu, zataczając się i chwiejąc. Ulica nie miała dla niego dość szerokości. Był to Isaac Post, wykształcony człowiek osiadły w Hydesville, swego czasu telegrafista w Western Union, zwolniony za to, że pomylił rewolucyjny system bostończyka Samuela Morse'a z pianinem. Stał pod wiatr i zaczął beczeć, jak niemal co wieczór, odkąd wysłano go na wcześniejszą emeryturę:

*O my Home it was in Kansas
And my past you shall not know³.*

IV

Czy przybyłeś po skarby śniegu

Zima tego roku była wyjątkowa ostra. Mróz ściał wszystkie zbiorniki stojącej wody. Gleba stała się tak twarda, że trzeba było umieścić zwłoki pewnego starca na strychu komunalnym za świątynią. Huragany i burze śnieżne wkrótce odcięły Hydesville i okoliczne farmy od świata. Dylizans do Rochester nie rozweselał już Długiej Drogi od co najmniej trzech dni. Nikt też nie wypuszczał się dalej niż stojąca na uboczu stodoła od strony zbiorników wodnych albo wybrukowana niegdyś przez czarnoskórych i skazańców hrabstwa trasa niewolników, która ginęła wśród wzgórz, między opuszczonymi kopalniami łupków i drzewami żywicznych lasów. Nie widziano też żadnych konwojów francuskich lub irlandzkich imigrantów w drodze na Zachodnie Wybrzeże: gorączka złota poczeka na odwilż. Wygłodniałe wilki i kojoty podchodziły niebezpiecznie blisko do gospodarstw, węsząc wokół owczarni i stajni, mimo że przemarznięci pasterze strzelali wciąż wokół na oślep.

Panna Pearl zwróciła swoją śliczną, jasną głowę ku oknu i przyglądała się ze zdziwieniem, z mieszaniną lęku i oczarowania wirującym płątkom śniegu, które oblepiały haftowane szronem szyby. Tumany śniegu przybierały przeróżne formy: to dobrodusznego, wielkiego polarnego niedźwiedzia, to ohydnej wiedźmy wyłaniającej się ze zbiorowego grobu zalanego palonym wapnem. Jeszcze większa obawa budziła się w pannie Pearl, gdy patrzyła na szczupłe, obserwujące ją twarze, szczególnie Kate w pierwszej ławce, dziewczynki o sowich oczach i delikatnym uśmiechu na lekko rozchylonych wargach.

– Wybaczcie – powiedziała. – Będziemy kontynuować lekcję etyki. Przygotujcie tabliczki, te spośród was, które potrafią pisać, będą notować wszystkie nazwy własne, pozostałe zaznaczą je krzyżykiem...

Otworzyła starą Biblię Króla Jakuba, którą odziedziczyła po swoim pradziadku. Miejskami wybrzuszona, gdzie indziej szerniała, zawdzięczała swój wygląd źle wypieczonego chleba dwóm kąpielom w morzu i pożarowi wozu w czasach emigracyjnej wędrówki.

– „Był mąż w ziemi Uz imieniem Job; a mąż ten był nienaganny i prawy, bogobojny i stroniący od złego”⁴.

Panna Pearl przerwała, zbita nagle z tropu widokiem tych wszystkich pochylonych głów. Żelazny piecyk mrucał w głębi klasy przydzielonej świątyni przez gminę. Trzech farmerskich synów – wśród nich ci najlepiej sytuowani, w tym jeden siedemnastolatek, praktycznie rzecz biorąc analfabeta, którego zapisano do szkoły jesienią, by nauczył się zarządzać wydatkami owdowiałej matki – i siedem dziewcząt, wśród nich Kate, a czasami też jej siostra Margaret, obie nowe, z pewnością zdolniejsze niż gapowaty Samuel, jedyne ocalałe od gruźlicy dziecko wdowy z Bout du Haut, o włosach i ubraniach wiecznie wilgotnych, nawet w suchy czas. Pearl była dumna, że udało jej się przekonać aż tyle rodzin z Hydesville, by zapisały swoje córki, zazwyczaj przymuszane całą zimę do prac domowych, do Dame School przy probostwie. Biblijna świeżość jej argumentów przeraziła dzielnych hodowców krów, w których nagle rozbłysła iskierka zrozumienia: ci, którzy nie potrafią czytać Pisma Świętego, nie zbliżą się do Boga, zły duch ich oślepi! Nauka czytania i pisania oznacza pewne zbawienie, pozwala ominąć etap szczęśliwego prostaczka u bram Królestwa. Ta nieoczekiwana teza, ubrana w odpowiednie słowa przez purytanów, zapewniła młodym nieco swobody. Ciekawe, dlaczego pomyślała akurat o uczonej Anne Bradstreet, która w czasach Pielgrzymów straciła w pożarze ukochaną bibliotekę i manuskrypty, lecz za sprawą Bożej łaski zachowała męża i gromadkę dzieci. Cóż zostało się na ziemi z dymu spalonych poematów świątłej Anne Bradstreet?

Panna Pearl przegnała te myśli i wróciła do Biblii.

– „I rzekł Pan do szatana: Skąd przybywasz? A szatan odpowiedział Panu, mówiąc: Wędrowałem po ziemi i przeszedłem ją wzdłuż i wszerz. Rzekł Pan do szatana: Czy zwróciłeś uwagę na mojego sługę, Joba?”⁵.

Kate siedziała w rogu jednego z długich stołów kuchennych, przy których tłoczyły się dzieci – z jednej strony chłopcy, z drugiej dziewczęta, i zapisała spiczastymi literami „Job”, następnie „Szatan”, „Wiekuiasty”, „Bóg” i „Uc”. Zastanawiała się, czy Bóg to nazwa własna i dlaczego panna Pearl zagryza wargi, patrząc na białe widma za oknem. Tak jasna, że rozpaliała sobą promień słońca, o oczach jak gwiazdy i bladoróżowych licach, córka pastora zdawała jej się piękniejsza niż anielskie krągłości śniegu otulające wzgórza.

– W jakim świecie żyjesz, Katie? – spytała nauczycielka, zażenowana wpatrzonymi w nią nieruchomymi źrenicami. Znała lunatyczne roztargnienie najmłodszej z sióstr Fox, które mogło się obrócić niespodziewanie w przezabawne ożywienie.

Kate zarumieniła się i uśmiechnęła przeprasząco.

– W żadnym świecie, panno Pearl, to przez śnieg...

Pozostali uczniowie, zdekoncentrowani, odłożyli kawałki kredy i metalowe pióra z Birmingham. Harriett Mansfield, beniaminek z rancza hodowców koni, Lily Brown, która w wieku szesnastu lat wyglądała, jakby miała już na koncie kilka egzystencji, dwie niewinne pasterki gęsi, dziesięcioletni pasterze kóz, zwolnieni z pracy na kilka godzin nauki, i ociekający wodą Samuel Redfield w głębi sali, który kiwał głową, śmiejąc się bezgłośnie. Ten ostatni, jak podejrzewała panna Pearl, skrywał niejednen trudny sekret. Odziany w robocze spodnie na szelkach farbowanych na błękit z Genui, wiercił się na krześle i miał wyraźną ochotę raczej rozgrzać się przy piecu niż uczyć się czytać i liczyć. Starła się nie zostawać z nim nigdy sam na sam w klasie i odwracała głowę, gdy otwierał szeroko oczy i rozchyłał wargi czerwieńsze niż świeżo rozplątane na pół serce wołu. W niedzielę podczas mszy w czarnym, nakrochmalonym i zbyt obszernym ubraniu po zmarłym ojcu chętnie zgłaszał się do zbierania datków na tacę lub do rozdawania psalterzy. Wielebny zlecał mu nawet drobne prace w zamian za obietnicę monety dolarowej w prezencie na urodziny.

Panna Pearl zamknęła Biblię; nieco zmieszana, starała się skupić uwagę swoich uczniów.

– Bóg miał tak wielką ufność w swoim stworzeniu, że wydał je na pastwę diabła. Job wyszedł z tej próby zwycięsko. On, tak bogaty i prawy, straci wszystko, popadnie w straszliwą nędzę, będzie cierpieć, lecz ostatecznie siłą swej wiary zwycięży złe moce...

Młoda Harriett podniosła wysoko rękę, strącając niechcący wełniany czepek z głowy. Miedziane loki rozsypały się niczym ogon lisa.

– Przepraszam – powiedziała – czy diabeł istnieje naprawdę? Czy się przechadza, jak mówią, pod postacią włóczęgi, starej kobiety albo kozła?

– Szatan nie istniałby bez Wiekuistego! Zostawmy go więc na chwilę w spokoju i zastanówmy się nad losem Joba. Patriarcha z rezygnacją zniósł śmierć swoich siedmiu synów i trzech córek, zmiażdżonych pod ruinami domu, zniósł wszystkie klęski, lecz nigdy nie wyparł się Pana. Dlatego Bóg przywrócił mu jego własność i zesłał mu jeszcze więcej dzieci...

Kate siedziała na końcu stołu ze skrzyżowanymi ramionami i wyobrażała sobie swój dom przy Długiej Drodze: przytłoczone ciężarem śniegu i lodu belki stropowe puszczają, miażdżą ściany i zabijają na miejscu jej siostrę Maggie, mamusię, a może nawet tatę Foxa, który został w domu w taką niepogodę. Czy powinna prosić niebo o inną rodzinę na zastępstwo? Czy

można tak zmieniać bliskich, nie popadając w rozpacz? Wspomnienie Abbeya, małego braciszka zmarłego niegdyś w Rapstown, uświadomiło jej, że nic nie zdołałoby zadośćuczynić tej stracie.

– Pora już wracać! – powiedziała panna Pearl zmęczonym głosem. – Ubierzcie się ciepło, wygląda, jakby śnieg miał padać przez tysiąc lat...

Nad lodowymi kasztelami zrodzonymi z chłodu i wiatru zapadała noc. Jeden z robotników z rancza Mansfieldów przyjechał po młodą Harriett konno, podobnie jak tata Fox, wyjątkowo trzeźwy – zgarnął Kate jedną ręką i posadził po damsku na zadzie Old Billy’ego. Pozostali uczniowie ruszyli wzdłuż fasad budynków albo brnęli środkiem przez świeży śnieg, by jak najszybciej dotrzeć do domów w centrum Hydesville.

Z szalonym uniesieniem wypisanym na twarzy młody Samuel Redfield zamarł na chwilę na widok zasypanych dróg. Schylił się, by zanurzyć dłonie w tym bogactwie, by najeść się śniegu i ukryć w nim twarz. Nie szukając niczyjej pomocy, rozejrzał się po Długiej Drodze, po czym stawiając stopy w ślady kopyt ostatniego konia, ruszył naprzód z wesołą pieśnią na ustach:

*A nice young ma-wa-wan
Lived on a hi-wi-will
A nice young ma-wa-wan
For I knew him we-we-well⁶.*

V

Gdy zadrżą niebo i ziemia

Deszcz i porywisty wiatr pastwiły się nad hrabstwem Monroe. Była to owa ciemna noc na przełomie pór roku, gdy jeden sezon dopiero się kończy, a drugi na dobre się jeszcze nie rozpoczął. Kate siedziała na łóżku w otwartym na korytarz pokoju na piętrze i obserwowała bijący od pieca blask, wyławiający w nieregularnych odstępach z ciemności trzy stopnie schodów i podest. Tak długo skupiała się na tych zarysach, że w końcu z gęstego cienia wyłoniła się bezcielesna, zwiewna sylwetka. Zegar na dole wybił jedenastą. W domu nie było żadnych innych świateł i nikogo poza Kate; mamusia i tata Fox czuwali w stodole przy swojej jedynej, pięknej, mlekodajnej krowie z Devon, która miała się tej nocy ocielić. A Maggie, ciekawa wszystkiego, uprosiła, by móc uczestniczyć w tym szczęśliwym wydarzeniu ze względów edukacyjnych. Czyż nie była już małą kobietką, ze swoimi sterczącymi piersiami i tym wszystkim, co odsłaniała bez wstydu w dzień kąpieli?

Kate podciągnęła kołdrę pod szyję. Ona nie miała jeszcze biustu, lecz w jej ciele zachodziły przedziwne procesy, dopadały ją niepokoje i złości, które odmieniały jej nastrój i najdrobniejsze odczucia. Rozkoszowała się samotnością w tym drewnianym domu, chłostanym lejącymi się z nieba strugami niczym arka Noego w czasie potopu, chociaż pająki strachu przebiegały dreszczem jej ręce i uda. Ze zdwojoną wyrazistością powróciło wspomnienie Abbeya, braciszka, który umarł w łóžeczku: wówczas, przed świtem, Kate też była sama, rodzice wyszli nakarmić zwierzęta. Maggie, cierpiąca, spała w innej części domu, w panińskim łóžku Leah, starszej od nich o ponad dwadzieścia lat siostry, która wyjechała, zrywając bez żalu z farmerskim życiem. To było w Rapstown, wiele lat temu. Mamusia kazała jej opiekować się małym przez zaledwie godzinę. Poprzedniego dnia gorączka wzrosła, ale teraz wydawał się zdrowy, miał świeżą cerę i oczy przymknięte w łagodnym, krzepiącym śnie. Ale już nie oddychał. Zorientowała się wraz z budzącym się dniem – pod wpływem jej krzyku pękła szyba w portrecie dziadka Foxa, naszkicowanym ołówkiem przez żebraczego malarza w dzień odpustu.

Kate kichnęła. Wiatr wciskał się ze świstem przez komin, a wtedy

ożywiał się migotliwy blask na podeście schodów. Usłyszała wówczas powtarzające się trzaski; naliczyła dwanaście energicznych uderzeń, po których nastąpiły trzy kolejne, silniejsze i w większych odstępach czasu. Przez chwilę sądziła, że to nocny wędrowiec anonsuje się u wrót, i wyskoczyła z łóżka, na pół naga i z przyspieszonym oddechem. Narzuciła naprędce koszulę i niepewnym krokiem ruszyła w stronę schodów. Odgłosy ucichły, wiatr na zewnątrz wstrzymał oddech, nawet ulewa przestała grzmocić w dach. Tak cicho przemykać się może tylko morderca. Drżąc na całym ciele, poczuła, że miękną pod nią kolana, usiadła więc na stopniu. Z całą pewnością słyszała regularne, wyraźne i zdecydowane uderzenia. Skoro nikt nie łomotał do drzwi, skąd ten odgłos? Na pewno nie wydał go zegar ani piec. Kate poczuła silną potrzebę oddania moczu, wskoczyła więc na podest, odbiła się od ściany i pobiegła do naczynia wsuniętego pod łóżko. Odgłos lejącej się cieczy niemal podniósł ją na duchu. Roztarła ramiona i zaczęła rozmyślać o wrogości nieznanymi domów. Potrzeba czasu, żeby się im przypodobać, żeby przestać ranić się o ich zęby i pazury. Niektóre, najbardziej trujące, wydają się obojętne, nasycone ludzkim życiem i nagle przebudzają się ze śpiączki i otwierają oko. Drżąc na samą tę myśl, Kate wyobraziła sobie, że weszła wilkowi w paszczę: czyż schody o stromych stopniach nie przypominały jej właśnie? Może zaraz pysk się zamknie i zmiażdży jej jagnięce ciało drewnianymi zębiskami. Uderzenia rozległy się ponownie, jakby od strony piwnicy; Kate poczuła drgania w najdrobniejszych kosteczkach szkieletu. Nigdy tam nie schodziła: piwnice należą do przeszłości, wszystkie są przeklęte, jak krypty malowane przez papistów. Pierwszą wykopano przecież dla śmierci – był nią grób Abła.

Tym razem rozległo się dziewięć uderzeń. Drobną dziewczynka w koszuli nocnej z żabotem i koronkową falbaną zerknęła na kratę paleniska, gdzie czerwieniły się jeszcze bierwiona. Kate miała wrażenie, że padła ofiarą jednej z tych halucynacji, które przypisywano niegdyś szaleńcom i czarownicom. Potrząsnęła głową, zatkała uszy dłońmi i zaczęła się modlić na głos. Odmawiała akt dziękczynienia, wzywając na swój sposób surową boskość wielebnego Gascoigne'a. Niech potowarzyszy jej w okrutnej dziecięcej samotności.

– Oddal ode mnie demony, które nie istnieją, powiedz im, żeby mnie tak nie straszyły, w zamian obiecuję, że nie będę już chodzić do lasu oglądać czerwonoskórego w zielonych okularach, nie będę już szperać w rzeczach panny Pearl, pomogę mamusi zabijać krety w ogrodzie warzywnym... Ale błagam cię, oddal sprzed moich oczu te diabły straszniejsze niż tata Fox,

kiedy się napije.

Na dole rozległ się hałas, jednocześnie zegar zaczął wybijać pełną godzinę – rodzina wróciła ze stodoły, trzaskała drzwiami, zrzuciła w progu chodaki. Maggie śmiała się, ofukiwana przez matkę, która rozgrzebywała już popiół w piecu.

– Obudzisz siostrę!

Kiedy jednak płomień lampy oliwnej wydłużył się, ta objawiła im się skulona na szczycie schodów, z ramionami oplecionymi wokół kolan.

– Dobry Boże! – zawołała matka. – Zembrze jej się przez te przeciągi...

Odprowadzono rozpaloną dziewczynkę do łóżka i poddano torturze suchych baniek, tych czterech lub pięciu miedzianych kubków, które wsysały skórę jej pleców.

– To mała krówka, śliczna jałówka – nuciła Maggie, bliska zaśnięcia.

Mamusia wyszła z pokoju ze swoim sprzętem do stawiania baniek i przykręciła płomyk lampki. Słysząc już było chrapanie taty Foxa, zagłuszające trzaskanie pieca naładowanego węglem drzewnym. Powoli do domu wracał spokój.

Kate nie spała. Niespójne obrazy tłoczyły się między otaczającym ją mrokiem i niezbadanymi czeluściami oczu. Powieki miała uniesione, lecz zadziwiały ją subtelne zmiany zachodzące wokół niej w zamkniętym pokoju, ta otulina impresji, przenikana fosfenami i strzępkami wspomnień, jak gdyby wszystko miało się wywrócić z wewnątrz na zewnątrz. Na chwilę zaabsorbowało ją uczucie lekkiego zeszywnienia lewej ręki: miała wrażenie, że przybiera ona olbrzymie rozmiary, a reszta ciała maleje. Było to tak nieprzyjemne, że postanowiła zmienić pozycję, niestety unieruchomiła ją niewidzialna zbroja – nie była w stanie ruszyć nawet małym palcem. Niezdolna wyzwolić się z maszyny tortur, próbowała wołać o pomoc, lecz z jej ust nie wydostał się żaden dźwięk. A przecież nie spała, szamotała się we własnym pokoju zamieniona w kamienny posąg. Usilnie walcząc, Kate odzyskała wreszcie władzę nad ciałem, a jej głos rozległ się wyraźną nutą.

– Co znowu? – spytała przestraszona siostra z sąsiedniego łóżka, podnosząc się na łokciach.

– Śniłam... nie, nie śniłam, jak to powiedzieć, śniłam, że nie śniłam, bo byłam martwa...

– To przez gorączkę! Śpij!

Zła, że straciła wątek własnych fantazji, Margaret przewróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na ramię.

Chłodny mrok zdawał się tężeć niczym zamarzająca woda. Należało otworzyć drzwi i wpuścić ciepło bijące od pieca, ale Kate nie miała już siły wstać, wydawało jej się, że mogłaby pomylić drogę i wstąpić na tę, jakże podobną w każdym kroku do prowadzącej ku zaświatom. Kiedy zamknęła oczy, obraz rzeczywistości zachwiał się nagle. Jaki sens może mieć ów maleńki chaos gestów i emocji? Czy za drzwiami kryje się coś innego niż magma z ziemi, powietrza i wody, gotowa przyjąć formę ognia? Światu brakuje równowagi, skoro można tu zginąć. Obraz bladej twarzy braciszka zastąpił wielki barak z płótna i desek. Targał nim mroczny wichur. Wszystko latało w beładzie: rodzice, krowa, Maggie, a nawet leśny czerwonoskóry w zielonych okularach, pośród desek i prześcieradeł wywianych z szafy, w strugach deszczu, którego krople większe były niż mokre pocałunki starych wieśniaczek. Panna Pearl na szczęście schroniła się po kloszem różowo-czarnego jedwabiu sukni i halek. Trzeba było odwrócić uwagę od demona, śpiewając przez zaciśnięte wargi:

O sister, O sister, come go with me

*Go with me down to the sea!*⁷

VI

Otchłań, w której się zgubiliśmy

Zima babrała się w marcowym szronie. Lodowaty wiatr miotał się z północy na wschód. Niezdecydowane ulewy, raz ostre jak szkło, raz łagodne jak piórka, zmiatały pierwsze kwiecie. Zawsze jednak udawało się znaleźć skrawek słońca przed zapadnięciem wieczoru. Maggie i Kate rozdzielały się zazwyczaj na rozstaju ścieżek przecinających gospodarstwo: przebywszy wspólnie odcinek Długiej Drogi, każda ruszała do swoich spraw. Tego dnia obecność Samuela, który trzymając się sto kroków za nimi, również wracał z lekcji, skłoniła je do większej ostrożności. Chłopak zdążył się zanurzyć aż po pierś w basenie fontanny publicznej, pompując sobie wodę na głowę. Mokry od stóp do głów, szedł niczym w deszczowej chmurze. Równie dobrze mógł zaatakować jedną z nich, rzucić kamieniem, zagrozić nożem myśliwskim odziedziczonym po ojcu, jak po prostu przejść swoją drogą, zerkając na nie tylko. Mimo jego wzrostu Kate nie obawiała się go; porównywała chłopaka do psotnych kojotów, które włóczyły się wokół farm. Nie bałaby się stawić mu czoło. Trwożliwy i nieobliczalny syn wdowy z Bout du Haut atakował tylko z boku i gdy został zaskoczony. Jedno dłuższe spojrzenie potrafiło zbić go z tropu. Kiedy zbliżył się do nich na odległość dwudziestu kroków, jego bezwstydną jęki przestraszyły starszą z sióstr, tymczasem młodsza widziała w nich nawet powód do śmiechu, gdyby nie słowa, które wywołały u niej niepokój i obrzydzenie. Co miała oznaczać ta mieszanina obelg i pochlebstw na temat ukrytych części ich ciał? Samuel, w granatowej bluzie drwała, ze zbyt długimi rękoma i spiczastą czaszką, wykrzykiwał zwykle swoje zabarwione okrucieństwem podniecenie, dopóki mamusia nie pojawiła się w ogrodzie warzywnym albo na progu domu. Myśl, żeby się na niego pożalić, żadnej z dziewcząt nie przychodziła do głowy, tak bowiem dalece nieprawdopodobne, a zarazem groteskowe, wydawało im się opisywanie całej tej sytuacji komuś dorosłemu. Dlatego też siostry Fox nigdy nikomu nie opowiedzą o poczynaniach Pecquota w niektóre wieczory, gdy ten sprowadza kozy i owce z odległych pastwisk. Różnica między nim a jego psem, wielkim owczarkiem o rudej sierści, leżała raczej w posturze niż możliwościach umysłu. Powiadano, że po tym, jak został porzucony przez rodziców,

zdegenerowanych osadników zmierzających na zachód, przygarnęli go Indianie z plemienia Mohawków, po czym, gdy dorósł, przegnali z niewiadomych powodów. Pecquot żył jak zwierzę wśród innych zwierząt. Nikt nie miał powodu na niego narzekać: wypasał zwierzęta i nie miał dużych wymagań. Kiedy Kate i Maggie słyszały dzwoneczki zbliżające się do miasteczka, czym prędzej zawracały lub wspinały się na drzewo, by uciec przed demonem. To było niemal jak gra. Okolica ich farmy obfitowała w naturalne kryjówki, które dziewczęta dzieliły z kunami i wiewiórkami.

Za chylącą się ku ziemi szopą, za polem porośniętym sitowiem i paprociami bardziej niż wszyscy możliwi Pecquotowie niepokoił je czarny staw, wrzynający się swymi wodami głęboko w iglasty las. Kate ostrożnie przemykała się jego brzegiem, wyczulona na najlżejsze poruszenie. Wysokie świerki, stłoczone na przeciwległym brzegu, wraz z zachodzącym słońcem kładły coraz dłuższe cienie. Myśl, że matka panny Pearl mogła z własnej woli zanurzyć się w tych ciemnych odmętach, fascynowała ją, wywołując zawrót głowy; nie mogła odwrócić wzroku od zasnutej mgłą powierzchni o mdlącym zapachu roślin, mąconej od czasu do czasu bulgotem pęcherzyków powietrza. Czaił się pod nią swego rodzaju bezkształtny zamiar, gotowy w każdej chwili wyciągnąć swoje macki. Jak można było być, a teraz już nie istnieć? Śmierć kryła w sobie wielką tajemnicę.

Idąc brzegiem, Kate nieświadomie zapuściła się w głąb żywicznego lasu o imponująco wysokich drzewach. Niekończące się rzędy pni wyrastały z iglastego kobierca o tajemniczym wzorze. Ich korony zamykały się w podniebne kopuły, przez które wciąż jeszcze przebijały się ostre włócznie promieni słońca. Trzask gałązki, krzyk ptaka lub jeszcze bardziej przerażające w tych kolosalnych korytarzach wzniesionych wielowiekową pracą roślinnych soków: smutna skarga echa, szczekanie dzikiego psa albo wycie wilka, sprawiały, że Kate przeszywał nagle dreszcz, wyrywając ją z kontemplacyjnego letargu, jak gdyby rozproszone po lesie duchy usiłowały dać jej o sobie znać. Pewnego razu czerwonoskóry w zielonych okularach powtórzył jej słowa uczonego człowieka lasu: „Natura nie zadaje pytań, nie odpowiada też na pytania śmiertelników”. Nie trzeba zadawać pytań, wystarczy uważne milczenie. Indianin krótkowidz uczył się od złamanej gałązki, z lotu ważki i kształtu chmury.

Kiedy wolnym krokiem wracała na farmę wśród płowych przedwieczornych blasków, wpadła za węglem stajni prosto na tatę Foxa, który zsiadł właśnie z Old Billy’ego.

– Skąd się tu wzięłaś, mała diablico? – zawołał schrypniętym od

alkoholu i tytoniu głosem. – Powinnaś być wśród swoich o tej porze!

– Spacerowałam w pobliżu.

– Przy tym przeklętym stawie! W lesie! Tam są niedźwiedzie, dziki, wilki nawet...

– Nie boję się...

– Głupiaś! Czy lis przejmuje się strachem kury? Weź lepiej oczyść konia i zmień mu ściółkę!

Kate bez słowa wyciągnęła rękę po wodze. W półmroku boks zakrzętała się wokół długiej głowy konia. Pieszczonki Old Billy'ego, szczotkowanie jego sierści, rozplątywanie grzywy, pojenie go i karmienie, gdy ciemność prądkowana złotem wpadającym przez szczeliny desek gęstniała, a ubita ziemia wydzielala wieczorne wonności, uspokajały ją. Old Billy patrzył na nią wielkim, brązowym okiem, opuścił luźno wargę. Pomyślała, że mogłaby, zamiast go rozsiadłać, uciec na nim, puścić się galopem daleko za Hydesville, gdzie samotność w jedno zlewa się z bezmiarem, odkryć jasne polany innego świata, poczuć chłód wody i gwiazd, dotrzeć na wielkie miodowe prerie opisane przez czerwonoskórego w okularach, tam gdzie pamięć rozrywa się w strzępy niczym stara suknia, zapomnieć o ojcu Foxie i jemu podobnych, przywiązanych do cuchnącego powietrza stajni, do ziemi zmarłych, ślepych na drzewa, na szczyty gór, na lśniącą wodę rzek, na niewidoczne fontanny wiatru. „To poprzez szmer strumyków, rzek i deszczu przemawiają do mnie przodkowie”, powiedział jej kiedyś Indianin. Kim mogli być jej przodkowie, nie licząc dziadka z Rapstown w fosie cementarnej, do której później złożono też ciało jej braciszka, żeby zaoszczędzić na kopaniu dołu?

Old Billy zarżał łagodnie, grzebiąc kopytem w słomie. Zrozumiałeś mnie, koniku, czy też jesteś gotów opuścić ten świat tak ubogi w cuda, świat, gdzie nawet żywi zdają się martwi...

Któż krzyczy tak głośno w tę bezksiężycową noc?

Pora wracać

Zupa stygnie, ojciec będzie zły

Pora wracać

Wilk czuwa, skrzydła rozpościera sowa.

Po ciemnej wsi, zniekształcony przez gęstą powłokę marzeń, niesie się powielony echem głos. Siostra woła ją od progu. Wieczorny wiatr szarpie gałęziami jesionów i wiązów. Otulona w szal Maggie przeszukuje wzrokiem chybotliwy, osobliwy półmrok, w którym poruszają się odcięte ręce i głowy. Dziwi się, że odpowiada jej tylko Old Billy, ale nie śmie zejść w głąb stawu

ciemności, jaki oddziela szopę od domu. Od kilku dni o zachodzie słońca nachodzi ją niepokój. Lodowaty płaz trwogi wślizguje się między jej uda, przylega do brzucha, zaciska się wokół niej obręczami łusek, podgryzając piersi i kark.

Naraz w powietrzu rozlega się czysty i swawolny głos:

Tramp, tramp, tramp, the girls are runnin'

*Lie still, sweet comrades, the girl will come soon!*⁸

Roztańczona sylwetka elfa czy też skrzata powoli wyłania się z nicości. To Katie, siostrzyczka o podrapanych kolanach, wraca z polowania na duchy.

VII

Kilka szczegółów na temat spotkania

W ostatnim dniu marca tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku, w ostatniej godzinie wieczoru, tuż zanim zegar na parterze wybił północ, Margaret Fox zdławiła krzyk przerażenia, wbijając zęby w poduszkę.

– Katie, Katie! – szepnęła. – Obudź się! Coś się dzieje...

– Nie spałam – odparła dziewczynka z sąsiedniego łóżka.

– Więc słyszałaś?

– Oczywiście, i podejrzewam, że to nie koniec...

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, od strony schodów rozległy się suche trzaski, jakby łamano tam kości. Margaret naliczyła ich siedem; przytłumiony dźwięk dzwoneczka w zegarze zdawał się odpowiadać każdemu chrzęstowi melodyjną nutą.

– Północ! – wymamrotała. – Umieram ze strachu. Ktoś tam jest, jestem pewna! Może zbiegły czarny niewolnik albo Indianin z rezerwatu, który zemści się na nas nożem do ćwiartowania bizonów...

Ponieważ Katie milczała z otwartymi szeroko, lśniącymi księżycowym blaskiem oczami lunatyka, Maggie poczuła, jak między łopatki wślizguje się jej lodowata klinga trwogi. Usiłowała wezwać pomoc, jednak niezdolna była wydać z siebie odgłos inny niż pisk zarzynanego kurczaka. Na jej wargach spoczęła drobna, rozpalona rączka.

– Ciii... – szepnęła Kate. – Rodzice śpią...

Na twarzy siostry malowało się takie buntownicze uniesienie, że lęk Maggie zmienił się nagle w pełne oszołomienia przerażenie, które rozproszył wreszcie szalony chichot.

– Posłuchaj, ojciec chrapie...

– Może to mama! – poprawiła ją Maggie, parszcząc śmiechem. – Ale te trzaski przed chwilą?

– To nie pierwszy raz.

– Nigdy nie sypiasz?

– Wydaje mi się, że z każdą nocą się nasilają. Jakby ktoś chciał zbliżyć się do nas...

– Oszalałaś? Nie ma tu nikogo oprócz rodziców, ciebie i mnie! Chyba że...

Ponownie strach wślizgnął się między jej skórę i bawełniane prześcieradło. Margaret zeszywniała, poczuła suchość w ustach. Wstrzymała oddech i zadrzała; ręce zacisnęła na szyi, miała wrażenie, że wszystkie jej zmysły zwrócone są w stronę niewiadomej otchłani – wzrok, węch, słuch, każda komórka skóry odczuwała tę chwilę z nadmierną intensywnością.

Odgłosy ucichły. Wiatr przywarował u stóp wysokich drzew. Nawet ojciec przestał chrapać. Zapanowała cisza tak wielka, że myśl o nicości osiągnęła wymiar absolutu.

– Coś tu jest! – wyrwało się Maggie z głębi jej przerażenia; mówiła głosem drżącym i słabym jak u starej kobiety.

Przez szczelinę w okiennicach do pokoju wślizgnął się promień księżycy i padł na szarawą postać stojącą nieruchomo tuż przed łóżkiem. Na widok zjawy dziewczyna wydała pusty krzyk z samej głębi swojego jestestwa, pewna, że musiała umrzeć albo stracić przytomność.

– Chodź! – powiedział cień. – Chodź za mną na schody...

Maggie pisnęła jak myszka, rozpoznawszy przytłumiony głos młodszej siostry. Natychmiast katalepsja, która przygwaździła ją do tej pory w miejscu, opadła niczym ołowiana zbroja. Maggie odrzuciła prześcieradło, uspokojona świeżym powiewem powietrza, i ruszyła bez obaw za Katie.

– To najczęściej dochodzi stąd – rzekła siostra, wskazując jedną ze ścian. – A czasem z piwnicy...

– Nic nie słyhać – stwierdziła Maggie z ulgą.

Kate zbliżyła do niej swoją twarz małego ssaka, w której ciemniały dwie źrenice czarniejsze niż noc.

– Bo on czeka – powiedziała.

– Ale na co? O kim mówisz?

– Nie wiem. Może czeka, żeby dać mu znak.

Maggie zbadała dokładnie wzrokiem belki dachowe, ściany z pociemniałego drewna, wydeptane schody znikające w ciemności, zamierający blask bijący od pieca i otaczające je ciemności.

– Ale kto? Kto to może być? – powtórzyła.

– Duch! – rzuciła żywo Kate.

– Chcesz powiedzieć... upiór?

Widok wielkiej trumny, z której głębi patrzy na nią olbrzymi lśniący robak, zastąpił wszystko inne w jej zaspanej świadomości. Ogarnięta paniką Maggie zasłabła i stoczyła się po schodach, czując jedynie przerażenie na myśl, że zaraz oto pożre ją przerośnięty robaczek

świętojański. W domu zapanowało zamieszanie. Tata Fox z lampą w dłoni i przestraszona matka ruszyli na pomoc zemdlącej, którą młodsza siostra miała nadzieję ocucić pieścizotami i łaskotkami.

Odprowadzono Maggie do pokoju niczym wielką lalkę, której płaczą się nogi. Mamusia już krzątała się przy niej, podając sole trzeźwiące i klepiąc ją po twarzy, ojciec zapalił przy łóżku nową świecę.

– Co robiłyście na schodach o tej porze?

Z nieobecnym wzrokiem, milcząca, Kate uśmiechnęła się tylko do swoich myśli.

– Jak można się doprowadzać do takiego stanu! – dodała mamusia. – Młode osoby tak wykształcone jak wy! Wybierałyście się po konfitury w towarzystwie księżycy?

Maggie zamruwała powiekami, jej oczy przechwyciły cień odcinający się na obramowaniu drzwi. Anielski uśmiech Kate przybierał w tańczącym świetle świecy nieco demoniczny wyraz, a jej wargi, ożywione złotymi refleksami, zdawały się połykać nieme słowa przysięgi.

– Spytajcie ją! – zawołała Margaret, wskazując na siostrę oskarżycielskim palcem. – To ona mnie tam zaciągnęła. Twierdzi, że w domu jest zjawa...

Matka, zbita z tropu, zerknęła z niepokojem to na małżonka, to w ciemne zakamarki sypialni. Była kobietą krągłą i zadbaną, wystrojoną w haftowany czepek, miała czarne włosy zebrane na czubku głowy i pulchne, bardzo białe dłonie mimo prac, jakie wykonywała na farmie, obfity biust ukryty pod koszulą i wydatny nos na środku sympatycznej twarzy. Gdyby się malowała, mógłby się nią zainteresować nawet hodowca koni albo sklepikarz z Rochester. Jej żywe spojrzenie zatrzymało się wreszcie na najmłodszej córce.

– Dlaczego wymyślasz takie straszne bajdy, Katie?

– To nie są bajdy. Na pewno słyszeliście uderzenia w ścianę i meble dochodzące z dołu...

– *Goddammit!* – zawołał tata Fox. – Chcesz, żeby sąsiedzi wzięli nas za nawiedzonych? Przecież na wsi ludzie boją się nowo przybyłych! Nie chcę już więcej słyszeć o tych głupstwach!

– Nie przeklinaj córki – powiedziała matka – bo jeszcze wielebny nałoży na ciebie grzywnę.

– Ale to prawda – rozległ się wątyły głosik Margaret – że słychać hałasy. A jeśli dom źle nam życzy? Wolałabym wrócić do Rapstown!

– Nie ma żadnych hałasów! – uciał tata Fox. – To zwierzyna, wiatr,

spracowane drewno. Teraz moja kolej odpłynąć w nieświadomość na resztę tego, co zostało z nocy...

Kate żywo uskoczyła w stronę okna, by uniknąć jednego z tych policzków, które zwykle kończyły mniejsze rodzinne konflikty. Ojciec miał łapy jak niedźwiedź, mógł nimi strącić głowę! Nie żeby go nienawdziła. Był wiejskim głupcem, tak dalece pozbawionym rozumu, że wierzył tylko w kazania pastora. Potomek patriotów wypędzonych z Kanady podczas wojny o niepodległość, należał do bezbarwnej rasy farmerów, upartych bigotów, plasujących się między niewolnikami i arogancką arystokracją hodowców.

Kiedy ojciec wreszcie wyszedł, Kate się roześmiała.

– To nie zwierzęta, to nie wiatr, to nie spracowane drewno! To racica, mogę przysiąc na rogi naszej jedynej krowy!

Matka poruszyła się złęknona. Jej obfita pierś falowała pod nocną koszulą.

– Czyś ty oszalała? Demon przychodzi tylko wtedy, gdy go wezwiesz. Kładź się szybko obok siostry i więcej ani słowa! Trzeba już spać, dobry sen małych dziewczynek przegoni te wymysły...

Kate wślizgnęła się pod kołdrę, już prawie uśpiona monotonnym głosem matki. Margaret doszła do siebie po upadku i wzdychała cicho. Jej długie rzęsy, drżące na wysokości świecy, sprawiały wrażenie, jakby miały się zająć ogniem. Wówczas z dołu dały się słyszeć trzy mocne uderzenia.

– Mamuniu! – szepnęła Kate. – Ktoś tam jest...

– Ciii... to możliwe, ale śpij bez obaw, mamusia rozprawi się z nim pogrzebaczem.

– Nie rób mu krzywdy, proszę! Nie znęcaj się nad panem Splitfootem...

– Panem Splitfootem? Kimże on jest, dobry Boże? No, zapomnij już o tym, zdmuchuję świecę i księżyc, jak to się mówi.

Pani Fox stała wśród przywróconego mroku, gdzie wbrew jej woli dosięgły ją zjawiska, którym uległy obie córki. Pomyślała wówczas o najdalszej przeszłości, kiedy była w ich wieku, kiedy sama wierzyła w cudowne duchy miłości i przyszłości. Stojąc u wezłowania dwóch łóżek, zaczęła nucić starą pieśń żałobną, która powróciła na jej wargi z czeluści pamięci...

Well a hundred years from now

I won't be crying

A hundred years from now

I won't be blue⁹.

VIII

Wojna Polk'sa to nie polka

Za jałowymi górami na zachodzie i kamienistymi pustyniami Arizony, za niebezpiecznymi kanionami ciągnącymi się wzdłuż rzeki Kolorado, skąd udało mu się zbiec przed strzałami Apaczów Mescalero, za pułapkami zastawionymi przez bandy katolickich dezertersów wracających do domów rozciągała się spokojna równina. Zostawił za sobą Denver i wspomnienie nocy zakrapianej whisky w rozkosznym łożu z piór. W siodle jednego ze swych dwóch koni William Pill już od trzech tygodni przemierzał północne trasy, mijając głębokie koleiny wyłobione przez wozy osadników i ścieżki wydeptane przez stada bydła wśród falującego morza dzikich traw. Kiedy appaloosa słabł, przesiadał się na hiszpańskiego berberyjczyka, odciążonego z bagażu, i tak na zmianę, od jednego wodopoju do drugiego. Wielka Równina Prerii przypominała mu dziki raj bez granic, zapewniający całkowitą swobodę ruchu: cała ta jasność i niebo przestronniejsze niż ludzka pamięć! Wracał z wojny bez większego pośpiechu, z certyfikatem w kieszeni. Zasłużył na to wyróżnienie, gdyż poszedł za generałem Zacharym Taylorem do Santa Fe, dał się zauważyć u jego, wielkiego Old Rough and Ready'ego boku na wyżynach Buena Vista. Jednak jego największym wyczynem jako wolnego człowieka było znoszenie miesiącami życia koszarowego na terytoriach okupowanych, do czasu, kiedy podpisano traktat o zawieszeniu broni w Guadalupe Hidalgo. Rozejm ów był niewątpliwym arcydziełem losu i artylerii konnej: kilka milionów dolarów zadośćuczynienia dla przegranych w zamian za przyłączenie do Unii połowy Meksyku, nie licząc Teksasu!

Dzięki dekretowi nakazującym zawieszenie broni William Pill mógł wrócić do domu z podniesioną głową. Pozostawało mu jeszcze tylko się zdecydować, dokąd powinien się udać. Przez całe życie palił za sobą mosty, poczynając od chwiejnych konstrukcji swoich przodków. W wieku piętnastu lat zaciągnął się na statek trumny, który wyładowywał w porcie w Dublinie sosny z doliny Outaouais, by następnie odbić od brzegu z transportem imigrantów wypędzonych z ich terenów przez głód, epidemie i właścicieli ziemskich. Pięć tygodni spędzonych na czterystutonowym USS Braterstwie – wcześniej używanym do przewozu niewolników, wykupionym przez

pewnego kanadyjskiego armatora – o starym wyposażeniu trójmasztowca, ładowniach i pokładach wypełnionych bladymi i rudowłosymi zakładnikami nędzy, raz na zawsze wyleczyły go z wiary w boskie miłosierdzie. Najbardziej dały mu się we znaki: uciążliwość ludzkiej zbieraniny, opryskliwość załogi, cyklon, który porwał osłonięte plandeką szalupy, tyfus uderzający w pierwszej kolejności w dzieci, wreszcie kwarantanna na Grosse Isle w towarzystwie konających. Wielu z podróżnych, zanim on znalazł się w tym przedsionku piekieł, zostało wyrzuconych w workach do morza z błogosławieństwem przygodnego księdza. Pewna kobieta, którą wszyscy mieli za martwą, zaczęła wrzeszczeć, ześlizgując się po pomoście do wody, a marynarze nie uczynili nic, żeby ją z powrotem wciągnąć na pokład. William Pill nie mógł zapomnieć o dziewczynkach rzucanych na pożarcie rekinom na oczach ich matek. Podczas rejsu do Manitoby pewien ewangelista od braci plymuckich, Edward Blair, szczęśliwym trafem zapałał do niego przyjaźnią i odtąd dzielił się z nim wiktuałami i czytał mu na głos Biblię, chociaż zdawał się znać każdy jej werset na pamięć. Był uczniem niemieckiego imigranta, byłego złodzieja i rozpustnika, słynnego George’a Müllera, którym targały głębokie wyrzuty sumienia – miał się jakoby upić podczas agonii własnej matki. Nawrócony, poświęcił się sierotom, zakładał szkoły, ratując dziesiątki tysięcy dzieci od nędzy. Na smętnym trójmasztowcu Edward Blair miał wiele czasu, by opowiadać o swoim spotkaniu z Niemcem. Biblia, którą tak często otwierał, była prezentem pożegnalnym od misjonarza. Kiedy sam został bratem otwartym, czytał ją o każdej porze dnia, a następnie, kładąc dłoń na jej czarnej oprawie, karmił nią swoje kazania. Na pokładzie USS Braterstwa na wzburzonym morzu jedynym jego słuchaczem był niepiśmienny syn głodu. Brat otwarty, którego zamiarem była ewangelizacja Ameryki, nie zdołał nawrócić nawet irlandzkiego chłopca, który mimo wszystko odziedziczył po nim Biblię. Kiedy wyrzucono owinięte w prześcieradło zwłoki przez burzę, młody imigrant nie mógł powstrzymać się przed otwarciem na chybił trafił książki, skąd doszedł go z całą pewnością przyjemny głos Edwarda Blaira:

*Poruszyła i zatrzęsa się ziemia,
Podwaliny nieba zadrżały,
Zachwiały się, gdyż rozgniewał się na mnie.
Dym wystąpił z nozdrzy jego¹⁰.*

Po przymusowym pobycie na Grosse Isle, gdzie zmarło wielu kolejnych pasażerów trójmasztowca i gdzie stara prostytutka nauczyła go tańczyć polkę, William Pill dotarł wreszcie do Quebecu; tam poprzysiągł sobie, że

zawsze będzie się trzymał z dala od wody, ludzi i rodzinnych stron.

Teraz wyżynne, bezludne równiny rozciągały się przed nim po horyzont. Był tylko wiatr, światło, śpiew nielicznych ptaków, wycie kojota, a pod drżącą mgiełką słońca, w oddali, ostatnie zbocza gór przy Tęczowym Moście. Wciąż jeszcze bolało go ramię od strzału z muszkietu, oddanego podczas bitwy pod Huamantlą. Po tylu nocach i dniach spędzonych na koniu William Pill miał poczucie niepowetowanej straty, jak gdyby po drodze gubił kawałki siebie. Co zostało mu dziś z dzieciństwa? Ani jedna twarz. Kiedy zmierzch przelewał złote wino przed nastaniem ciemności, William Pill delectował się bladym wspomnieniem hiacyntów w ogrodzie swojej matki. Teraz jednak był sam wobec nieba. Springfielda 1840 trzymał w pogotowiu, ale zastanawiał się, czy znajdzie wśród wysokich traw dość drewna, by upiec młodego królika albo przepiórkę.

Słońce prezentowało się jeszcze w całej swej okazałości nad wzgórzami, lecz błękit ciemniał już powoli na łuku horyzontu. Para błotniaków, kreśląca w locie przeplatające się pętle, zwróciła jego uwagę na końską padlinę, omiataną skrzydłami innych drapieżnych ptaków. Spalona na dużych powierzchniach – pewnie przez łowców bizonów – preria oddawała powoli swe zielone tereny łysym kamienistym ugorom. William Pill kontynuował podróż wolnym truchtem, zadowolony – mimo głodu – z widoku wschodzącej gwiazdy wieczornej, którą Indianie z Meksyku przypisywali Quetzalcoatlowi, swemu pierzastemu bogu. Wkrótce zostawił za sobą leżące odłogiem ziemie, przy szlaku zaczęły pojawiać się pojedyncze budowle. Drewniana tablica wskazywała kierunek na Osage City. Mijał zbiorniki na żelaznych stelażach i puste szopy, niektóre w ruinie, o zapadniętych dachach, pełne desek i zleżalej paszy. Aglomeracja zdawała się całkowicie wyludniona, pozostawiona na pastwę hulających wiatrów. Pył pokrywał okna i fasady budynków. Tu i ówdzie piętrzyły się sterty poczerniałych desek, na zmianę z przyzwoitymi jeszcze domostwami. Kiedyś, sądząc po obłazących z farby szyldach, stanowiskach dla koni i licznych saloonach, musiało tu się toczyć ruchliwe życie. William Pill uznał, że może sobie pozwolić na najlepszą oberżę dla siebie i swoich wierzchowców. Naraz dzika świnia przebiegła mu drogę. Ale broń znajdowała się w pokrowcu na drugim koniu i zanim zdążył po nią sięgnąć, zwierzę zniknęło za rogiem. Pędząc za nim, już ze strzelbą w dłoni, William Pill minął Murzyna albinosa w miejskim stroju i cylindrze, siedzącego na skrzyni pod zadaszeniem drugstore'u. Pekari leżało spokojnie, niby pies, przy jego nodze.

Pill zawrócił konia.

– Czyżby chciało ci się pić? – spytał nieznajomy, wyciągając ku niemu butelkę rumu.

Pill zeskoczył z siodła i schował strzelbę. Przywiązał konie do poręczy i już po chwili popijali zgodnie z butelki. Albinos zdjął cylinder, odsłaniając łysinę.

– A więc tak wracasz do domu, do stanu Nowy Jork, z raną na ramieniu i certyfikatem dobrego żołnierza? Były niewolnik może ci poręczyć, że tam jest wolna ziemia, pod opieką nieba.

Gwiazdzista noc zapadła szybko nad miastem widmem. Pod zadaszeniem drugstore'u mężczyźni spożyli wspólnie danie z soczewicy.

– Niczego mi nie brakuje – mówił albinos. – Nawet panów mojej młodości, papistów, którzy pejczem nauczyli mnie czytać. Spójrz, całe to miasto jest moje. Mieszkańcy Osage City przyglądali się jakiś czas wozom ciągnącym coraz liczniej ze wschodu i północy i w końcu poszli ich śladem. Hodowcy koni i rolnicy, którzy zabijali się tu przy najdrobniejszym sporze, wyruszyli ramię w ramię w drogę, gdy tylko zwęszyli szansę: tony złota na zachodzie, po drugiej stronie Sierra Nevada. Podobno wystarczy się tylko schylić. I oto wyruszyli gromadnie, porzucając na miejscu wszystko, czego nie dało się zabrać z sobą. Z braku klientów sklepikarze zamknęli interesy, pastor schował do szuflady kazania, szeryf oddał swoją gwiazdę... Zostałem tylko ja i ta świnia. Moim złotem jest wolność. Nikt nie szuka ze mną zwady, Indianie z Kansas stali się pacyfistami, odkąd pozwala im się polować na bizona. Kiedy biali odeszli, spalili puste rancza hodowców i wszystkie uprawy, wszystkie łąny zboża, żeby przywrócić prerię wiatru, jak mawiają Kawowie – nie bez powodu zwie się ich ludem południowego wiatru. W dniu, w którym Indianie zaczęli rzucać pochodnie na zabudowania, wyskoczyłem ze swojej kryjówki i krzyknąłem: „Osage City to mój dom, nie palcie go!”. Chyba się mnie przestraszyli. Wyblakły Murzyn, który wyłania się z miasta widma, musi być demonem. Wskoczyli na konie i wyjąc jak kojoty, uciekli!

William Pill, słuchając towarzysza, przypomniał sobie, bez większego związku, słowa meksykańskiej pieśni, której strzępy docierały do niego onegdaj z obozu wroga, nieco przed świtem, kiedy szykował się do obrony pewnej hacjendy położonej na stromej przełęczy.

*Kto zerwie serca mego kwiat
Czy biały jaguar, czy orzeł krwawy.*

IX

Noc lunatyków opowiedziana przez Maggie

Cóż za szaleństwo. Moja siostra Katie musi być diabłem albo jego niegrzeczną córką. Napisałam, co myślę, w notatniku z obwódką, który dostałam w prezencie od panny Pearl. Zaczęło się od łomotania w parkiet, a raczej pod nim, w miejscu, gdzie stoi nasze łóżko. Powtórzyło się to siedem lub osiem razy. Owej marcowej nocy i przez kolejne, które nastąpiły, tata Fox nie spał w domu. Wcisnął się w swój czarny garnitur, który zakładał na śluby i pogrzeby, i wsiadł do dyliżansu do Rochester. Nieszczęsny staruszek wbił sobie do głowy, że musi otworzyć konto w banku. Wybrał oszczędności z torby, a nie było tego wiele, jak podejrzewam. Oświadczył, że zamierza wykorzystać też okazję i odwiedzić Leah. Tak się akurat złożyło, że nasza starsza siostra potrzebowała jego podpisu w związku z wynajmem mieszkania. Daje lekcje gry na pianinie dziewczętom z zamożnych rodzin w Rochester. Leah gardzi naszym stylem życia. Podobają jej się wyszukane maniery, bufiaste suknie i piękni panowie. Seniorka sióstr Fox marzy o tym, żeby poślubić mieszczanina. Najwyższy już ku temu czas, bo ma trzydzieści pięć lat i kilka siwych włosów.

Zeszłej nocy byliśmy więc w domu same z mamusią, kiedy znów rozległo się łomotanie. Katie, która udawała, że śpi, wyprostowała się nagle jak sprężyna. Zawsze tak samo się boję, kiedy wstaje i idzie z wyciągniętymi rękoma i wywróconymi oczami w stronę okna albo schodów. Ale tym razem nie lunatykowała. W półmroku panującym w pokoju widziałam jej sprytną minkę, niemal okrutny uśmiech. Katie jest urocza, drobna, o ślicznej buzi aktorki teatralnej, ale jest w niej coś z małego demona. Gdziekolwiek się znajdzie, szuka jakiejś tajemnicy: czy to w lesie, czy w miasteczku, czy w domu.

Pewnego jesiennego dnia (poprzedniego wieczoru rozmawialiśmy przy stole o Joe Charliem-Joe, byłym niewolniku z rancza Mansfieldów, którego powieszono na wielkim dębie) dostrzegłam Katie zajętą zdmuchiowaniem pajęczyn w piwnicy, przy czym szeptała pewną idiotyczną wyliczankę:

*Złap mnie jeśli możesz
Jestem duchem muchy*

*Zjedz mnie jeśli chcesz
Jestem wisielca duch.*

Chwilę później siedziała na łóżku i strzelała palcami, jak czarni robotnicy dniówkowi wyśpiewujący modlitwy po zebraniu kukurydzy. Nie mogłam się powstrzymać przed naśladowaniem jej. Strzelałyśmy sobie palcami do rytmu, aż nagle Kate powiedziała: „Kimkolwiek jesteś, rób teraz tak jak my!”.

Trzeba przyznać, że po tym rozkazie zapanowała grobowa cisza. Nie ma nic bardziej niepokojącego niż cisza, która następuje po niezrozumiałym zjawisku. Na zewnątrz panował spokój, słychać było wyraźnie puszczyki i kojoty. Uwolniona od chrapiącego męża mamusia spała głęboko. Rozległo się delikatne stukanie w szyby okienne. To nie mogła być ćma o tak chłodnej marcowej porze. Pod nieobecność gospodarza mamusia była zbyt zajęta tysiącem obowiązków, by ogrzać nam łóżka i zamknąć okna.

„Rób to co ja!” – powtórzyła Kate, strzelając głośno palcami. Nagle, piszę to pod przysięgą, usłyszałyśmy echo bardzo podobnego odgłosu! I to tak blisko! Katie nie posiadała się z radości. Była niesamowicie podekscytowana. Podejrzewam, że nie zrozumiała wówczas znaczenia tego fenomenu. Nie licząc wrózek i magów, nikt na świecie nie przeżył jeszcze czegoś podobnego: rozkazywałyśmy niewidzialnemu, by się zmanifestowało, i po raz pierwszy od czasów Pana naszego Jezusa Chrystusa niewidzialne zareagowało! Moja siostra wyskoczyła z łóżka i stanęła pośrodku pokoju z rękoma na biodrach; w wygnięcionej koszuli do pół łydki przypominała w półmroku chochlika.

– Czy jesteś mężczyzną? – spytała ochrypłym głosem, jaki potrafią czasami przybrać dziewczynki.

Ponieważ nic się nie wydarzyło, ciągnęła swoją grę w pytania:

– Czy jesteś kobietą...? Dzieckiem...? Zwierzęciem...? – Podrapała się po głowie i zwróciła w moją stronę. – Pomóż mi! Masz jakiś pomysł?

– Może mogłybyśmy go spytać o imię i wiek?

– Nie będzie łatwo, jeśli nikim nie jest! Poza tym, jak miałby nam to powiedzieć? Porozumiewa się łoskotem albo cichym stukaniem, pomrukami tygrysa...

Kate zaczęła się obracać powoli wokół własnej osi. Naraz znieruchomiała z rozłożonymi rękoma, jak w zabawie Baba-Jaga patrzy.

– Czy jesteś duchem? – zawołała, sama onieśmielona swoim pytaniem.

Rozległy się dwa potwierdzające uderzenia, bardzo wyraźne, jakby ktoś stukał młotkiem albo kijem od miotły.

Rozpromieniona Katie jednym susem znalazła się w moim łóżku.

– Udało nam się! – szepnęła mi do ucha. – To rzeczywiście duch...

Nie uzmysłowiwszy sobie jeszcze, jaki skutek może mieć wypowiedzenie tego słowa, poczułam, że do gardła podchodzi mi lodowaty strach. Kate zatkała mi usta obydwoma rękoma, żeby stłumić narastający we mnie krzyk.

– Cicho! – powiedziała. – Zjawy są bardziej płochliwe niż księżycowe króliki...

Wreszcie znów zaczęłam oddychać, a jednocześnie panikować świszczącym głosem.

– A jeśli on wypije naszą krew albo zrobi nam dziecko?

Białka oczu Katie zabłyśły w ciemnościach, podobnie jak jej małe ostre ząbki.

– Ciii! – powiedziała, co w żadnym razie nie dodało mi odwagi. – Gdyby to był gul albo wampir, już dawno byśmy nie żyły.

Mogła być pierwsza nad ranem. W domu zapanował osobliwy spokój, ale czułam, że Katie knuła już kolejne paskudne szaleństwa.

– Jedno jest pewne – rzekła wreszcie. – Duch rozumie naszą mowę, ale jest małomówny albo też pan Splitfoot ma głos cienki jak myszka polna, który nie dociera do nas przez ścianę między naszymi dwoma światami.

Pan Splitfoot! Skąd wzięła takie nazwisko? Jej skłonność do dziwactw zdecydowanie nie zna granic.

Wyjątkowa cisza ścian i mebli skłoniła ją do dalszych rozważań.

– Wyobraź sobie głuchego i ślepcę zagubionych każdy po swojej stronie burzy. No cóż, jeden nie słyszy grzmotu, drugi nie widzi błyskawic. Żaden z nich nie ujdzie piorunowi...

– Co usiłujesz mi powiedzieć, Katie, ty śmieszna istotko?

– Że jeśli będziemy się trzymać razem, burza na pewno nas nie zaskoczy...

Moja siostrzyczka lubi zagadki. A jeszcze bardziej piosenki. Kiedy nuciła jedną ze swoich ulubionych wyliczanek, ukołysana jej głosem, zasnęłam.

What's your name, Mary Jane

What's your number, Cucumber¹¹.

Wydarzenia tej nocy znalazły swoją kontynuację we śnie. Z tym że Katie była na moim miejscu, a ja na jej. Zachowałam własną powściągliwość pod jej postacią figlarnego skrzata i dziwiłam się bardzo, widząc naprzeciw siebie tę odważną postać nastolatki, która nie należała już do mnie. Tak więc zeszyliśmy po schodach, jedna w drugiej, ja w niej albo ona we mnie.

Nie wiem, która z nas trzęsa się tak silnie, że cały dom odczuwał drgania. „Nie bój się – powiedziała Katie we mnie – zawsze za ostatnim stopniem jest jeszcze jeden”. Lecz z otworu w piecu wyciągały się ku nam języki ognia, coś huczało w otchłani żelaznych rur. Nachyliłam się, żeby zamknąć drzwiczki, i mimo gorąca dostrzegłam w tym rozżarzone akwarium dziecięce szkielety w kolorze topniejącego żelaza. Poruszały się powoli, niby długie, delikatne ryby, kostery rogate albo koniki morskie. Moja siostra o twarzy jak lustro ciągnęła mnie za rękaw. „Chodź, chodź – mówiła. – Pożar sam się ugasi”. Dałyśmy się porwać rwącemu nurtowi krętych schodów, które wydawały mi się znajome, chociaż miałam świadomość, że prowadzą aż do piwnicy. Ześlizgiwałyśmy się po falach w kształcie stopni i wkrótce znalazłyśmy się pod ziemią, pośród korzeni cedrów i wielkich sosen. Olbrzymie lśniące robaki służyły za latarnie na tej głębokości. Zresztą miałam wrażenie, że schodzę w głąb starej kopalni soli kamiennej albo do jednej z piwnic wyłożonych gałęziami. Katie, moja mała Katie zmieniona w Maggie (cóż za przedziwne uczucie odrętwienia!) wołała z dołu: „To pan Splitfoot w swojej rezydencji! Pan Splitfoot we własnej osobie...”. Zaczęła śpiewać, choć ja nie zobaczyłam nikogo prócz błędnego ognika unoszącego się z wnętrza ziemi:

Where do you live?

In the grave!

What is your favorite song?

*Hello maggot!*¹²

Wybudzona gwałtownie, zrozumiałam, że moja współlokatorka właśnie skończyła wyliczankę, zresztą osobliwie przekształconą, i że mój sen trwał tylko tyle ile jedno ziewnięcie. Z ostrożności, a może dlatego, że jestem przesadna, obmacałam swoje piersi, dość rozwinięte jak na mój wiek, a następnie piersi siostry, praktycznie nieistniejące.

– Co ty wyprawiasz? – zdenerwowała się Katie.

– Ależ nic takiego! – odparłam bez uśmiechu. – Chciałam się tylko upewnić, że nie jesteś mną...

Nieśmiało, czując zdrętwienie w jednym ramieniu, poprosiłam ją, żeby powtórzyła mi koniec swojej piosnki.

– Jakiej piosnki? – zdziwiła się.

– No wiesz... *Where do you live...*

– Aha, wyliczanka dla pana Splitfoota! Nie pamiętam już zbyt dobrze. Poczekaj, to było tak:

Jak cię zwą? Kopyto z brodą

*Jaki twój numer? Składa się z zer
Z jakiego kraju? Daleko od raj
A jaka ulica? Stara diabolic
Gdzie twój dom? Ciemny loch, gdzie zgon.*

X

Pierwsza rozmowa z panem Splitfootem

W ciągu tych marcowych nocy osobliwe zjawiska nasiliły się jak nigdy dotąd. Drżenie parkietu trzęsło łózkami i nie sposób było nie wyczuć za każdym razem długiej wibracji przenikającej kręgosłup z dołu do góry. Kiedy zbliżała się północ, rozlegały się nieprzerwanie głucho, donośne odgłosy, niczym stukot siekiery o pień drzewa albo bryły żeliwa o deskę. Odpoczynek rodziny zależał od kaprysu tajemniczego domostwa. Tylko John D. Fox, mężczyzna wiary, którą pokładał wyłącznie w Kościele episkopalnym metodystów, mało przychylny przesądom i umiejący sprowadzić niezwykłość do banalności, za żadne skarby nie chciał zrezygnować z chrapliwego snu. Jego zdaniem chałupa cierpiała na starość, drewno pracowało, teren się obsuwał. Historie o duchach to wymysły. Obawiać się można było tylko tego, że kiedyś osuwisko porwie ich wszystkich w głąb stawu. Ale łaska Pana i kilka kubków szlachetnej whisky sprawią, że zasłużony wypoczynek nie zostanie przerwany.

Owej nocy, ostatniego dnia marca tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku, tata Fox znów przebywał w interesach w Rochester, a trzy kobiety zamieszkujące farmę przy Długiej Drodze, całkowicie wycieńczone zamieszczeniem po poprzedniej nocy, położyły się w jednym pokoju w nadziei, że zdołają uniknąć mąk bezsenności. Mamusia i Margaret od dawna już głęboko spały, kiedy tuż przed północą rozległo się łomotanie.

Kate, tak jak poprzedniej nocy, wyczekiwała znaków przepowiadających zjawisko, w głębi duszy spokojna, choć na wskroś poruszona ogromem cudu, jaki ją spotkał: jest żywa w samym sercu ciemności. Mogła przecież zniknąć nieoczekiwanie, zmienić się w kota albo w dzban, a cała ta osobliwość nie drgnęłaby nawet o włos. Bycie sobą, małą, nic nieznaczącą dziewczynką, i odczuwanie splotu nocnych tajemnic było dowodem, którym musiała się cieszyć, by nie umrzeć z trwogi. Pan Splitfoot raz a dobrze zgromadził wszystkie sekrety w jednym, zamkniętym i zakurczonym pomieszczeniu, z kolei czerwonoskóry w zielonych okularach towarzyszył jej podczas wędrówek przez otwarte przestrzenie, przez lasy i wyżyny, niczym posłaniec ludu wiatru i światła.

Uderzenia nasiliły się na tyle, by obudzić Maggie, która leżała po

prawej, w miejscu, gdzie zazwyczaj pochrapywał tata Fox; mamusia posapywała cicho po lewej. Maggie zobaczyła siostrę zajęętą strzelaniem kciukami o duże palce. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu stukot odpowiadał. Jeden do jednego, dwa do dwóch i tak dalej. Pan Splitfoot wyraźnie naśladował Kate.

Ta przybrała ów sprytny wyraz twarzy, który tak dobrze spisywał się w kontaktach z dorosłymi, uwodząc ich i wprawiając w zakłopotanie.

– Jeśli potrafisz liczyć do siedmiu, udowodnij to!

Rozległo się siedem uderzeń w niepokojąco równych odstępach czasu.

– Teraz policz do dziesięciu...

Kolejne uderzenia następowały po sobie, a obudzona przez cały ten harmider mamusia i Margaret wymieniły długie spojrzenia: było w nich i przerażenie, i powątpiewanie. Rzecz była tak osobliwa, w tej scenerii wiejskiej samotności, że myśli, jakie stłoczyły się nagle w ich głowach, musiały znaleźć swój upust. W umysłach prostej kobiety ze skłonnością do przesądów i młodej dziewczyny otworzyły się subtelne i promieniste kanały świadomości. Bez uprzedzenia, w wyniku fantazji dziewczynki cierpiącej na bezsenność, przez ściany i podłogi dobijał się do nich inny świat. Spontaniczna komunikacja nabrała takiej gwałtowności, że mamusia straciła wszelką rezerwę i ośmieliła się zadać istocie pytanie natury intymnej.

– Ciekawa jestem, czy wiesz, ile urodziłam dzieci?

W odpowiedzi rozległo się siedem uderzeń.

– To nieprawda! – zawołała. – Ile ich urodziłam w moim jednym życiu?

Stukanie powtórzyło się siedem razy.

– Ależ – powiedziała, ogarnięta nagłym zmęczeniem – miałam tylko was dwie i Leah, i najstarszego Davida, dzielnego chłopca, i nieszczęsnego Big Billa, którego trzeba było umieścić w hospicjum...

– Zapominasz o Abbey – szepnęła Kate, patrząc jej prosto w oczy.

– Prawda, niech Bóg mi wybaczy! Licząc z małym Abbeyem, będzie ich sześcioro. – Ogarnięta bolesnym wspomnieniem, jęknęła krótko. – Czy martwo urodzone też się liczą? Niech będzie im oszczędzona męka! Przynajmniej pożyły szczęśliwie w łonie... To będzie jedno więcej. Jeden i sześć...

Zapadła cisza, którą zakłócało tylko trzeszczenie gałęzi wielkiego cedru za szopą. Noc zagładająca przez szczeliny w okiennicach rzucała na pościel i twarze poblask zrodzony z załamania światła gwiazd na ciemnej tafli stawu.

Kate i Margaret również wsłuchiwały się w oddech nocy; czuły bezgraniczną ulgę, że mamusia wreszcie została wtajemniczona. Dorosła osoba będzie je odtąd eskortować przez pełne wątpliwości i usiane pułapkami okolice. Kate przypomniała sobie pożegnalną wizytę na cmentarzu w Rapstown, kilka dni przed przeprowadzką. Piękny jesienny dzień miał się ku końcowi, a rozrzucone grobowce wybitnych osobistości rzucały czarne cienie na czerwoną trawę. Ze świeżo wykopanych grobów wyleciały wrzaskliwe wrony, pogrążając niebo w żałobie. W jednym z zakątków, z dala od kamiennych monumentów, należący do rodziny Foxów kwadrat ziemi pokrywała płatanina pokrzyw i passiflory. Leżeli tam dziadek i Abbey, jeden nad drugim. O zmierzchu przez nieuwagę pozostawiono Katie samą wśród zmarłych. Zapamiętała widok pola zalanego purpurą zachodzącego słońca i wszystkie te krzywe kamienie i drewniane krzyże. Nie byłaby zaskoczona, widząc rogi Belzebuba.

„Słyszysz mnie, braciszku, tam w głębi, słyszysz mnie?”

„Nie zostawiaj mnie samego pośród nocy, w ciemnej ziemi”.

„Czy mnie słyszysz?”

„Siostrzyczko, nie zostawiaj mnie tu, jest mi zimno, ziemia mnie pali...”.

Mamusia i Maggie, które dzielił mniej więcej metr, wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Lepiej jej nie budzić. Budzenie lunatyków jest niebezpieczne. Katie wstała z łóżka i ruszyła w stronę ciemnego pomieszczenia. Opuściła cmentarz. Szuka teraz miejsca, skąd dochodzą płacze melodyjne niczym śpiew kobiet wyplatających kosze. Wielkie zwierzęta, brodzące w dymie, zrywają się na jej widok do ucieczki przez niezbadane równiny. Skąd dźwięk cymbałów, tam, wysoko w górach, i co to za hordy wśród ostatnich promieni światła? Twarz Abbeya, lekka mgiełka, towarzyszy jej ku nocy bardziej oślepiającej niż bramy raj.

– Boże, my śpimy! – orientuje się nagle.

Budzi się, chwiejna, u stóp schodów. Mama i Maggie podbiegają do niej i odprowadzają do łóżka, jakby o to prosiła. Nie, nie bałaby się spotkania sam na sam z duchem. Matka słyszała, że nie powinno się sprzeciwiać lunatykowi. Że jeśli nawet wydaje się spokojny pod pierzyną, to podróżuje przez zaświaty z wyciągniętymi naprzód rękoma.

Kiedy Kate została ułożona i otulona, pani Fox, nie zwracając uwagi na pełne niepokoju wołania Maggie, pozostawionej samotnie w sypialni rodziców, zaczęła nucić przez drżące wargi radosną wyliczankę, tę samą, którą śpiewała jej umierająca matka, by pocieszyć ją, gdyż odtąd będzie musiała sama podążać drogą, nie zaznajac spoczynku.

*Good night little girl, sleep tight
Keep this ring on your finger, so bright!
In your sweet rosebud bed, good night¹³.*

XI

Wielebny Gascoigne w rodzinie

Kwietniowe słońce, ukryte do tej pory za ciemnymi chmurami, które zdawały się pochłaniać wszystkie mogiły pamięci, zalało nagle łąki i pola blaskiem rozkoszniejszym niż łyk czystej wody. Wielebny Gascoigne siedział za swoim starym dębowym biurkiem i analizował zachowanie Pearl. Ona zaś trwała nieruchomo przy otwartym oknie, lekko pochylona, bez wątplenia oczarowana owym przejaśnieniem, które nastąpiło po ulewie. Słysząc było spokojny krok konia prowadzonego przez jakiegoś kowboja. Czy zatrzyma się w Hydesville, czy podąży dalej, do Rochester? Pearl – delikatna, o wyrazistej urodzie i pełna wdzięku, w muślinowej sukni z wyszywanym pasem – zamknęła okno i odwróciła się lekko w prawo, zupełnie jak w walcu, tyle że w zwolnionym tempie, co sprawiało, że jej gesty wydawały się gospodarską rutyną: tu przestawiona szklana kula, tu muśnięty bukiet drzączki i konwalii, zdmuchnięty pyłek kurzu...

– Pearl, Pearl! – niecierpliwił się pastor. – Chcesz mnie o coś prosić, że się tak kręcisz jak bączek?

– Och! Nie, ojciec, myślałam tylko o ostatnich zdarzeniach. Siostry Fox były wczoraj nieobecne. Czy nie sądzi ojciec, że...

– Nie ma co tu sądzić w tej sprawie!

– Mówi się, że nawet pan Fox, który ma dość twardą głowę, opowiada w miasteczku różne historie...

Wielebny machnął ręką zmęczony. Zmarszczki na jego bladej od częstego czuwania twarzy pogłębiły się jeszcze bardziej.

– Ten chrześcijanin z większym zapałem przyjmuje komunię w saloonie niż w świątyni. Alkohol i domino sprawiają w końcu, że wszyscy oni zboczą z właściwej drogi, on i jemu podobni. Kiedy nie są zajęci swoją świętą pracą, grzesznikom spieszo tylko do jednego: oddalić się jak najszybciej od boskiego światła...

Z delikatnością białej czapli Pearl oparła czubki palców na biurku, rzucając staremu człowiekowi spod powiek jedno ze swoich błękitnych jak niebo spojrzeń.

– Ojciec wymaga zbyt wiele od tych nieszczęsnych farmerów, prawdopodobnie...

Wielebny Gascoigne przyjrzał się córce z nieodłącznym uczuciem zniecierpliwienia, bezgranicznej czułości i głębokiej melancholii: Pearl tak bardzo przypominała mu Violet, gdy ta była jeszcze młodą matką. Była może bardziej rozsądna, lecz rozsądek wyrażał się w jej wypadku w formie roszczenia, niemal wyrzutu, systematycznej petycji. Pomyślał, że żałoba po małżonce spaliła w nim prawdziwe miłosierdzie, zwęgliła tkankę współczucia, pozostawiając w sercu jedynie kilka białych włókien potencjalnej łaski. Od samobójstwa żony pastor walczył z obłudą, choć nie zaniedbywał żadnego ze swoich kapłańskich lub społecznych obowiązków. Pearl natomiast trwała w przekonaniu, że moralność nie została nadwyreżona. Czyż matka nie utonęła przez przypadek? Dziewczyna była głucha na insynuacje i wszelkie nieuprzejmości. Stoczyła wszystkie walki o wolność i równość zapisane w Ewangeliach. Ojciec podejrzewał nawet, że córka jest członkiem ruchu pomocy dla zbiegłych niewolników; nie ukrywała swoich przekonań, popierała radykalną emancypację zarówno czarnoskórych, jak i kobiet. Emanowała energią i miała wygląd pięknego anioła, jakie uwielbiają obrazować papiści. Do kogo na tej nędznej ziemi porównać podobne zjawisko? W Starym Świecie, przed ogłoszeniem wolności wyznania, postawiono by ją między niepokornymi i skazano na męki.

Pastora drażniły dziwaczne skojarzenia, które wciąż atakowały jego umysł.

– Czy mogłabyś pozwolić mi popracować nad kazaniem, muszę naprostować umysły sporej gromadki wiarołomców...

– Dlaczego ojciec w to nie wierzy? – spytała wprost dziewczyna.

– W co? W te głupie historie o stukających duchach? Ja wyznaję zbawienie w Jezusie Chrystusie!

Odeszła bez słowa, zniknęła w mroku podestu schodów. Nie zamknęła za sobą drzwi, a jej śmiech, skierowany do niewidocznych dla pastora istot – pewnie do starego długowłosego yorka zbiegającego po schodach albo gadatliwego szpaka w holu – dotarł do niego zniekształcony, niemal nierealny, jakby z innej epoki, z czasów na długo przed pierwszym atakiem neurastenii nieszczęsnej Violet.

Pochylił się nad Biblią i objął głowę dłońmi, żeby odgrodzić się od hałasów świata. Medytacja nad kazaniem w przeddzień jego wygłoszenia była dla niego czasem wytchnienia, odpoczynku od prozy jego codziennej posługi, która polegała na zabawianiu gromady chamów i głupców albo na straszaniu dzieci. Promień prawdziwego światła, przesywając te ciasne

czaszki, uczyniłyby w nich więcej szkody niż nabój z pieprzniczki. W jaki sposób sprowadzić ich na ścieżki Pana? Od czasów Lutra, braci morawskich i Świętego Klubu nie wynaleziono lepszych sposobów na głoszenie dobrej nowiny niż kazania z ambony, szerzenie trwogi i rzucanie klątw. Na otwartej przestrzeni czy też w kopalniach węgla śmiertelnicy rozumieją wyłącznie grzmienie Boga, ślepi zaś są na jego pioruny. John Wesley, założyciel Kościoła metodystycznego, przemierzał swego czasu prowincję Wielkiej Brytanii, odczytując i pisząc kazania na grzbiecie swojego konia, mając za jedyną ambicję zdobywanie dusz ludzkich. Na nawiedzonych wyżynach Ameryki lepiej było stawić czoło masie niedowiarków lub papistów, zwolenników niewolnictwa, niż jednemu nekromancie.

Wielebny Gascoigne kartkował Biblię. Ze zręcznością gracza w trzy karty wertował strony Pięcioksięgu, Księgi Nahuma, Trzeciej Księgi Mojżeszowej i Przypowieści Salomona. Jego palec bez wahania zatrzymywał się na potrzebnym wersecie. Tak więc Przedwieczny mówi do Mojżesza: „Nie będziecie się zwracać do wywoływaczy duchów ani do wróżbitów. Nie wypytujcie ich, bo staniecie się przez nich nieczystymi; Ja, Pan, jestem Bogiem waszym”¹⁴. Tak więc król Manasses, obrażając Wiekuistego, umieścił Baala i Astarte w Świątyni i złożył ofiarę z własnego syna; podobnie jak Filistyni otoczył się magami i fałszywymi prorokami.

– „Domu Jakubowy! Nuże! Postępujmy w światłości Pana!”¹⁵ – szepnął pastor.

Następnie czytał już tylko ze zwojów swojej pamięci: „Niech nie znajdzie się u ciebie taki, który przeprowadza swego syna czy swoją córkę przez ogień, ani wróżbita, ani wieszczbiarz, ani guślarz, ani czarodziej”¹⁶, „Wejdz do jaskiń skalnych i skryj się w prochu ze strachu przed Panem i przed blaskiem jego majestatu”¹⁷.

Nagle uświadomił sobie, że skoro wszyscy prorocy, wielcy i mali, odwracali się od owej nekrofilskiej prostytucji, to dlatego, iż widzieli w tym wykolejony dar prorocstwa. Przerwał medytację i zawołał:

– „Kto zaś zwróci się do wywoływaczy duchów i do wróżbitów, by naśladować ich w cudzołóstwie, to zwrócę swoje oblicze przeciwko takiemu i wytracę go spośród jego ludu”¹⁸.

Lecz jakież opętane istoty w swej słabości miałyby serce podsycać piekielny ogień? Zamknął oczy i ciągnął dalej pewniejszym już głosem:

– „Radujcie się, że żyjecie i że jesteście bez grzechu, pozostawcie Panu władzę i moc nad nieczystymi duchami”.

Wielebny przypomniał sobie króla Saula poszukującego nekromantki, która potrafiłaby zaradzić okrutnej głuchocie Wiekuistego na jego prośby. Jego słudzy znaleźli mu kobietę w Endorze. Przebrany za kupca król złożył jej wizytę i rozkazał: „Przepowiedz mi przyszłość, wzywając zmarłego”. Kobieta odparła, że ryzykowałaby życie, gdyż królewski dekret zabrania jej to czynić, ale Saul przysiągł, że ją ochroni, jeśli wypełni jego polecenie. Poprosił, by wezwała z podziemnego królestwa Samuela, ostatniego sędziego. Przerazona kobieta rzekła do Saula, w którym nagle rozpoznała swojego króla: „Widzę boga, który podnosi się z ziemi!”. Ale otulony płaszczem starzec, ten sam, który za życia posadził go na tronie, nie chciał wesprzeć Saula w jego strapieniu. Dlaczego zmarły prorok miałby wieszczyć?

Głosem drżącym z oburzenia wielebny zakrzyknął:

– Jeźdźcy wrywają się do przodu, miecz skrzy się, włócznia łśni... Niezliczeni ranni! Rzesza trupów... Ciżba zmarłych! Walczący potykają się o zwłoki! – Po czym dodał głucho, otrząsnąwszy się ze swej wizji: – Nie, martwi nigdy nie odpowiadają na prośby żywych, chyba tylko, by im oznajmić rozpad ich królestwa! Zmarli nie mają pamięci, nie znają miłości... – Wielebny jeszcze bardziej zniżył głos, zbity z tropu. Perorując, zapuścił się aż po wieżę Babel swojego widzenia, mieszając królów i proroków, zwrócił się przeciwko samemu sobie, przeciwko swojej samotności wdowca, wygłaszał próżne egzorty, wersety Eklezjasty: – „Zarówno ich miłość, jak ich nienawiść, a także ich gorliwość dawno minęły; i nigdy już nie mają udziału w niczym z tego, co się dzieje pod słońcem”¹⁹.

XII

Jeśli zapomnisz o mnie na pustyni

Od świtu na Długiej Drodze William Pill podejrzewał, że przekroczył już granicę hrabstwa Monroe, choć okolice nie poznawał: łany zboża oraz innej paszy dla zwierząt i ludzi rosły często tam, gdzie niegdyś rozciągała się dzika preria, jeziora i lasy. W ciągu tych ostatnich dni w Ohio, a później w Pensylwanii, wędrując konno bez pośpiechu, William Pill zdążył przetrząsnąć wszystkie zakamarki swojej pamięci. Z żołądu zostało mu kilka dolarów, miał też zegarek z masywnego srebra, który wygrał w pokera w Cleveland. W pobliżu Filadelfii, na brzegu rzeki Delaware, appaloosa zaczął się buntować, a berberyjczyk, zachęcony jego przykładem do przekory, postanowił się kłaść na ziemi przy najkrótszym nawet postoju.

Pill musiał więc dużym nakładem kosztów zmienić wierzchowce, gdyż jego własne straciły prezencję i udało mu się za nie uzyskać cenę jak za dwa szkielety. Złożył większość swojego bagażu na solidnym quarter horse, metr sześćdziesiąt w kłębie, którego kupił od kowboja na wózku inwalidzkim. Kowboj twierdził, że złamał sobie kręgosłup podczas rodeo – jako że klacz wydawała się dobrej budowy, William Pill udał, iż wierzy w tę historię, i oto jechał teraz stępą Długą Drogą, upewniony co do swojej dobrej gwiazdy, która pozwoliła mu wyjść cało z wojny i niebezpiecznej podróży. Mimo obecności kilku plemion humorzastych Irokezów i krwawych sporów między klanami hodowców i rodzinami rolników stan Nowy Jork był spokojną przystanią w porównaniu z Zachodem i Wielkimi Równinami. Nie licząc zabliźnionego ramienia i meksykańskiej kuli w charakterze amuletu w kieszeni, Pill nie posiadał już nic prócz zegarka z dewizką w podwójnej kopercie z wygrawerowanym orłem, springfielda i starej Biblii po swoim zmarłym dobroczyńcy Edwardzie Blairze – żadnej pamiątki po ojcu, żadnej rodziny ani przyjaciela od serca. Miał za to dla siebie przyszłość, która nie należy do nikogo.

Późnym popołudniem, jadąc wciąż truchtem na Jej Wysokości, żywej klaczy o płomiennej grzywie, zdało mu się, że rozpoznaje wreszcie okolicę, niczym zbliżającą się znajomą twarz. Jego wątpliwości rozwiąły się, kiedy spośród mgieł po jego lewej ręce wyłoniły się stłoczone wzgórza krainy Irokezów, usiane tu i ówdzie stromymi skałami, stanowiącymi granicę

między uprawnymi równinami i głębokimi dolinami, przez które kowboje pędzili swoje stada. Przełamując ten podział rzekami o zróżnicowanym wyglądzie – raz władczymi, raz krętymi, raz spokojnymi – oraz rozległymi masywami osik i strzelistych drzew iglastych, krajobraz zyskiwał swego rodzaju refleksyjny charakter i niespokojne drżenie, wypełnione śpiewem ptaków i niekończącym się echem – jak gdyby cisza też oddychała. Dwa orły w locie kreśliły pętle na krwawej ranie zachodzącego słońca.

Po raz kolejny niczym ogień wśród leśnego poszycia zaśniła rzeka na zakręcie cienistego parowu. Pill dostrzegł wreszcie wielki zbiornik przypominający młyn i drewnianą tablicę na poboczu drogi, na której widniały czarne litery: „Hydesville”. Kawałek dalej, na pastwisku okolonym niskimi kredowymi wzgórzami, w które wbijały się tu i ówdzie czarne pnie sosen niczym powykręcane palce demona, wznosiło się monumentalne samotne drzewo w bezmiarze swojego cienia. William Pill rozpoznał dąb Pré-Courant, który wyrósłszy z przypadkowego nasiona, zdobył ćwierć nieba swoimi konarami i sięgnął korzeniami głębi piekieł. Na jego rozłożystych konarach został swego czasu powieszony niejaki Joe Charlie-Joe, syn niewolnika, oddany Panu biały jak śnieg przez hodowców z rancza Mansfieldów – za pocałunek skradziony pięknej Emily, jedynej spadkobierczynie klanu. Tę starą historię sprzed piętnastu lat słyszał wiele razy w saloonie. Dziewczyna, która doniosła na nieszczęsnego chłopca, obecnie matka o twarzy dziewicy i pięknych piersiach, władała ranczem widocznym za zimowymi pastwiskami, obszerną drewnianą budowlą z pomalowanym na biało perystylem. Nieco bliżej, w dole Długiej Drogi, dachy z łupków i blachy na zabudowaniach w centrum Hydesville migotały w ostatnich promieniach słońca. Nie licząc szczekania psów i jazgotu ptaków, z miasteczka nie dochodził żaden odgłos.

William Pill ściągnął wodze, zadziwiony ową ciszą. Gotowa w każdej chwili zawrócić, Jej Wysokość strzygła uszami, podążając stępą główną ulicą. Jej kopyta wybijały do taktu na cztery, wzbijając biały pył. Pill popadł na chwilę w zwątpienie wśród tego pustkowiec; widywał już na południu całkowicie wyludnione miasteczka. Tutejsi ludzie byli przywiązani do swoich żyznych ziem, ale kalifornijskie złoto niejednemu przewróciło w głowie. Wreszcie jednak dwóch młodych Mohawków, siedzących w kucki na trawniku przed świątynią, uspokoiło go – Indianie nie lubią martwych domów. Pozdrowił ich, unosząc dłoń do kapelusza, i kontynuował leniwe zwiedzanie okolicy. Starzec w spodniach na szelkach pałacy w progu chałupy, dzieci uwieszone spódnicy czarnej mamki, koń przywiązany do

słupa przy stoisku z ziarnem, stado kotów krążące wokół jednookiego garbarza: te oznaki życia wśród pyłu wskazywały na nienaruszoną społeczność, zapewne zajętą akurat gdzie indziej, być może skuszoną przez znachora z Bostonu lub Rochester, jakiegoś wędrownego kaznodzieję albo lincz na złodzieju kur. W oknie dość ładnego budynku, w którym Pill rozpoznał domostwo wielebnego Gascoigne'a, tiulowe zasłony rozchyliły się, odsłaniając twarz kobiety okoloną rozpuszczonymi blond włosami i tak jasną, że William znieruchomiał w siodle do tego stopnia, iż Jej Wysokość odwróciła łeb i parsknęła zabawnie.

Dotknięty uczuciem niewysłowionej pustki William Pill chwycił znów za wodze. Jechał teraz klusem, spieszo mu było bowiem wrócić na Długą Drogę. Wierzchowiec pędził z rozwianą grzywą. Nagle pojawiła się przed nim lufa wielostrzałowej strzelby.

– Stać albo strzelam! – wrzasnął chwyt w wysokich butach, który wyskoczył na środek drogi.

Nowo przybyły zastosował się do rozkazu bez wahania. Rozpoznał w mężczyźnie marszala mimo zmienionego wyglądu – większej tuszy i głębszych zmarszczek. Czy możliwe, by Robert McLeann również zachował go w pamięci?

– Zsiadaj z konia i zbliż się z wolną ręką na karku, Willie the Faker! Mamy do pogadania!

Znając niezbyt pewny spust człowieka z bronią wycelowaną prosto w niego, William Pill zrobił to, o co go proszono. McLeann zawsze go bawił swoją cierpiącą na migreny prawością i służbowym honorem.

Siedząc za biurkiem, marszał musiał się przyznać do pomyłki, gdy rozwinął certyfikat podpisany własnoręcznie przez generała Taylora.

– Gdyby nie widniało tu twoje nazwisko i data urodzenia, mógłbym uznać, że wygrałeś to w pokera!

– Wygrałem go własną krwią! – odparł z niejaką emfazą William Pill, odsłaniając brzydką bliznę na ramieniu. – A gdyby korzystał pan z telegrafu, jak każdy szanujący się szeryf, uniknąłby pan wielu przykrych pomyłek...

– Co nie przeszkodzi mi w wysłaniu prośby o informację na twój temat pierwszym dyliżansem pocztowym!

William Pill parsknął śmiechem, zerkając przez brudną szybę na zamknięte drzwi saloonu po drugiej stronie ulicy.

– Co tu się dzieje, marszale? Panuje epidemia dyzenterii?

– Wolałbym, żeby tak było. Choćby i żółta febra...

Po tych enigmatycznych słowach sierżant rezerwy opuścił byłego szeryfa hrabstwa Jefferson, zdegradowanego do stopnia posiłkowego funkcjonariusza policji w hrabstwie Monroe z powodu niestałej w uczuciach lub – jak kto woli – wiernej tylko własnemu instynktowi kobiety.

Dzień miał się już ku końcowi, lecz ludności w Hydesville wcale nie przybyło. Tylko bezdomne psy i samotna krowa włączyły się po głównej ulicy w świetle zachodzącego słońca. W kilku oknach pojawiło się światło, lecz wszystko, co miało nogi, najwyraźniej udało się na tajemną pielgrzymkę. Jej Wysokość znów kroczyła Długą Drogą między cienistymi zagajnikami i zanikającymi wzgórzami, które stapiały się powoli z rozmytymi kształtami marzeń. Naznaczone tajemniczością przestrzeni odmienionych inwersją światła – utajonego, a zarazem bardziej intensywnego – wiosenne wieczory miały w sobie ostrą świeżość pochodzącą od gwiazd. W takich chwilach, na przełomie dnia i nocy, William Pill wspominał obrazy i zdarzenia, które miały miejsce w innym świecie, zwanym starym, choć naznaczonym okrutną młodością, z pakietem nieszczęść uderzających przede wszystkim w dzieci: jego bracia i siostry, zabrani przez cholere, zachowywali młodość w postaci nienaruszonej.

Błądzącemu tak między wzgórzem i doliną, wkraczającemu powoli w noc z umysłem ogarniętym katastrofą, jaką swego czasu była przeprawa przez Atlantyk na łajbie pełnej gorzkiej niezgody, nazwanej szyderczo Braterstwem, Williamowi Pillowi wydało się, że widzi w ciemnościach sieć latarni migoczących na morzu wysokich traw i czarnych gałęzi.

XIII

Goście jednego wieczoru w nawiedzonym domu

Ciekawość za daleko posunięta prowadzi często do rozruchów, ale na razie ludzie gromadzili się w chciwej ciszy wokół farmy rodziny Foxów, z lampami i lampionami w dłoniach. W większości stali na zewnątrz, chociaż ci, którzy przybyli pierwsi, cisnęli się w środku przy ścianach i wsłuchiwali gorliwie w polecenia matki Fox.

– Nie ruszajcie się, drodzy sąsiedzi, nie hałasujcie. Tak, właśnie zeszłej nocy słyhać było stukanie w parkiet i pod łózkami, które aż podskakiwały. Słyszałyśmy kroki w spiżarni, a nawet tutaj, u stóp schodów. Nie sposób było zmrużyć oka, bo potępiona dusza krążyła wokół moich córek i mnie samej, usiłując na wszelkie sposoby dać o sobie znać...

Targane sprzecznymi uczuciami, od lekceważenia, poprzez skrajną niepewność, po strach, oblicza mieszkańców miasteczka zmieniały się niczym płótna na wietrze w tańczącym świetle lamp oliwnych. Głos matki Fox nabierał coraz większej pewności, utożsamiał się z falą zdziwienia odmieniającą zapatrzone w nią fizjonomie.

– Rzekłam więc: „Czy to istota ludzka, gotowa odpowiedzieć mi uczciwie?”. Nie było odpowiedzi, ani jednego wstrząsu. Dodałam: „Czy to duch? Jeśli tak, proszę zastukać dwukrotnie”. Dwa uderzenia, jak słowo daję, dały się słyszeć tuż potem. Ciągnę dalej: „Jeśli jesteś zranioną duszą, zastukaj trzykrotnie”. Cały dom się zatrzęsł. Spytałam więc: „Czy zostałaś zraniona pod tym dachem?”. Odpowiedź przyszła natychmiast. „Czy napastowano cię wielokrotnie?”. Potwierdzenie, bez wątplenia! Działając w ten sposób, dowiedziałam się, że zmarły był za życia wędrownym kupcem i ojcem rodziny. Został zamordowany dla pieniędzy piętnaście lat temu, w wieku chrystusowym, w tym tutaj domu, a jego zwłoki pochowano w piwnicy.

W tej chwili dał się słyszeć suchy trzask niebywałej gwałtowności. Rozprysł się wazon z białego szkła, wypełniony chabrami, dzwonkami i gencjaną, które rozsypały się po stole i podłodze. Pani Fox otworzyła szeroko oczy i wskazała palcem na skorupy.

– To już drugi! – zawołała. – Czy chce mi wytłuc wszystkie naczynia?

W głównej izbie pełnej ludzi nastąpiło poruszenie, wycofywano się,

z gardeł wydobywały się stłumione okrzyki przerażenia. Panika ich kontrastowała z uciechą, która ogarniała zebrany na zewnątrz tłum, jako że nawet w najtrudniejszych chwilach kilka lampionów w rękach zacnych ludzi pośród jasnej nocy wystarczy, by obudzić w sercach świąteczny nastrój.

Odziany w przetarty świąteczny garnitur tata Fox stał na stopniu schodów, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, niczym nieufny mormon, i z wyższością spoglądał na ludzi. Pod jego dachem rozgrywały się ważne wydarzenia i myśl ta w naturalny sposób budziła w nim dumę. Biedny farmer metodysta, ignorowany przez innych i wyśmiewany przez córki, mógł choć raz w życiu poczuć się wybrany do niepojętych celów. Był przekonany, że spadła na nich potężna klątwa. Czyż nie był przez długi czas jedyną osobą w domu, która nie przyjmowała do wiadomości całego tego szaleństwa? Oto jednak demon z zaświatów narzucił mu swoją wolę. Nie mógł mu się oprzeć. Prosty człowiek, który przyjmował nauki tylko od Boga, nie mógł nic zrobić przeciwko podobnym fenomenom. Któż lepiej niż on zdawał sobie sprawę z tego, że jego małżonka w ciągu kilku dni stała się bardziej elokwentna niż wielebny Gascoigne? Duch dotknął jej języka, gdyż nie był w stanie dotrzeć do mózgu! To ona wysłała go po wdowę z Bout du Haut, ich najbliższą sąsiadkę. Pani Redfield drżała i nieomal zemdląła, kiedy matka Fox zaczęła się rozwodzić nad zamordowanym kupcem, szczególnie w chwili, kiedy wazon wypełniony przez małą Kate polnymi kwiatami rozprysł się z hukiem na tysiąc kawałków.

Pani Redfield i wszyscy pozostali wpatrywali się teraz wielkimi oczami płazów w podłogę i stół. W pierwszym rzędzie stał Isaac Post, jedyny wśród zebranych, który znał się na komunikowaniu z zaświatami. Ów poczciwy filadelfijczyk o ruchliwych wąsach kiwał głową niczym zaniepokojony muł. Dueslerowie, dawni hodowcy, którzy w wyniku epidemii dziesiątkujących stada zmuszeni zostali zająć się uprawą ziemi, nie kazali się długo prosić o przybycie. To pani Duesler zwołała tu wszystkich z okolicy. Szanowana rentierka, surowa pani Hyde – siedemdziesięcioletnia dziś córka założyciela Hydesville, przedsiębiorczego pastora, który zbudował w dolinie gigantyczny tartak z zamiarem oddania tutejszych lasów pod uprawy – przemierzyła pieszko Długą Drogę w towarzystwie służącej, ze ślepą latarką w dłoni. Państwo Jewellowie również odpowiedzieli na wezwanie, ogarnięci wielką nadzieją. Był też samotny wilk, George Willets, tolerowany w miasteczku od czasu, gdy w swoim poszukiwaniu wewnętrznego światła posunął się do zerwania z Towarzystwem Przyjaciół. Widziano również

Stephena B. Smitha, wielkiego myśliwego i amatora broni, oraz jego żonę Louise, która okazała się daleką krewną pani Fox. Podobnie jak i najstarszy z towarzystwa, David S. Fox i jego żona, farmerzy zamieszkali trzy mile stąd, w okręgu Pittsford. Gospodyni przyglądała się poruszonej cizbie. Nigdy, nawet w świątyni w dzień odpustu, nie widziała podobnego zgromadzenia. Na wpół świadomie zaprosiła całą społeczność miasteczka do położenia kresu plotkom i podzielenia się z nią cudem. Czyż to nie zdumiewające, że po raz pierwszy od czasu zmartwychwstania naszego Pana zaświaty dają o sobie znać zwykłym śmiertelnikom?

– Spytałam: „Czy będziesz nadal robił rejwach, jeśli zaproszę sąsiadów? Niechby i oni na tym skorzystali!”. Duch odpowiedział twierdząco...

– W takim razie czy pozwolisz nam go przepytąć? – przerwał znużony tym kazaniem Isaac Post.

– Chciałabym go spytać o mojego drogiego syna! – zawołała pani Jewell.

Górując nad kręgiem farmerów o dobrą głowę, odezwał się szyderczo potężny chwyt w zakurzonych butach i o twarzy naznaczonej śladami po ospie:

– Jaki mamy dowód, że te panienki nie drwią sobie z nas, stukając kijem od miotły w szafie?

Kate i Margaret, które przysłuchiwały się wszystkiemu z podestu schodów, zeszły teraz na dół z godnością, by odeprzeć zarzuty i uciszyć złe śmiechy.

Wówczas odezwał się głębokim głosem Isaac Post, napominając gospodarzy i zebranych, by niepotrzebnie nie zakłócali komunikacji. Następnie, wywołując ogólne znudzenie, wygłosił dłuższą tyradę na temat kodów cyfrowych elektrycznego telegrafu Morse'a i Vaila.

– Do czego pan zmierzasz? – przerwał mu Stephen B. Smith.

– To proste, skoro możemy dziś odbierać i wysyłać wiadomości na duże odległości dzięki impulsom elektrycznym, załóżmy, że dałoby się uczynić podobnie z zaświatami...

– Ale on potwierdza i zaprzecza, po co więc dręczyć go tymi pańskimi kodami? – burknął inny kwakier. – Duch to nie jakiś telegrafista...

Wśród zebranych przeszedł niespokojny szmer. W gryzącym dymie wydobywającym się z pieca, w którym zapalono w ową chłodną noc, dało się – zdaniem farmerów Dueslerów i pani Hyde – wyczuć zapach siarki.

Isaac Post podszedł do stołu i pięścią przedstawił swój system: każdej literze odpowiada pewna liczba uderzeń, od jeden do pięć dla samogłosek

A, E, I, O, U, od sześć do dwadzieścia sześć dla spółgłosek B, C, D, F, G, H, J, K, L, M, N, P, Q, R, S, T, V, W, X, Y, Z. Dwa krótkie uderzenia dla potwierdzenia, trzy wolniejsze oznaczające „nie”.

– Duchu, jesteś z nami? – załomotał litera po literze, nie zapominając przetłumaczyć energicznym głosem pytania na angielski dla zebranych.

Zakodowana donośna odpowiedź, dochodząca jakby spod podłogi i ze ścian, rozwiała wątpliwości największych sceptyków.

– Jakie nosisz imię i nazwisko? – zatelegrafował z ręcznie kwakier.

– 7-11-1-19-14-2-20. 11-1-25-16-2-20 – odparła, nie czekając, istota.

Isaac Post ciągnął przesłuchanie, nie troszcząc się już o publiczność. Po długiej sekwencji stukania nastąpiła nabożna cisza. Mężczyzna odwrócił się wreszcie do świadków, niczym sędzia do audytorium.

– Charles Haynes. Duch nazywa się Charles Haynes! Przeżywamy, drodzy współobywatele, historyczną chwilę. Po raz pierwszy na świecie w tę kwietniową noc tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku nawiązaliśmy bezpośredni kontakt ze zmarłym. Oznacza to, że wrota zaświatów uchyliły się dla nas dzięki naszemu Zbawcy. Czy wyobrażacie sobie konsekwencje tego zdarzenia?

W przypiływie wewnętrznego oświecenia, prostując się gwałtownie, pan Willets wyrecytował jednym tchem:

– „Mam wam jeszcze wiele do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie; Lecz gdy przyjdzie On, Duch Prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę”²⁰.

Obcy mężczyzna w skórzanej kurtce, którego ostrogi dźwięczały niecierpliwie, pozwolił sobie wyrazić wątpliwość co do równowagi psychicznej Isaaca Posta. Kiedy rozległy się śmiechy, zasugerował, żeby każda z obecnych osób zadała stukającemu duchowi jedno pytanie natury osobistej, które dotyczyłoby jej samej, aby wykryć ewentualne oszustwo. Aby uprościć metodę byłego telegrafisty, zaproponował, by pytający recytował alfabet tyle razy, ile to będzie konieczne, a duch będzie zobowiązany do reagowania uderzeniem przy właściwej literze w taki sposób, by powstała odpowiedź. Spisze ją wybrana osoba uzbrojona w pióro. Oddany George Willets zgodził się przyjąć rolę kancelisty.

Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, wdowa Redfield, wstrzymując oddech, wyrzuciła z siebie w pośpiechu:

– Na jaką chorobę cierpi mój syn Samuel?

Uderzenia spadały niczym krople deszczu, w miarę jak kwakier recytował alfabet coraz szybciej i szybciej, a spod pióra pryskał atrament.

Odczytana wreszcie z niejaką rezerwą lakoniczna odpowiedź wywołała zarazem rozbawienie i trwogę oraz napęłniła wstydem wdowę.

– Jak ma na imię mój najstarszy syn? – spytała z kolei pobladała pani Jewell.

– John – odczytał kwakier.

– Co mu się przytrafiło?

– Oskalpowany przez Huronów – wyrecytował posepnie na zakończenie łomotania.

Pani Jewell wydała z siebie rozdzierający krzyk i padła zemdlona w ramiona męża. Obcy mężczyzna, pełen współczucia, podsunął jej butelkę alkoholu. Wobec pogardliwej odmowy pana Jewella wziął sam solidny łyk i oświadczył:

– Wydaje nam się, że pojęliśmy naukę... kiedy nie istnieje możliwość, by rzecz była inna, niż jest, tak powiedział poczciwy Arystoteles. Proponuję więc, by mieszkańcy tego domu spali tej nocy u sąsiadów, a wybrana komisja zajęła się sprawdzeniem terenu i upewnieniem się co do stałości tych fenomenów...

Pod wrażeniem swady, z jaką wypowiadał się gość przybyły na koniu, wielu przytaknęło pomysłowi. Isaac Post, trzymany na krótkim postronku, odkąd jego żona zamieszkała w Rochester, natychmiast zgłosił swoją gotowość. Olbrzym i pan Smith również zgłosili się na ochotnika do udziału w czuwaniu przy zmarłym.

– Pan nie, wcale pana nie znamy! – rzucił były telegrafista do sierżanta rezerwy Williama Pilla.

XIV

Dziennik Maggie

Moja siostra musi być szalona. Albo opętana, jak te czarownice z Salem. Gdyby nie ona, nic by się nie wydarzyło. Jej niezdrowe zabawy wprowadziły w ruch osobliwą maszynę, która niejednego zmieniła w kozła, kozła lub demona. Czuję, że teraz nikomu się nie upiecze. Jak gdyby niewidzialne siły miały zawładnąć nami wszystkimi, dziećmi i dorosłymi. Mam ledwo piętnaście lat, ale potrafię dostrzec, co kryje się za twarzami, za miłymi słowami tych i owych. Wydarzenia przyjęły niewyobrażalny obrót, kiedy matka wpadła na pomysł ściągnięcia sąsiadów, poczynając od wdowy z Bout du Haut. Do tej pory sprawa rozgrywała się między nami. Chociaż bardzo się bałyśmy, Kate i ja bawiłyśmy się rozmowami z panem Splitfootem. Wszystko, co wymyślił ten kwakier, któremu udało się uciec spod nadzoru żony, praktykowałyśmy od pierwszej chwili nawiązania kontaktu. Z początku nie miałyśmy pojęcia, że handlarzowi podcięto gardło w naszym pokoju, mniej więcej piętnaście lat temu, we wtorek o północy, po czym pochowano go w piwnicy kolejnej nocy. Ale czy musiałyśmy to wiedzieć? Teraz Kate budzi się w ciemnościach i bełkocze, że widzi mordercę, który trzyma zakrwawiony nóż tuż nad naszym łóżkiem. Najbardziej przeraża mnie nie morderca, który mieszkał w tym domu, ale sam duch ze swymi strasznymi ranami. Na szczęście dla mnie pozostaje niewidoczny. I tak z trudem znoszę cały ten tumult, niecierpliwe łomoty z głębin śmierci, krzesła unoszące tę czy inną nogę, drzwi zatrzasujące się bez powodu, tłukące się szkło. Czasami tak bardzo się boję, że to wszystko źle się skończy, że zimny pot spływa mi między piersi. Zwieńczeniem całego tego zamieszania był swego rodzaju piekielny jarmark urządony wokół domu. Wewnątrz tłoczyli się sąsiedzi, których znałam tylko z widzenia, ze świątyni. Przez okno w pokoju naliczyłyśmy z Kate dziesiątki latarni. Większość zebranych tam osób zachowywała spokój, ale od czasu do czasu słyhać też było nieprzyjemne krzyki. Patrzyłyśmy z siostrą po sobie skonsternowanym wzrokiem. A gdyby tak w przyływie gniewu lub wściekłości tłum ten przed odejściem rzucił lampami w nasze okna? Opowiada się podobne historie we wsi. Jakieś dwadzieścia lat temu, niedaleko stąd, starszą kobietę i jej dwanaście kotów spalono żywcem pod

zarzutem uprawiania czarów. Przysłowie mówi, że w takich razach zostaje więcej popiołu niż wyrzutów sumienia.

Na razie płomienie tylko nas otaczają. Nie ma dnia, żeby przeróżne postaci nie zapukały do naszego domu, jak ci egzaltowani mieszkańcy Wschodu krążący wokół skrzyni z relikwią. W tamtą pamiętną kwietniową noc ja i moja siostra zostałyśmy rozdzielone, jedną wysłano do naszego starszego brata Davida, a druga trafiła do państwa Dueslerów, nieznośnej pary, która wciąż chce być na pierwszym planie. Mama zaś ulokowała się u starej pani Hyde, osobliwej damy, która rano i wieczorem prasuje suknie swojej zmarłej matki. Mężczyźni z miasteczka czuwali w domu razem z tatą Foxem. Ich celem było skontrolowanie faktów i złapanie dowcipnisia, gdyby taki się znalazł. Co ciekawe, pukanie nie ucichło tej nocy, mimo nieobecności Kate. Charles Haynes czy też pan Splitfoot, jak go tam zwał, stukający duch, oderwał się od niej. Wczesnym rankiem, nie mogąc już dłużej wytrzymać, strażnicy zeszli do piwnicy z łopatami i zaczęli kopać. Znaleźli małe kostki i kłęby kłaków, w końcu dokopali się do wody, ale zwłok nie znaleźli, nie licząc tych drobnych szczątków. Nie zdziwiłabym się, gdyby ci przypadkowi kopacze marzyli też o skarbie.

Wróciłyśmy z matką nieco oszołomione do domu, trzeba było przecież zająć się ptaństwem domowym i naszą krową, nadąsaną, odkąd krowiarz zabrał jej cielaczka.

A jednak rozpoczęło się wówczas dla nas nowe życie w Hydesville. Z dzieciaków niecieszących się wielkim poważaniem awansowałyśmy do rangi fenomenów. Zdolność porozumiewania się ze zmarłymi nie jest dana zwykłym śmiertelnikom. Tym bardziej że nasz hałaśliwy gość oddaje się swojej czynności całym sercem. Nigdy jeszcze nie był tak gadatliwy. Kate droczy się z nim bardzo sprytnie. Nie śmiem tu przytaczać wszystkich jej pytań: słowa, jakie padają z ust tej niegrzecznej dziewczynki, zszokowałyby nawet banitę z drewnianą nogą. Opracowała system porozumiewania się znacznie bardziej pomysłowy niż nasi poważni panowie. Żeby zagaić rozmowę, strzela się palcami, nawet tymi u nóg. Następnie zadajemy pytania poprawną angielszczyzną. „Ej, panie Splitfoot, czy patrzysz na mnie, kiedy jestem gołą?”. „Golizna – odparł nad wyraz szybko – nie ma żadnego znaczenia dla ducha, który widzi wewnątrz istot!”. „Ej, panie Splitfoot, chcesz, żebyśmy przyprowadziły ci twoją żonę?”. Z potężnego łomotu wywnioskowałyśmy, że nie należy już ona do naszego świata. Ponieważ jednak zmarły nie może być wdowcem, rzeczą idiotyczną byłoby składać mu kondolencje.

Odkąd po raz pierwszy cała okolica zebrała się przed naszą farmą, wizyty się nie kończą. Tata Fox i mamusia sprawiają wrażenie, jakby wygrali w blackjacka, przywdziewają odświętne stroje, żeby podjąć gości, podają uprzejmie napitki, prawie jak właściciele kawiarni. W dni świąteczne defiluje nieprzerwany strumień ciekawskich, z rękoma w kieszeniach, rozbawionych lub poważnych. Idą rodziny gęsie, z gąsiorami na czele, wystraszone familie ciekawskich zajęcy, prychające z wściekłości bawoły z kółkiem w nosie i coraz więcej dobrze ubranych miastowych pań i panów. Bryczki i koczki zatrzymują się na dole, przy Długiej Drodze. Wszyscy chcą zobaczyć nawiedzony dom. Był nawet pewien czarownik, zbiegły z Wirginii czarny egzorcysta obwieszony fetyszami, którego zostawia się w spokoju ze względu na jego twarz i ramiona rozorane drutem kolczastym przez zwolenników niewolnictwa. Żeby go przegonić, tata Fox wystrzelił w powietrze ze strzelby na nietoperze, ot, chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ale człowiek ten, w obłądnie jeszcze większym niż moja siostra Kate, zaczął wzywać w głos Łazarza i świętego Piotra, a zakończył apelem do kogoś całkiem innego:

Chroń nas, duchu voodoo!

Otwórz nam drzwi dwóch światów!

Mówi się, że byli niewolnicy zachowują w sobie dusze swoich zmarłych pozbawionych pochówku. W Hydesville ciężko wprost zliczyć pielgrzymujących wariatów, którzy uzupełniają zapasy żywności. Dzięki panu Splitfootowi wspieramy drobny handel.

W domu wszystko się zmieniło, odkąd pięć dni temu dylizanssem z Rochester przyjechała Leah. Leah wie, czego chce. „Wyrosłam już z dziecinady!” – lubi wtrącać co chwila. Pojawiła się pewnego ranka w jadalni ze śliczną walizką wniesioną przez woźnicę i szybko wzięła sprawy w swoje ręce. „Sprawdźmy, ile prawdy jest w tych waszych opowieściach”, oświadczyła. Moja starsza siostra jest prawdziwą damą, ubiera się zgodnie z modą obowiązującą w Nowym Jorku. Kiedy zdjęła z siebie obszerny płaszcz podróżny, pod którym mogłaby ukryć nawet pięciu amantów, ukazała nam się jej szczupła niczym mostek kurzy pierś i długa spódnica wypchana z tyłu włosiem oraz żółte skórzane botki odsłaniające kostki. Na czarnych skrzydłach włosów umieściła śliczny turban zdobiony sztucznymi perłami i koronką. Nasza siostra ma wiarę i przeszywające spojrzenie. Rozumie wszystko bez dłuższego dochodzenia, ale wzrokiem szuka sprzeczki. „Pan osądzi każdy nasz czyn”, mawia. Mamusia czuje się przy niej nieswojo.

Biedna mama gwałtownie się postarzała po owej marcowej nocy. Włosy zbieleły jej jak najprzedniejsza mąka pszenna. Ona i nasz stary ojciec są przekonani co do swojej misji: chcą odkryć przed światem klucz do zaświatów. Oni, którzy nigdy nie opuścili hrabstwa! Nasza skromna zazwyczaj mamusia uważa się za wieszczkę Annę. Leah, która wie wszystko, twierdzi, że powinna raczej odpocząć, wyjechać, zamieszkać w mieście. Wieś na nic się zda chłopom. W Rochester Leah uczy gry na pianinie i sypia w pięknej pościeli. Mimo swojego bezwzględnego – niczym nóż ostrzony na kamieniu – charakteru, z takim gorsetem i botkami z żółtej skórki, musi mieć wielu narzeczonych. W mieście na szczęście bigotki są zadymione jak pszczoły: mniej żądłą. Ale wydaje mi się, że Leah czeka na rzadki okaz ptaka, o piórach z masywnego złota, które nie pozwoliłyby mu odlecieć.

Cóż za rozgardiasz u nas zapanował, kiedy siostra postanowiła zarządzać naszym rozkładem zajęć! Przede wszystkim chciała uczestniczyć w numerze z duchem. To było pierwszego wieczoru. Wielka sowa pohukiwała na cedrze. Kojoty wyły do księżyca po wzgórzach. Przy pierwszym trzasku Kate rozpoczęła swoją inwokację: „Rób to co ja, panie Splitfoot!”. I zaczęła strzelać palcami na zachętę. Naraz rozległ się piekielny łoskot, jakby kruszył się cały szkielet Goliata. Po chwili wszystko się uspokoiło, duch zapewne uznał, że Leah jest miła. Delikatnym stukaniem objawił jej szczegóły, o których ona sama nie miała pojęcia: pieprzyk u nasady włosów na karku i znamię w dole pleców. Potwierdziłam jej te fakty, poza zasięgiem wzroku innych: w fałdzie jej obfitych pośladków rzeczywiście widniała fioletowa plamka szerokości palca wskazującego. Mamusia przyzna później, że już dawno zapomniała o tych szczegółach anatomii mojej siostry.

W przeddzień jej wyjazdu, po kilku godzinach snu na materacu rozłożonym w jadalni, Leah wpadła na wspaniały pomysł: a gdybyśmy przeprowadzili się gdzieś po sąsiedzku do Rochester? Rodzice uznali, że to ekstrawagancka myśl. Nie mogło o tym być nawet mowy. Kate i ja oczywiście byłyśmy chętne, ale kto zająłby się farmą? Dzisiaj, czytając listy ciotki, jesteśmy bliskie zrozumienia, o co jej chodziło.

Kłopoty zaczęły się tuż po jej wyjeździe. Większość ludzi mieszkających w nawiedzonym domu w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Niektórzy żyją z duchem w zgodzie, inni zadręczają się i znoszą jego psoty. U nas nieprzyjemne było to, że duch przełamał lody. Z powodu Kate, jak sądzę, przez jej zwyczaj lunatykowania z jednego świata do drugiego.

XV

Filary dwoistości

W ową słoneczną niedzielę kościół w Hydesville w chwili otwarcia został obleżony przez mniej lub bardziej gorliwe owieczki wszelkiej maści; pojawili się licznie protestanci z sąsiednich parafii, wszyscy tak samo ciekawi tego, co miało się wydarzyć, a wśród nich lokalne osobistości: politycy, prawnicy, lekarze, oficerowie w mundurach. Nawet Harry Maur, bogaty handlarz skórami i opium, przybył rankiem kabrioletem z Rochester w towarzystwie panny Charlène Obo, słynnej aktorki i osobliwej postaci o pięknym woskowym obliczu, odzianej w czerń pod peleryną z wigonii.

Wielebny Gascoigne sam nie wstąpił na ambonę. Alexander Cruik, błyskotliwy kaznodzieja Kościoła metodystów, wykształcony przez uniwersytet w Oksfordzie, przybył specjalnie na tę okazję z gór Adirondack położonych w sąsiednim hrabstwie Hamilton, gdzie trudził się nawracaniem ocalałych plemion indiańskich. Cruik, który widział się spadkobiercą George'a Whitefielda i Wielkich Wędrowców, został wezwany w charakterze wsparcia wraz z chórem czarnoskórych dziewcząt, które publiczność przywitała szmerem wyrażającym mieszaninę dobrodusznego przyzwolenia i wściekłości. Głosiciel ewangelii miał nadzieję, że po ekskomunikacyjnym kazaniu wielebnego i jego własnej przemowie pod znakiem Wielkiego Przebudzenia dyskretnie będzie mógł się udać na wichrzycielską farmę. Głosiciel powrotu Chrystusa nie mógłby fałszywie ocenić daru Zbawienia. Alexander Cruik rozejrzał się po tłumie zebranych pod kopułą nawy. Rzadko kiedy widywał w świątyni tak zróżnicowaną cizbę. Prócz metodystów znaleźli się tu dziś przeróżni purytanie przybyli z sąsiednich wiosek, wystrojeni baptyści, adwentyści, luteranie, a nawet kilku oszołomionych kwaków i – w głębi – Murzyni z plantacji kukurydzy, zwolnieni od pracy na czas trwania mszy.

Wielebny Gascoigne już w pierwszych słowach przeciwstawił się herezji:

– Nie ma przeszkód między Bogiem a wiernymi, żadnej granicy, żadnych celników, a Nowe Jeruzalem otwarte jest dla wszystkich chrześcijan silnej wiary i dobrej woli. Każdy czerpie dowolnie z lektury Pism. Czyż jednak Chrystus nie powiedział apostołowi Piotrowi, że to, co zwiążemy na ziemi, będzie związane w niebie, a to, co rozwiążemy na ziemi, będzie rozwiązane

w niebie? Dlatego też kategorycznie potępiamy dialog ze zmarłymi i uznajemy go za niedorzeczny i heretycki. Nekromanci to oszuści, którzy w złej wierze posługują się pamięcią, by żywić zepsutą krwią demony nieszczęścia i urazy. Ci zagubieni odziewają zmarłych w swoje własne lęki i majaki. Ale nekromancja jest czymś innym niż doświadczenie duchowe. W świetle zaświatów nie ma miejsca na nasz pył i nasze popioły! Wczoraj jeszcze, bezskutecznie, ostrzegaliśmy głośno tych godnych potępienia ludzi, błagaliśmy ich, by porzucili bluźniercze praktyki. Jak uczy apostoł Mateusz: „A jeśli by zgrzeszył brat twój, idź, upomnij go sam na sam; jeśli by cię usłuchał, pozyskałeś brata swego. Jeśli by zaś nie usłuchał, weź z sobą jeszcze jednego lub dwóch, aby na oświadczeniu dwu lub trzech świadków była oparta każda sprawa. A jeśli by ich nie usłuchał, powiedz zborowi; a jeśli by zboru nie usłuchał, niech będzie dla ciebie jak poganin i celnik”²¹. W rezultacie, decyzją kolegiaty, widzimy się w obowiązku oddać w ręce Boga los małżonków Fox, którzy od dnia dzisiejszego uznawani będą za wygnanych z episkopalnego Kościoła metodystów. Nie należą już do naszej wspólnoty! Ktokolwiek poszedłby ich śladem albo byłby skuszony towarzyszyć im w ich błędnej wędrówce, zostanie rychło objęty takim samym wykluczeniem.

Tłum farmerów i chłopców stajennych ściśniętych w głębi nie mógł się powstrzymać od zwierzęcego pomruku satysfakcji, na który to odgłos odwróciła się siedząca w pierwszej ławce Pearl. Przyjrzawszy się kilku obliczom o niskich czołach i masywnych szczękach, napotkała wzrok Williama Pilla, który siedział pięć rzędów za nią, w ławce z innymi mężczyznami. Zażenowana, zamrugła powiekami i uśmiechnęła się uprzejmie, czego natychmiast pożałowała. Człowiek ten w nieprzyjemny sposób wbijał w nią ostre spojrzenie, jak gdyby dialogując dosadnie i pełnoprawnie z jej ciszą. Pearl odwróciła się i schowała głowę w ramiona. Czuła pieczenie na karku. Nie miała wątpliwości, że mężczyzna wpatrywał się bacznie w jej czepek i każdy włos, który mógł się spod niego wymknąć.

Na podwyższeniu kapłan kończył swoją klątwę. Pearl, z zaciśniętym gardłem, już martwiła się konsekwencjami, jakie ta bezwzględność przyniesie siostrze Fox, ich starej matce i głupiemu farmerowi, który pomagając sobie alkoholem, widział się zaangażowany w ważną misję: pocieszyć wszystkich pogrążonych w żałobie na ziemi, otwierając ich na sekrety zaświatów.

Na znak Alexandra Cruika, któremu spieszno było ukoić dusze, chór

czarnoskórych dziewcząt zaintonował nabożną pieśń:

I am free

I am free, my Lord

I am free

I'm washed by the blood of the Lamb

You may knock me down

I'll rise again

I'm washed by the blood of the Lamb

I fight you with my sword and shield

*I'm washed by the blood of the Lamb*²².

Mówca poczuł lekki zawrót głowy w chwili, gdy zabierał głos. Owe hymny na cześć niezłomnej wiary, zrodzone na polach bawełny, powstawały instynktownie w zaciśniętych ustach milionów ewangelizowanych przez jego Kościół niewolników, których jedynym marzeniem była wolność u kresu męki. Do czego jednak aspirowali biali farmerzy, bez grosza przy duszy, szepczący do ucha zmarłych? Szczupły i blady jak duch kaznodzieja rozkoszował się trwogą, jaka towarzyszyła zazwyczaj jego pojawieniu się wśród wiernych. Chociaż rada duchowna metodystów, skłaniająca się przede wszystkim ku ogólnej wstrzeźliwości, akceptowała jego dosadne przemowy i magiczne wizje ze względu na ich skuteczność, wiedział z doświadczenia, że równowaga wśród wizjonerskich kolonistów, pionierów, synów pionierów o barbarzyńskich żądzach i przesądnych pyszałków wisi zazwyczaj na włosku. Jedno niewłaściwe słowo wypowiedziane wobec tych ludzi – surowy Gascoigne zdawał się o tym nie pamiętać – mogło doprowadzić do najgorszego.

Intuicja bardziej niż rozum kierowała Alexandrem Cruikiem w takich sytuacjach, dlatego też głośno i używając licznych paraboli własnego pomysłu, w których zebrani widzieli cytaty z Biblii, a co bardziej uczeni – apokryfy, dał upust swoim myślom. Zarówno niepiśmienni, jak i mędracy byli zachwyceni. Pod potężnym ramieniem handlarza skórami mroczna persona w dziwnym stroju korsarza byronowskiego drgnęła z oburzeniem erudyty, który natknął się na dokument o nieoszacowanej dacie. Skoro Charlène i Harry Maur przybyli w te okolice skuszeni plotkami, on, Lucian Nephtali, zgodził się z nimi pojechać, słysząc, że niezwykle rzadki proces ekskomuniki odbywać się będzie pod przewodnictwem lokalnego pastora i natchnionego kaznodziei, który ryzykował własny skalp, nawracając Narragansettów i Indian z Oregonu. Odkąd młoda

kwakierka Mary Dyer została osądzona i powieszona w Bostonie blisko dwa wieki wcześniej, w całej Unii nie odbył się już żaden podobny proces. Ciekawe, skąd ten osobliwy gagatek kaznodzieja wziął opowieść o zwłokach przywróconych do życia w głębi jaskini dzięki słojom wypełnionym zwojami hebrajskich manuskryptów?

Oto teraz cytuje on Księgę Psalmów z tą samą swobodną żarliwością:

– Byłem obłąkany, stworzony z wody i z gliny, a twoje oczy mnie ujrzały!

Alexander Cruik usłyszał własny głos odbijający się echem u sklepienia. Od blisko godziny wygłaszał kazanie wśród niezmaconej ciszy, bez jakiegokolwiek bezpośredniego nawiązania do głównej sprawy. Znieruchomiały tłum słuchał go, gotów zasnąć w grocie Boga Stwórcy. Z jakich innych pobudek niż przerażenie grzesznicy kryją się w świątyni? Wycieńczony wystąpieniem, lecz czując wciąż, że nie wypełnił jeszcze swego zobowiązania, kaznodzieja przytoczył apologię apostoła Marka: „A gdy wychodził z łodzi, oto wybiegł z grobów naprzeciw niego opętany przez ducha nieczystego człowiek, Który mieszkał w grobowcach, i nikt nie mógł go nawet łańcuchami związać, Gdyż często, związany pętami i łańcuchami, zrywał łańcuchy i kruszył pęta, i nikt nie mógł go poskromić. I całymi dniami i nocami przebywał w grobowcach i na górach, krzyczał i tłukł się kamieniami. I ujrzawszy Jezusa z daleka, przybiegł i złożył mu pokłon. I wołając wielkim głosem, rzekł: Co ja mam z tobą, Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Zaklinam cię na Boga, żebyś mię nie dręczył. Albowiem powiedział mu: Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka! I zapytał go: Jak ci na imię? Odpowiedział mu: Na imię mi Legion, gdyż jest nas wielu”²³.

Na widok tak licznych odczuć malujących się na twarzach publiki Alexander pospieszył zakończyć kazanie:

– Skoro każdy błąd oddala nas coraz bardziej od Pana, czy prawdziwie sprawiedliwy człowiek mógłby stworzyć świat? A jeśli taki człowiek istnieje, kto inny mógłby nim być niż sam nasz Pan?

Podczas gdy zebrana ludność marzyła już tylko o powrocie do swoich lichych chat, chór niebiańsko zaintonował antyfonę:

I am free

I am free, my Lord

I am free

I'm washed by the blood of the Lamb.

XVI

W potoku wrzącej krwi

Z rozpaloną głową, dręczona uporczywym bólem brzucha, Kate wahała się jeszcze, czy wymknąć się przez niskie okno domu, przeobrażonego w ciągu ostatnich trzech dni w trybunał, gdzie na ławie oskarżonych zasiadał nie kto inny, tylko cała rodzina Foxów. Lekarze, kaznodzieje i sędziowie bez przerwy analizowali każdą rzecz, każdy mebel, najdrobniejszy przedmiot, a nawet ciała sióstr Fox, wnętrza ich ust, ukształtowanie narządów, stawy stóp i dłoni, zarzucali też domowników seriami pytań, jak gdyby przesłuchiwali morderców Charlesa Haynesa, handlarza. Na szczęście George Willets i Isaac Post, kwakrzy, zajęli stanowiska obiektywnych świadków i odpierali wszystkie oszczerstwa. Tych dwóch uczestniczyło w seansach inwokacji i mogło zaświadczyć o prawdziwości fenomenów, przysięgając na każdą Biblię.

Wśród śledczych i ciekawskich najbardziej osobliwy był z pewnością uprzejmy pan Cruik, który nie zadawał żadnych pytań, lecz obserwował bacznie obecne osoby, czy to członków rodziny, czy to przymusowych gości. Wychudzony, o zapadniętych policzkach, długich rękach czarodzieja i błyszczących oczach, przypominał ozdowieńca na przepustce, jednego z tych skazanych na śmierć gruzlików, którym dane zostało pooddychać nieco świeżym powietrzem. Niemniej jednak kaznodziei nie umykało ani jedno słowo z tego, co mówiła Margaret, która – dotąd nieśmiała – stała się wielce rozmowna w obecności owych panów w szerokich krawatach i cylindrach. Szczególną uwagą darzył Kate, potulną i skupioną. Pomyślał, że Maria i Marta, siostry Łazarza, musiały podobnie wyglądać przy grobie.

Na zewnątrz zachodzące słońce wydobywało z ziemi najpiękniejsze złoto. Kładły się niebieskie cienie drzew. Cudowne światło otaczało aureolą każdy liść. Kate, nie mogąc dłużej wytrzymać, wyskoczyła oknem, położyła się nad brzegiem stawu i trzymała za obolały brzuch. Ten dotkliwy ciężar, wzdłuż nóg i we wnętrzościach, wynikał być może z tak licznych ostatnio wrażeń. W minionym tygodniu Lily Brown, najstarsza z uczennic panny Pearl, opisała, stosując wyrazistą mimikę, jak to we śnie skacze jej do gardła demon dusiciel. Opowiadała, iż pewnego razu do jej łóżka wślizgnął się wodny wąż i że do tej pory nosi jego ślad na brzuchu, wokół pępka. Kate

również przeżywała koszmary, szczególnie odkąd w jej życiu pojawił się pan Splitfoot. Mała, włochata i rogata istota z kopytami i olbrzymimi białymi oczami przygniatała jej pierś takim ciężarem, że czuła się jak sparaliżowana. Po upływie minuty czy też całego stulecia udawało jej się uciec, natychmiast też odzyskiwała władzę nad swoimi funkcjami życiowymi. Żadna z paskudnych osobliwości, jakie zostały opisane przez Lily Brown – długie zrogowaciałe palce i jelita o mysich główkach – jej nie dotyczyła, ale odczuwała w takich chwilach całkowity bezwład i wielki strach. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie żyje, i złożyć ją do grobu, gdzie na próżno miotałaby się i wołała, nikt jednak by się nie pojawił, nawet Maggie, zatopiona w swoich marzeniach lub świergocząca do poduszki...

Tym razem to nie przed koszmarnym snem Kate chciała uciec, lecz przed rzeczywistym bólem pod pępkiem. Matka i córka nieczęsto rozmawiają o brzuchu, dlatego też musiała szukać schronienia pod wysokimi drzewami i zagryzać wargi. Czarny staw lśnił w blasku promieni zachodzącego słońca. Kate podniosła się i skierowała swe kroki w stronę bulgoczącego i pieniającego się strumyka wypływającego spod skalnego nawisu w pobliżu topoli; tryskał kaskadą ze skały i spływał między omszałe kamienie, po czym gubił się bez śladu w tafli wody, gdzie połysk pełnego księżyca mieszał swe srebrne promienie z ostatnimi złotymi cekinami słońca. Dalej, we mgle otulającej wieś, błąkały się pojedyncze światełka, niczym lampki na dziobach łódek wypływających na nocny połów. W oddali stępa jechał jeździec, tors centaury na potężnej piersi konia.

Pod gałęziami wierzby, klęcząc na brzegu strumyka, Kate podwinęła sukienkę nad uda i rozłożywszy nogi, wydała z siebie okrzyk przerażenia. Z nieznannej rany ciekła krew o cierpkim zapachu; rozlewała się maleńkimi perełkami na płaskim gładzie jak na granitowym kamieniu młyńskim, na którym mamusia zarzynała kury. Przypomniała sobie, jak pewnego zimowego ranka na widok poplamionych krwią prześcieradeł pod sobą jej siostra udała, że krwawi z nosa. Zastanawiała się wówczas, co mógł robić nos na miejscu pośladek. W wieku blisko dwunastu lat Kate nie była kompletnie nieświadoma tajemniczego przemieniania się dziewczynek w kobiety. W przypływie emocji zaczęła obmywać brzuch żywą, połyskującą wodą, a różowe strumyczki rozpląły się po kamieniu niczym żyły na ręce. Czyżby to właśnie stare kobiety nazywały cyklem księżyca? Jej krew zdawała się barwić rzekę. Wydało jej się, że na drugim brzegu, wśród gałęzi, widzi ogniste, przyglądające się jej bystro oczy. Czy to leśne zwierzę, wydra albo lis, skuszone zapachem krwi? Czy też człowiek kozioł

ze wzgórz, polujący na zająca albo kwiczoła? Ale Pecquot i jego stado przy ładnej pogodzie biwakowali w górach. Inne istoty, trudniejsze do określenia niż bestialstwo i pożądanie, włóczyły się po okolicy w zapadającym zmroku.

Wracając brzegiem stawu na farmę, Kate przyspieszyła kroku. Trupio blada jasność rozciągała się od wzgórz aż po skraj wysokiego lasu, niebo zaś przybierało purpurowy odcień. Jej uszu dochodziły krzyki, nawoływania. Zatrwożona o los swoich, niemal bez tchu, wyrzucała sobie tę eskapadę. Wkrótce ujrzała światła i liczne sylwetki. Bardziej niż nieproszonych obcych, przybyłych analizować przeciagi, obawiała się sąsiadów, farmerów o łagodnym temperamencie, którzy zjednoczeni strachem, mogli się zmienić w zgraję psów, gdy tylko ten czy ów rzuci klątwę. To oni krążyli wokół farmy i wyli niczym wilki.

Wreszcie w pobliżu domu, w półmroku rozproszonym blaskiem pochodni, niepokój wziął górę nad wstydem, że wraca w tak złym stanie, z sukienką pobrudzoną ziemią i krwią. Chłopi zgromadzeni przed oknami wygrażali pięściami i potrząsali lampami. Jeden z nich rzucił kamieniem w drzwi.

– Śmierć czarownicom! – huknął.

– Powiesić ich!

Wtedy się zaczęło. Deszcz kamieni zadzwonił o ścianę z desek. Jedna z szyb na parterze rozprysła się, wzmagając tumult.

– Przestańcie! Przestańcie! – krzyczała Kate, biegnąc w stronę progu.

Rozwścieczony tłum skierował się na nią, niczym burzowa fala gotowa ją porwać, lecz wtedy otworzyły się drzwi i Pearl Gascoigne, zapewne przybyła w gości tego dnia, wciągnęła dziewczynkę za siebie i wyszła naprzeciw sforze, wspaniała w swoim stroju amazonki, w płóciennej marynarce z kołnierzykiem i mankietami z koronki i w angielskiej spódnicy. Bez śladu wahania stawiała im czoło.

– Straciliście wszelką rozumność! Zostawcie tych ludzi w spokoju!

– Niech ich powieszają! – wrzeszczały gęby z tyłu, podrażnione jeszcze tą pańską aparycją.

Niczym wielkie ciało bez głowy, tłum już puszczał się biegiem, gdy huk wystrzału pohamował rozpęd i wzbudził zakłopotanie. Każdy rozglądał się za ewentualną ofiarą. Drugi wystrzał unieruchomił na dobre całą cizbę.

Trzymając springfielda w jednej ręce, William Pill spiął konia ostrogami i pociągnął za wodze w taki sposób, że wielka klacz z rzeniem wyłoniła się z cienia i wspięła na tylne nogi na wprost oszołomionych mieszkańców miasteczka.

– Wracajcie grzecznie do domów! – powiedział groźnie, trzymając lufę na odpowiedniej wysokości. – Wracajcie do swoich żon! Szkoda by było, gdyby dokończyły żywota, mając za jedyne towarzystwo nieszczęsnego stukającego ducha.

Z wyraźną ulgą i radosnym uśmiechem na ustach Pearl dołączyła do rodziny Foxów wewnątrz domu. Tata Fox postanowił trzymać straż i usadowił się ze strzelbą myśliwską przy roztrzaskanej szybie. Jego żona i dwie córki kuliły się w holu, u stóp schodów.

– Na razie wszystko w porządku – powiedziała panna Pearl. – Rozchodzą się. Ale jeśli nic się tu nie zmieni, wrócą jutro lub za miesiąc liczniejszą zgrają.

– Cóż my możemy? – spytała butnie pani Fox.

Pearl zauważyła, że Kate, nieco na uboczu, bawi się, strzelając palcami. Pomyślała, że widać nawet najgłębsza trwoga nie psuje dziecięcego apetytu na zabawę.

Gdy powróciła cisza, najmłodsza z siostr Fox spytała nieco zachrypniętym głosem:

– No dalej, panie Splitfoot! Rób to co ja! Raz, dwa, trzy, cztery...

Podłogą wstrząsnęło donośne echo, wprawiając Pearl w osłupienie.

Dokładnie w tej samej chwili drzwi wejściowe zaskrzypiały w zawiasach. Przerażony farmer wziął na cel mglistość skąpaną światłem księżyca. Na jej tle odcinała się niewyraźna sylwetka. Szybko rozpoznano głos obcego o twarzy usianej śladami po ospie.

– Koń się niepokoi, panno Pearl! Lepiej będzie, jeśli panią odprowadzę w tak burzliwą noc.

Część druga Rochester

*Nie trzeba być Komnatą – aby w nas straszyc
Lub nawiedzonym Domem
Nie ma Wnętrz straszniejszych niż Mózgu
Korytarze kryjome²⁴.*

Emily Dickinson

I

Chcę tylko długiego upojenia

O tej porze roku wszystkie młyny w Rochester, dostarczające więcej mąki niż pozostała część stanu Nowy Jork, meły energicznie ziarno zarówno powyżej, jak i poniżej High Falls, trzech potężnych wodospadów na rzece Genesee, huczającej od wieków w sercu miasta, wspieranych echem pozostałych, równie potężnych kaskad, rozrzuconych wzdłuż jej biegu, między jeziorem Canandaigua – gdzie wciąż jeszcze żyło kilka plemion Seneków i Tsonnontouan – a tym słodkowodnym morzem, które zwał Ontario, na południowym krańcu czterech innych, jeszcze rozleglejszych. Za sprawą energii hydraulicznej wzdłuż rzeki w stolicy hrabstwa Monroe pobudowało się wiele przedsiębiorstw: fabryki tekstyliów, papieru, manufaktury szwalnicze i produkujące przeróżne narzędzia. Odkąd kanał Erie połączył miasto Albany z Nowym Jorkiem, firmy transportowały wielkie ilości towaru na barkach i statkach parowych, których łopatkowe koła przypominały wiatraki. Rosnący dobrobyt Rochester – pierwszego amerykańskiego *boomtown*, założonego pół wieku wcześniej przez zmyślnych właścicieli ziemskich – pozwalał miastu radzić sobie doskonale z napływem nędznych imigrantów wysiadających tam na ląd. Centrum Flour City, jak przezywano metropolię młynów, wzbogaciło się o kamienne budowle, tymczasem na peryferiach powstawały nowe dzielnice baraków z drewnianych bali, w których tłoczyły się rodziny robotnicze, niemieckie i irlandzkie, ocalałe z epidemii tyfusu lub cholery, wędrujący pionierzy, Afroamerykanie o kłopotliwym statusie wyzwolonych niewolników, bez określonej pozycji społecznej, których w zasadzie w każdej chwili można by było ponownie zakuć w łańcuchy, oraz zrujnowani przez suszę lub indiańskie wojny farmerzy. Między piaszczystymi plażami Wielkiego Jeziora, nadbrzeżami kanału Erie i nierównymi brzegami Genesee, przy pięknych alejach wokół Midtown Place i ubitych traktach poza Mont-Espoir Avenue krążył barwny tłum dokerów i marynarzy, wygłodzonych natrętów szukających pracy, głosicieli apokalipsy, gazeciarzy, tragarzy wszelkiego rodzaju, rzemieślników przykutych do swoich kramików, szukających przygód awanturników, przyglądających się nieprzyjaźnie ślepym żebrakom i ulicznym sierotom, pracowników na akord, pomysłowych

kupców oraz świeżo upieczonych mieszczan. Ci ostatni tym skwapliwiej trzymali się od pozostałych na dystans, że ich samych albo ich ojców ręka trzymająca Biblię wyciągnęła z bagna, teraz zaś stąpali suchą stopą wśród administratorów i pośredników, tworząc wraz z urzędnikami i parającymi się wolnymi zawodami ową klasę średnią, dzięki której miasto nadawało się do mieszkania, a nawet było polecane pobożnym duszom, dziewczętom z zakładów naukowych i kongregacjonalistom przeróżnych sekt troszczących się o powszechne zbawienie. W Rochester wyraźniej niż w większości stanów Południa albo Północy duch przedsiębiorczości otwierał się na ultraliberalne aspiracje abolicjonistów i pacyfistycznych demokratów, na ruchy walczące o prawa kobiet, na kaznodziei drugiego Wielkiego Przebudzenia i anarchistów organizujących tajne stowarzyszenia na rzecz uchodźców z czterech kontynentów.

Włócząc się pod wieczór bez celu między akweduktem i starym cmentarzem, nieco upojony alkoholem Lucian Nephtali rozmyślał o osobliwości swych przeróżnych egzystencji w owym mieście wielu potopów, których początków niemal był świadkiem. Gdyby rozpatrzeć rzecz dogłębnie, naiwność wyjaśniałaby liczne przygody porywające jego osobę bez szczególnych skrupułów czy niegodziwości. W jego naturze leżało pokładanie wiary we wszystko, co tylko mu sugerowano, choćby nawet to były rzeczy niemożliwe. Jego adwokacka profesja – zresztą zarzucona – nie mogła być tego przyczyną: przedstawiciel sprawiedliwości nie wydawałby z góry wyroku na żadną prawdę i podałby w wątpliwość nawet obliczenia mierniczego. Lucian Nephtali przeciwnie, szukał oczarowania w każdych okolicznościach, podziwiając ziarno złota w piasku, choćby i cała rzeka po nim przepłynęła.

Chyłkiem, między dwoma magazynami, na zakręcie pustej drogi wślizgnął się na ciemne podwórko oznaczone jedynie płomykiem latarni. Ciąg krętych schodów, z których każde zapowiedziane były osłoniętą świecą, doprowadził go na podest oświetlony lampą oliwną, po czym potwierdziwszy swoją tożsamość, wsunął się do przedpokoju przez drzwi oznaczone jedynie kołatką z brązu w kształcie chińskiego smoka. Kolos przy wejściu, odziany zgodnie z zachodnią modą, skłonił się, przepuszczając go dalej. Przez mieszaninę oparów Lucian Nephtali szedł za młodym służącym, który zaprowadził go do salonu, gdzie paru klientów leżało na otomanach i spokojnie paliło fajki wodne. Zarządca lokalu, Chińczyk z Hongkongu o przykładowym brytyjskim akcencie, przybyły z liczną świtą z miasta lasu Cleveland, osobiście przyniósł i postawił przed nim na niskim stoliku trzy

tace.

– Niewielu gości w Golden Dream? – spytał Nephtali, zdejmując buty i pelerynę.

– Niewielu. Pański przyjaciel koroner śpi w kącie jak aniołek. Nie przybył pan z panią?

– Gra dzisiaj w Eastman Theatre.

W pozycji leżącej, z głową wspartą na łokciu i z ustnikiem z kości słoniowej w ustach, Lucian patrzył za odchodzącym zarządcą lokalu, wdychając pierwszy kłęb dymu. Przyzwoitość wymagała, by Charlène Obo, która była zaledwie jego kochanką, w podobnym miejscu uchodziła za żonę. Prócz czystego opium i *chandu*, importowanego w mosiężnych skrzyneczkach, podawano tu również absynt i czarną herbatę. Lucian mógł doskonale zadowolić się ciepłym napojem, ale ten wieczór był dla niego niczym zejście z krzyża do piekieł. Pogrzeb Nata, tak młodego wiekiem i tak starego druha, na cmentarzu przy Buffalo Street oznaczał rozpoczęcie podróży bez odwrotu w głąb wielkiego kanionu samotności – czuł to intuicyjnie, wpatrując się w grób i nagle obojętne twarze bliskich, podczas gdy olbrzymie dźwigi kręciły się nad Pinnacle Hill, gdzie powstawał ostatni budynek wielkiego szpitala. Nat Astor spoczywał od trzech godzin zaledwie w dziurze w ziemi, dołączywszy do wszystkich zaginionych, którzy nawiedzali Ziemię tysiące wieczności stąd. Przypomniały mu się okrutne słowa Harry’ego Maura nad ciepłymi jeszcze zwłokami przyjaciela, w ogrodzie zimowym, do którego przenieśli go służący: „To gorsze niż zemsta, nie wypada zabić się, ot tak, w domu gospodarza”. W prawej ręce, jak gdyby miał zamiar wyładować do końca magazynek, Nat trzymał patersona, z którego wystrzelił sobie kulę prosto w serce. W przeddzień albo dwa dni przed swoją śmiercią, w ubiegłym tygodniu, spotkali się we trzech na przyjęciu w nowej willi Leah Fish przy South Avenue. Nauczycielka muzyki, dość przeciętna pianistka, była na dobrej drodze, by stać się nową sławą, a to dzięki aferze w Hydesville. To Harry, najbardziej przesądny z milionerów, zaciągnął ich do najstarszej z sióstr Fox, rozwódki przywiązanej do nazwiska po mężu i snującej ambitne plany dla swojej rodziny.

Delikatne bulgotanie fajki i pochrapywanie sąsiada zmieszało się z odgłosami dochodzącymi z zewnątrz, szumem wodospadu i gwałtownej ulewy dzwoniącej o dachy kryte dachówką lub blachą. Knot lampki oliwnej na jednej z tac otwierał się złotym wachlarzem odwiecznego ognia. Gdyby lepiej przyjrzeć się płomykowi, prastare, przezroczyście postaci zatańczyłyby

wokoło, niewyczerpana fauna, w której pamięć uwalniała w ciszy swe obrazy, rozwijające się natychmiast w nieskończone kwieciste wzory, bujne niczym dzika natura. Widok dla palacza opium bardziej zniewalający niż śpiew syren. Tam, gdzie członek Stowarzyszenia Wstrzemięźliwości albo Ligi Przeciwników Saloonów dostrzegłby w najlepszym razie twarz, zarys krajobrazu lub całkiem niedorzeczne rebusy, on odkrywał cały świat oparty na demonicznych systemach wynikających z niezgłębionych obliczeń. Szczypta opium wystarczała, by złamać pieczęcie apokalipsy. Na kilka godzin wolność, bardziej nieuchwytna niż rojenia w agonii, przestanie budzić w nim jakiegokolwiek uczucia. Jego studnie i fontanny wyschły oto; jego jedyny przyjaciel leży w ziemi – gdzie teraz znajdzie choćby namiastkę zażyłości? Charlène Obo oczekiwała od niego zaledwie odrobiny rozumu i rozrywki. Gdyby Harry Maur, oblegany bezustannie przez kurtyzany i innych pochlebców, zechciał opłacić adwokata, który broniłby chmur lub róż w jego parku, uczyniłby to wyłącznie z powodu dotkliwego braku rozmówców.

Szczupły służący wślizgnął się między przegrody oddzielające palaczy, przypominające maleńkie łoże teatralne. Jeden z gości, masywny, o byczym karku i opadających ramionach, któremu zapewne uświadomiono porę, wstał z trudem i pokuśtykał przez złotawobrazowy półmrok salonu. Jego ociężały krok miał w sobie coś zwierzęcego: szedł jak wybudzony z hibernacji niedźwiedź. Lucian nie próbował nawet się chować. Koroner znał wszystkich klientów Golden Dream, z których większość należała do gatunku jurystów i urzędników. Tworzyli oni, połączeni niemą obietnicą dyskrecji, swego rodzaju klub jasnowidzów.

Nie przeszkadzało to koronerowi prowadzić śledztwa między dwoma wróżbiarskimi letargami. Z całkowitą obojętnością uczynił w stronę adwokata przygnębiająco powolny gest.

– Przed starym cmentarzem czeka na mnie dorożka, podwieźć pana?

– Wolę wrócić o świcie – mruknął Lucian.

Koroner przytaknął pojedynczym opadnięciem twarzy, powiek, policzków i warg. Wahał się, czy nie rzec słowa na temat samobójstwa owego młodego hipnotyzera starej rentierki. Choć jego samounicestwienie zdawało się pozbawione jakichkolwiek wątpliwości, pan Nat Astor pozostawił pewną zagadkę wyrytą na kamieniu nagrobnym: któż mógł tak długo ukrywać się za podobnym nazwiskiem? Z wrotami szeroko otwartymi na wielkie inwazje Ameryka stanowiła raj dla zniekształconych, zmyślonych i przywłaszczonych tożsamości. Dzięki uprzejmości sędziego

i kilku dolarom wymyślano sobie bez trudu nowe dane personalne. Nikt nie sprawdzał w archiwach Starego Świata zdolności i świadectw. Właściciele dyplomów poważanych stowarzyszeń, oficerowie Napoleona, międzynarodowi finansiści, angielscy i rosyjscy arystokraci napływali do miast i wsi, nie mówiąc już o chciwych szarlatanach paradyjących otwarcie po miejskich placach i salach kongresowych.

Koroner kilkakrotnie o mało nie przewrócił się w labiryncie schodów rezonujących niczym stos pustych trumien. Pomyślał, że musiała mu zaszkodzić herbata. Nie powinien pić tego napoju ciemniejszego niż czarna żółć. W rezultacie czuł się dość zadowolony z nocnej samotności, zaczął więc nucić z ręką na kaburze rewolweru:

*A house without love
Is an empty homestead
But wherever love lives
Is home indeed²⁵.*

II

Dziennik Maggie

Cóż za zamieszanie od czasu naszego pospiesznego wyjazdu z Hydesville! Spadła na nas lawina najdziwniejszych zdarzeń, ale ani ja, ani Kate – chociaż, trzeba to przyznać, byliśmy u źródła tego całego bałaganu – o niczym nie miałyśmy pojęcia. Zostaliśmy wygnani z Kościoła przez wielebnego Gascoigne’a, a farmerzy z każdym dniem napastowali nas coraz ostrzej, niektórzy zbierali się nawet przed naszym domem z pochodniami. Pewnego dnia, kiedy wracałyśmy we dwie z miasteczka, banda pasterzy była szła naszym śladem Długą Drogą, wykrzykując okropne rzeczy. Zamiast wrócić na farmę, Kate pobiegła w stronę stawu, pociągając mnie w swojej absurdalnej ucieczce. Rzucano za nami kamieniami i grudami ziemi, nazywano wiedźmami i kobietami diabła. Na skraju lasu zauważyłyśmy cień: ociekającą wodą, na wpół nagą postać, która trzymała w ręce biały welon niczym chorągiew, a drugą, a drugą... To był Samuel, syn wdowy z Bout du Haut, który pomachał do nas, uśmiechając się dziwnie, gdy tymczasem zgraja napastników się zbliżała. Bez namysłu – nie miałyśmy bowiem wyboru – poszłyśmy za nim do grotty ukrytej za strumieniem, który w tym miejscu opadał wodospadem. Wewnątrz, na palikach przytwierdzonych do ściany, wisiała damska bielizna. Strzępy stroju Violet Gascoigne, topielicy ze stawu: moja siostra od razu to odgadła. A także halki skradzione dziewczętom ze sznurów do suszenia. Kiedy horda odeszła, Samuel ukrył twarz we flanelowych spodniach. Mimo swojego wyglądu szaleńca i osobliwych zainteresowań ocalił nam życie.

Nazajutrz opuściliśmy na zawsze Hydesville.

Oto siedzimy: mamusia, Katie i ja, w dyliżansie do Rochester. Zanim do nas dołączy, ojciec zamierza jeszcze przez jakiś czas pracować na farmie. Nasz najstarszy brat David, którego moja młodsza siostra i ja bardzo słabo znamy – tak duża dzieli nas różnica wieku – zechciał wziąć ją w gospodarowanie, ponieważ przynosi lepsze zyski niż jego własna. Oczywiście to Leah się wszystkim zajęła. Podziwiamy ją za jej rozsądek i zaradność. W tych swoich gorsetach i satynowych sukniach zachowuje się jednak zupełnie inaczej niż farmerki z Hydesville! Nasza starsza siostra jest też wybitną pianistką, bez jednej fałszywej nuty gra sonaty Bacha

i Mozarta. W wieku trzydziestu siedmiu lat mogłaby być naszą matką. O ileż sympatyczniej jest mieć elegancką matkę!

Kate i ja z trudem dostosowujemy się do naszego nowego życia. Ciężko uwierzyć w to, co nas spotyka dzięki panu Splitfootowi! Istna bajka o dobrej wróżce, chociaż purytanie wyzywają nas od czarownic. Mamusia, która potrafi czytać tylko na głos, otrzymuje codziennie dziesiątki listów, często anonimowych. Słuchając jej, można się przestraszyć!

Za dużo wrażeń, wszystko mieszam, nie wiem już, od czego zacząć moją opowieść. Leah znalazła dla nas duży, umeblowany dom przy Central Avenue, jeszcze piękniejszy niż jej własny, prawdziwy pałac w porównaniu z naszym barakiem w Hydesville. Jest tam przynajmniej dwanaścioro drzwi, nie licząc szaf i sufitów wysokich jak w kościele. Każda z nas ma swój pokój, z piękną, nową bielizną z Fashion Park w kufrach i komodach. Leah oczywiście wszystko przygotowała. Nawet mamusia wygląda teraz jak angielska mieszcza. W swoich pięknych strojach nie mówi już byle jak. Zresztą, idąc za radą swojej najstarszej córki, stara się odzywać jak najmniej.

Leah obiecała zająć się naszą edukacją. Codziennie uczy nas czysto śpiewać i nie używać wiejskich przekleństw przy każdej okazji. Żeby się jej przypodobać, wystarczy, żebyśmy zachowywały się jak doskonałe panny i nie twierdziły, że skrzaty zaplotły grzywę Old Billy'ego. Ale Old Billy zmarł ze starości tej zimy! Kate płacze tak samo, jak płakała ostatnio nad suką Iroise i jak płacze nieustannie nad naszym małym braciszkiem z Rapstown.

Kate niewiele się zmieniła, nie licząc talii osy i małych, sterczących piersi. Jest taka zabawna, trochę się mizdrzy, ma w sobie tyle naiwności i pochodzący z dalekości smutek. Trzymamy się blisko, żeby ludzie myśleli, że posiadamy tę samą moc. Ze swej strony, nauczyłam się wielu sztuczek od czasu nocy w Hydesville; Kate nie musiała, jej nigdy nie brakuje pomysłów, jak wszystkim rozbudzonym marzycielom – powiada się, że lunatycy rodzą się z dodatkowym okiem. Tajemnicą, która nie może się wydostać poza kartki tego kajeciku, jest to, że pan Splitfoot nas nie opuścił. Zjawy, tak jak koty, wybierają sobie panów. Wcale nie są takimi domatorami. Odtąd duch towarzyszy Kate wszędzie. To on poprosił nas, żebyśmy wyjawily światu jego historię w jeden z ostatnich wieczorów w Hydesville. Wiemy niemal wszystko o jego wcześniejszym życiu, kiedy był tylko wędrownym przedstawicielem handlowym z ciężką walizką pełną artykułów pasmanteryjnych. Duch, jeśli dobrze zrozumiałam, to odrobina

nieskończoności wczepiona w minione odczucia, a raczej cień duszy pełnej żalu. Staje się więźniem naszej ciasnoty żywych istot z powodu gwałtownej śmierci, samobójstwa, morderstwa lub wielkiego niezadowolenia w chwili, gdy staje przed wrotami zaświatów.

Gdy jej spojrzenie zasnuwa się mgłą i nieruchomieje, Kate zaczyna czasami mówić przerażające rzeczy. Twierdzi na przykład, że topielica ze stawu w Hydesville chodzi wszędzie za panną Pearl, naszą dawną nauczycielką, i ma w stosunku do niej złe zamiary, dlatego ta powinna uciec daleko, daleko, w przeciwnym razie umrze albo postrada zmysły. Jak matka mogłaby źle życzyć własnej córce? Mówi też, że obserwują nas tysiące cieni, wszędzie, ale tylko kilka z nich chce przełamać ciszę. Potem jej oczy znów się śmieją i Kate proponuje mi partyjkę wista albo domina. Mam wrażenie, że ona nie ma pojęcia o tym, co się dzieje w takich chwilach jak wtedy, kiedy wstaje nocą i chodzi z wyciągniętymi rękoma, ciągnąc za sobą białą koszulę.

Kiedy ja wzywam ducha, bo tego się tu po nas spodziewają, rodzi się wokół mnie takie napięcie, takie oczekiwanie wśród otaczających nas osób, że coś musi zaskrzypieć w meblach albo w moich kościach, w rękach, stopach, w kolanach. Zaczynam szcząkać zębami. Kate, przeciwnie, jest rozluźniona, wygina się w łuk, sprawia wrażenie, że cała oddaje się tajemnicy, niewzruszona i tak bardzo smutna. Nawet na krawędzi świadomości uśmiecha się z nieobecną miną. Pan Splitfoot na pewno droczy się z nią po drugiej stronie, żeby nie zemdląła.

W naszym okazałym domu nie brakuje gości, ludzi światowych jak Leah, bogatych przedsiębiorców i mieszczan wielu profesji. Przewijają się też dziennikarze, bezczelni, szyderczy albo przeciwnie, tak gorliwi, że kładą swoje wielkie łapy na moich ramionach, muskają palcami moje uda lub gorset. Ich pytania potrafią czasem zaskoczyć: na czym polegają pani sztuczki, czy wierzy pani w zwierzęcy magnetyzm, czy spektra zawsze zachowują się jak przystało na dobrych Amerykanów, czy nigdy nie zadają pani gwałtu?

Nie tracąc czasu w tej wrzawie, nasza najstarsza siostra poprosiła wziętego dekoratora wnętrz z centrum miasta, żeby urządził u nas tak zwany gabinet konsultacji spirytystycznych, z parawanami z palisandru, dziewięcioramiennymi świecznikami z brązu i grubymi tkaninami z purpurowego aksamitu.

Wezwany również przez Leah łysy rzemieślnik w getrach specjalizujący się w wyrobach mosiężnych umocował na fasadzie naszego domu tabliczkę

z napisem:

Fox & Fish
Spiritualist Institute

Nasza rola polega na nawiązywaniu komunikacji między gośćmi i ich ukochanymi zmarłymi. Nawet Leah udziela konsultacji. Mamusia natomiast zajmuje się przyjmowaniem naszego wynagrodzenia i prowadzeniem rachunków. Wkłada w to wiele radości. Podczas kilku seansów każda z nas wnosi tyle ile kilka miesięcy pracy na gospodarstwie.

Bywają wieczory, kiedy przychodzą do nas na konsultacje ważne osobistości Rochester. Wśród nich uczeni w sama nie wiem czym; rozmawiają o komisjach ekspertów i kontrolach. Nie wszyscy są życzliwi. Pojawia się nawet policja i przedstawiciele Kościoła, na wypadek gdybyśmy zachowywały się niegodziwie. Na szczęście mamy swoich obrońców, jak kwakrzy Amy i Isaac Postowie albo ten wielki człowiek tego samego wyznania, którego nazwiska zapomniałam. Leah, żeby położyć kres oszczerstwom, wynajęła największą salę w Rochester. Mamy tam wkrótce zorganizować publiczną demonstrację pod kontrolą komisji ekspertów. Kate jest przerażona. Ja też nie czuję się z tym dobrze. Dziewczęta takie jak my nie są przyzwyczajone do występów. Nic nie wiemy, jesteśmy tylko pośredniczkami między tym i tamtym światem. Kate wychodzi z wróżbiarskich seansów jak ze snu, bez wspomnień. Ja, co jest o wiele gorsze, mam wrażenie, że idę po moście, który się wali, albo steruję olbrzymim statkiem zmierzającym ku czarnej otchłani, a wokół wszystko skrzypi i przecieka. Tymczasem powinnam w tych okolicznościach sprawiać wrażenie spokojnej. Kiedy nic się nie wydarza, zaczynają mi chrupać palce u stóp. Czy ludzie prosiliby konającego, żeby nie żartował sobie ze śmierci?

III

Eksploracja terenu górniczego

Po rozstaniu z pozbawionym splendoru mężem, który pozostawił jej przyjemną rentę, Leah Fish zwolniła się ze szkoły muzycznej w Irondequoit, gdzie od dłuższego czasu uczyła gry na fortepianie i solfeżu niezbyt utalentowane córki miejskich dorobkiewiczów. Założony przez nią Spritualist Institute wymagał pełnej dyspozycyjności. Miała wrażenie, że objęła wszystkie stanowiska w teatrze: administratora, dyrektora artystycznej, zarządcy, rekwizytora, dekoratora, aż po kostiumologa i makijażystkę. Nie mówiąc już o nauczycielu dykcji, jednej z najbardziej niewdzięcznych czynności w rodzinie, która przeżuwa angielski niczym zwierzęta paszę! Owo nędzne pochodzenie, z którego zdołała się wyrwać dzięki małżeństwu bez potomstwa, było dla niej tajemnicą, podobnie zapewne jak dla większości jej współobywateli w drugim, trzecim i entym pokoleniu. Skąd wychodzili ci niepocieszeni purytanie, wszyscy naznaczeni piętnem grzechu, jeśli nie ze zgnilizny Starego Świata i otchłani nieszczęścia? Ale dobra krew nie mogłaby skłamać – każdy tu nabijał strzelbę, gotów grać i podbijać stawkę, żeby tylko osiągnąć dobrobyt i poważanie wraz ze swoją częścią zbawienia.

Układając bukiety lilii i anturium na komodach i niskich stolikach w salonie, najstarsza z sióstr Fox zastanawiała się z nutką niepokoju, czy przypadkiem nie kusi nieco losu, wynajmując Corinthian Hall od zarządzającego nim stowarzyszenia czytelników, po tym jak wykłady wygłosiło tam kilku najwybitniejszych mówców tego kraju: między innymi Oliver Wendell Holmes, słynny humanista, dyrektor „New-York Tribune” Horace Greeley, wielki teolog Charles Finney, autor wyrafinowanego *Serca prawdy*, przynudzający Ralph Waldo Emerson, którego miała okazję wysłuchać ubiegłego roku, czy też kaznodzieja Alexander Cruik, którego przedstawiać nie trzeba. Leah westchnęła z dumą na myśl, iż ten ostatni zgodził się wziąć udział w jej wieczorze. Zaproszenie pochodzące od rozwódki, pianistki i w gruncie rzeczy wykształconej kobiety może być przyjmowane tylko przez wielkie umysły. W spotkaniu wezmą udział jeszcze inne postaci, z którymi warto się zaprzyjaźnić, jak cudowna Wanda Jedna, walcząca o emancypację kobiet, nieoceniony Lucian Nephtali i te wszystkie

staruchy, przydatne ze względu na finanse i reklamę.

Dzwon na kościele prezbiteriańskim wybił siódmą.

Zdenerwowana Leah wezwała najmłodszą ze swoich dwóch służących: zapomniała cynobrowych lamp i kadzideł.

– Nie trzeba włączać świateł żyrandoli – dodała. – Nastrój mają tworzyć cienie i zapachy.

Ruszyła w stronę swojego małego fortepianu, by zamknąć pokrywę, pewna, że po deserze zostanie poproszona o ponowne jego otwarcie. W tej samej chwili poczuła zawrót głowy, oparła się więc o brzeg pianina i na klawiszach z kości słoniowej ujrzała defilujące obrazy ze swojego życia. Odkąd wzięła w swe ręce los rodziny, wydarzenia układały się jak pomyślnie postawione karty tarota. Niemniej jednak nagła sława niepokoiła ją: sprawiała wrażenie próby. Zaświaty wraz ze swymi aniołami i demonami bez wątpienia objawiły się Katie i Maggie. Ale to ona, rozważna neofitka, utrzymywała teraz komunikację na duchowym poziomie. Ani jej siostry, ani nieszczęsna matka nie znały się na doktrynie. Odbierały wyłącznie trywialne i dziwaczne aspekty tego, co im się przytrafiło w Hydesville – sygnały od niewidzialnego sąsiada, łomoczącego w drzwi zza grobu. Jak gdyby święta natura zostawiła miejsce dla fantazji! We wnuczce pastora, chociaż jej ojciec był tylko pozbawionym korzeni pijaczkiem, natychmiast dostrzegła niemal liturgiczny wymiar telegrafii dusz, mimo że proceder ten wymagał żmudnej pracy w porównaniu z Eucharystią. Leah stłumiła chichot. W Rochester uwolniła się od sakramentów i kapłanów. Długo skłaniała się ku religii naturalnej i jej deistycznych sióstr, wyrozumowanych kochanek Boga, które naśmiewają się z prorocstw i cudów. Objawienie w Hydesville przywróciło jej dziecięcą wiarę w tajemnice, ale że nie była już dzieckiem, rozpatrywała tę tajemnicę tak, jakby była namacalnym przedmiotem badań i kultu. Może udałoby się w przyszłości stworzyć swego rodzaju naukową metodę analizy zaświatów?

Od strony wyżwirowanej drogi dobiegł odgłos kopyt i zaprzęgu. Kabriolety i berlinki wjeżdżały na South Avenue. Panoramiczne salony na piętrze wibrowały od mieszaniny głosów i inteligentnych śmiechów. Pary gratulowały sobie zgodnie ze zwyczajem. Osoby stanu wolnego, bardziej zakłopotane, rozglądały się nieuważnie. Lucian Nephtali, z monoklem w lewym oku, stał przodem do ściany pełnej ram i zachwycał się złym gustem gospodyni. Znajdowała się tu jednak pewna krzywo zawieszona, akceptowalna akwarela pędzla mistrza z Hudson River School. Przez tiulowe zasłony w oknach widać było rzekę Genesee, ciemnofioletową

w półmroku, i trzy częściowo oświetlone wodospady. Wanda Jedna, którą admiratorzy nazywali Only One, podziwiała spokojnie widok, zastanawiając się, czego Leah Fish może od niej jeszcze chcieć. Nieco na uboczu właściciel przedsiębiorstwa garbującego skóry Freeman i jego małżonka rozmawiali o inwestycjach i kapitałach ze szkółkarzem Barrym Nurserym, właścicielem wszystkich lasów po stronie Braddock Bay i stawów Mendon.

– Poważnie rozważamy budowę mostu kolejowego na Upper Falls. Olbrzymi drewniany most, największy, jaki do tej pory skonstruowano, około pięćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych.

– Trzeba by zacząć od zbudowania stacji! – ośmieliła się zauważyć pani Freeman.

– Po co? Mosty, przede wszystkim mosty!

Emerytowany wojskowy obwieszony medalami wtrącił się do rozmowy, ze wzrokiem zwróconym w stronę nowego akweduktu:

– W dwudziestym dziewiątym stałem na prawym brzegu, jako młody i dziarski oficer, kiedy to Sam Patch, wielce nierozważny człowiek, wykonał skok śmierci ze szczytu wodospadu na oczach całego Rochester. Bach! Nieszczęsny, złamał sobie kark...

Za bufetem, gdzie czarnoskóra mężczyzna w liberii serwował napoje, Leah udawała, że mu pomaga.

– Nie macie niczego mocniejszego? – zagadnął ją półzartobliwie finansista, blondyn z małym przystrzyżonym wąsem.

Leah mrugnęła do niego i podała mu swoją lemoniadę cytrynową, wiedząc, że Sylvester Silvestri, prócz tego, iż jest siostrzeńcem pułkownika Williama Fitzhuga juniora – współzałożyciela miasta wraz z pułkownikiem Nathanielem Rochesterem – był także wiceprezydentem lokalnego Niezależnego Zakonu Dobrych Templariuszy, jednego ze stowarzyszeń działających najaktywniej na rzecz wstrzemięźliwości.

– Do stołu podamy francuskie wino, drogi przyjacielu!

Pojawienie się kaznodziei, zaraz po Harrym Maurze, zaciągającym się cygarem i ciągnącym za sobą Charlène Obo przebraną za królową nocy, wywołało poruszenie, które wyraźnie uraziło aktorkę. Małżonkowie Postowie, którzy należeli do osób otwierających wieczór, trzymali się z boku, sztywni w swoich purytańskich strojach; ze znudzonymi minami zastanawiali się, czy przypadkiem nie nastąpiło jakieś nieporozumienie. Były telegrafista, znacznie bardziej powściągliwy, gdy u jego boku znajdowała się żona, tęsknił bardziej niż kiedykolwiek za Hydesville

i swoim saloonem. Tych dwoje zdziwiło się, nie zauważywszy wśród zebranych żadnego z pozostałych członków rodziny Foxów ani ich bliskich.

Wszyscy goście znaleźli swoje wizytówki przy nakryciach wokół okrągłego stołu. Amy i Isaac Postowie z ulgą stwierdzili, że nie znajdą się w przykrym towarzystwie, jak ta ekspansywna aktorka i mroczna postać przebrana za pirata, którzy padli sobie w objęcia z gorszą pretensjonalnością. Pani domu, mając po swojej prawej młodego Andrew Jacksona Davisa – błyskotliwego adepta mesmeryzmu w drucianych okularach i z patriarchalną bródką – a po stronie serca bankiera z Mediolanu, nie spodziewała się, że siedzący naprzeciw niej kaznodzieja zwróci się do niej na tyle głośno, by kilkanaście głów odwróciło się w ich stronę.

– Gdzie też są pani drogie siostry, pani Fish? Miałem nadzieję...

– Są takie młode! – broniła się Leah, zerkając z zażenowaniem na najbliższych gości. – Zresztą wkrótce będzie pan mógł je podziwiać w Corinthian Hall.

Dwoje służących podawało gorącą zupę, ustawiając parujące talerze wkoło.

– Tak, oczywiście, ich wiek! – zagrział wychudzony Alexander Cruik. – Niemniej jednak jakże miło byłoby mi porozmawiać z nimi. Szczególnie z najmłodszą.

– Z Kate? No proszę! – Pani Fish nie miała pojęcia, co powiedzieć, by ukryć zakłopotanie; wiedziała, że kaznodzieja czerwonoskórych o głosie przyzwyczajonym do przemówień na wolnym powietrzu lubi ciągnąć zaczęta myśl.

– Wasza Kate obdarzona jest wyjątkową wrażliwością, przechwytuje fale psychiczne niewyczuwalne przez większość osób. To forma wyostrej intuicji w stosunku do istot i sytuacji, chociaż ona sama nie potrafi wyciągać z tego żadnych wniosków. Znałem Indian Czirokezów zdolnych do podobnej sensoryczności, szczególnie jednego, czarownika z grzywą mustanga, który odczytywał przyszłość ze zmarszczek zmarłych. W stanie transu wskazywał nieomylnie skazanych na śmierć wojowników, kobiety wkrótce brzemiennie, dzieci, które dotknie choroba...

– Niech Pan chroni nas przed czarownikami! – zawołała pani Freeman, otyła dama z fryzurą przypominającą gniazdo wrony.

– Tak naturalna i słodka – ciągnął kaznodzieja – Kate to mała szamanka, która nie ma pojęcia o swoim darze, a posiada moc podobną do tej, jaką dysponowali pierwsi apostołowie. Jest pośrednikiem między dwiema

przestrzeniami postrzegania i rozumienia, zazwyczaj szczelnie od siebie oddzielonymi, jest swego rodzaju medium, jeśli mogę sobie pozwolić na użycie neologizmu...

– Medium, medium...? – powtórzyła Leah. – Tego słowa nam brakowało! Proszę mi jednak pozwolić powiedzieć, iż współczesny spirytyzm, jeśli zgodzi się pan, że określe to w ten sposób, to sprawa Margaret Fox i moja, nie wykluczając oczywiście naszej drogiej Kate ani nawet mojej matki i leciwego ojca...

– To rodzinny interes! – zażartował korpulentny Barry Nursery.

– Czy należy pani do wyznawców Przebudzenia Religijnego? – spytał z największym zdziwieniem jej sąsiad z prawej, magnetyzer Andrew Jackson Davis.

– Oczywiście – odparła Leah, nieco zasmucona widokiem stygnącej zupy. – Ja i moje siostry zapalałyśmy szczególną gorliwością do naszej wiary, a mistyczny pożar rozprzestrzenia się dzisiaj w niezwykłym tempie, budząc nabożność dla zaświatów, skąd nasi drodzy zmarli wciąż dają nam znaki. To nasze anioły, możecie w to wierzyć. Czyż zmartwychwstanie naszego Pana nie było pierwszą manifestacją spirytyzmu?

– Od czasów Ozyrysa, Dionizosa i Orfeusza było ich o wiele więcej – powiedział z westchnieniem i wyrazem wyczerpania na twarzy Lucian Nephtali, ocierając czoło.

– A prorok Eliasz! – dodał z rozbawieniem kaznodzieja. – Przypomnijcie sobie wdowę z Sarepty za czasów Achaba, bałwochwalczego króla: „Po tych wydarzeniach zachorował syn tej niewiasty, właścicielki domu, a tak się wzmogła jego choroba, że przestał oddychać”²⁶. Mieszkający w pokoju na poddaszu w domu wdowy Eliasz kazał wnieść na górę dziecięce zwłoki, rozciągnął się na nich trzykrotnie i zwrócił się do Wiekuistego: „Panie, Boże mój! Czy także na tę wdowę, u której jestem gościem, chcesz sprowadzić nieszczęście, pozbawiając życia jej syna?”²⁷. Natychmiast dusza małego chłopca wróciła do ciała dzięki boskiej woli. Eliasz zszedł, oddał go matce i oświadczył: „Patrz, syn twój żyje”²⁸.

– Ależ tu nie chodzi o budzenie zmarłych! Mamy, Bogu dzięki, znacznie mniejsze ambicje niż zapowiadający Mesjasza. Naszą misją jest po prostu postawienie pogrążonych w żałobie w obecności duchów i umożliwienie im tym samym pocieszenia, otwarcia się na nadzieję...

Zebrane damy, żony oraz zjawy nagrodziły Leah entuzjastycznymi oklaskami.

Po kolacji Wanda Jedna, oczarowana nową sprawą zasługującą na jej

uwagę po priorytetowych czarnoskórych i kobietach – bo czyż nasi szlachetni zmarli nie należą pełnoprawnie do wielkiej ludzkiej rodziny? – zaskoczyła panią domu, otwierając fortepian i intonując paryską bojową melodię, do której Charlène Obo i bankier z małym wąsikiem od razu przyklasnęli.

*Mężczyzna, ten despota dziki
Zadbał o swoje prawa
Stwórzmy własne na nasz użytek
Na nasz użytek stwórzmy prawa!²⁹*

IV

Oneida! Oneida!

Pearl Gascoigne nie została poproszona o żadne wyjaśnienie, kiedy pewnego wieczoru stanęła u wrót wioski. Po powrocie z sianokosów Doskonali przyglądali się w zdumieniu uroczej uciekinierce i jej koniowi czystej krwi. Oboje emanowali tą samą energią, mieli jednako rozwiane grzywy i byli wyraźnie wykończeni długą podróżą. Wyglądali, jakby uciekli co najmniej przed pożarem, boskim gromem i bandą Algonkinów ludojadów naraz. Przerażony koń szalał między zagrodami i chatami z bali, dopóki kilka młodych kobiet go nie ujarzmiło.

Pearl znalazła się pośrodku osobliwego zgromadzenia brodatych chłopów przypominających czarnoksiężników, gospodyń w kaftanach, starych matron w ciemnych strojach i z nieokreślonym uśmiechem na ustach oraz małych, jakby zastygłych w trakcie zabawy dzieci w lekkich sukienkach i spodniach na szelkach. Natychmiast zauważyła krótkie włosy nastolatek, ich wesołe, a zarazem nieufne spojrzenia, swego rodzaju hierarchię – typową dla stad dzikich zwierząt – u mężczyzn, stopniowaną według wieku, ale i pewien spokój na ich obliczach. Po całym dniu podróży galopem bez celu w pyle dróg ten sielski obraz, godny malowidła z epoki trzynastu kolonii, wyrył się w niej jako nieco nierealny.

Opuściła Hydesville w burzliwą noc, rozżalona, bez uprzedzenia. Nagle, w wyniku sprzeczki z ojcem na temat jej toalet i wydatku na koronkowe wstążki, odwróciła się na pięcie i wyszła. Przywdziała swój strój do konnej jazdy i pobiegła do stajni. Nie martwiła się o żadne jutro, bez najmniejszego żalu porzuciła swoje drobne skarby i poważne obowiązki. Koń pełnej krwi, White Beauty, podarowany przez hodowcę z hrabstwa, był jedynym luksusem, jakim dysponował wielebny Gascoigne. W przypiływie wściekłości, gotowa uciec najdalej, jak to tylko możliwe, nie zawahała się ani chwili przed zabraniem konia zwyczajowo zaprzęganego do angielskiego powozu. I tak oto, z opuszczonymi wodzami, w letniej nocnej duchocie, odurzona zapachem traw i mdłymi wyziewami stojących wód, pokonała połowę hrabstw Monroe i Wayne, po czym przez kolejne dni wędrowała wśród gór i lasów, przez niekończące się równiny, terytoria Oswego i Oneidy, gdzie – przekonana, że zgubiła się w rezerwacie Indian –

stała się nieświadomie zakładniczką najdziwniejszego plemienia białych twarzy.

Długo będzie wspominać entuzjastyczne powitanie, jakie zgotowały jej młode kobiety, oraz łakome spojrzenia mężczyzn, kiedy już minęło zaskoczenie na jej widok – pięknego, płomienistego archanioła na koniu, zlanego potem i oblepionego pyłem. Po krótkiej wymianie zdań wiele osób się nią zajęło. Pearl była głodna i spragniona, chciała się też wyspać do woli po tak długiej jeździe. Kiedy zsiadła z wierzchowca, kobiety niemal zniosły ją ku wąskiemu zagłębieniu parowu, którym płynęła rzeka. Ściągnęły jej buty i całkiem rozebrały, chichocząc, podczas gdy patriarchowie zbliżyli się na stosowną odległość. Następnie zanurzyły ją, niczym jeden z posągów niedostępnej bogini Durgi w wodach Gangesu. Same, również półnagie, namydliły ją od stóp do głów, całując jej włosy i wargi, ratując wreszcie przed utopieniem. Na jej widok, ociekającej wodą, z długimi włosami oblepiającymi biodra, rozległ się wokół niej niemal religijny szmer podziwu. Umyty posąg miał urodę aniołów i demonów, marmuru rzeźbionego oślepiającym ogniem pożądania, upokarzającego doskonałością. Nawet dzieci zebrane na brzegu pobladyły z emocji.

W owej chwili bardziej niż kiedykolwiek John Humphrey Noyes musiał myśleć o ludzkości czystej krwi i świętej duszy, jakiej jego wspólnota miała za zadanie dawać przykład poprzez płomienną namiętność, będącą poza zasięgiem okropnego sakramentu małżeństwa. Ta cudowna anatomia, nietknięta mękami porodu, przypominała mu boleśnie o jego dawnej małżonce, o jej ciele zniekształconym kolejnymi przerywanymi ciążami.

Było jednak w tym zaimprovizowanym chrzcie pewne bachusowe rozprężenie, które wydawało mu się niegodne. Z racji swojego duchowego przywództwa zastanowił się poważnie nad uciążliwością związaną z pojawieniem się intruzki, po czym wezwał ją do sali rozważań. Po zabawie w wodzie, odziana w krótką sukienkę bez rękawów dostarczoną jej przez praczki, Pearl, czując ciężar na powiekach, musiała stawić czoło osobliwemu, przypominającemu kazanie przesłuchaniu, prowadzonemu ojcowskim tonem. Mężczyzna był podobny do pastora z racji skromnej postawy, wysokiego wzrostu, niskiego głosu i wychudłej twarzy o silnych szczękach, słabo skrywanych przez okalającą je brodę. Ale John Humphrey Noyes głosił zupełnie inną prawdę – mówił o Wolnym Duchu Niebieskim i Uniwersalnej Miłości, o świętości pracy i dobrowolnej spowiedzi. Z jego oczu biła przekonująca łagodność. Pearl, zakłopotana, przyjęła opiekę i nauki mentora.

Tym sposobem stała mu się towarzyszką w sypialni, po czym zaakceptowała – zgodnie ze zwyczajami panującymi w Oneidzie – cotygodniową zmianę partnera. I tak niespodziewanym zrzędzeniem losu została członkiem wspólnoty, jej dni wypełniało zbieranie owoców, pielenie ogródka warzywnego i produkcja przetworów oraz przyswajanie wiedzy książkowej. Wyświęcona na Boże dziecko, uzyskała przywilej dzielenia oświeconej cielesności z najstarszymi pionierami bractwa pochwalającego wielożeństwo, którzy długo wprowadzali ją w tajniki technik ostrożnego seksu – podobnie jak stare kobiety z matczyną cierpliwością nauczały nowicjuszek. Aby uniknąć niepożądanych ciąży i pomnażać kobiecą rozkosz, celebranci zmuszeni byli do opanowania chuci – nie chodziło tu jednak o abstynencję seksualną, jak w wielu konkurencyjnych sektach, ale o samą kopulację: każdy członek społeczności Oneidy po wypełnieniu swojej części obowiązków oddawał się z powściągliwą radością symultanicznej miłości cielesnej. Jako że wolność duchowa i zapobieganie ciąży idą w nierozłącznej parze, społeczność wciąż wzbogacała się bardziej dzięki pojawianiu się nowych adeptów niż poprzez rzadkie porody.

Rajskie marzenie surowego ojca Noyesa, odmienionego dzięki lekturze francuskiego filozofa i odkryciu kooperatywnych społeczności Roberta Owena, unosiło się nad głowami tych, którzy wcale nie zapomnieli o purytańskich konwenansach, ale czuli się wyzwoleni z miazmatów i martwicy grzechu za sprawą ewangelickiej przepustki. Przy każdej nadarzającej się okazji śpiewano hymny i pieśni nabożne. Z końcem dnia, podczas wieczornicy, w stronę gwiazd unosiły się najpiękniejsze głosy:

*Let us go, brothers, go
To the Eden of heart-love
Where the fruits of life grow
And no death e'er can part love³⁰.*

To, co odczuwała Pearl podczas długich miesięcy zawieszenia prawości wynikającego z nieprzemyślanego aktu buntu, nie przypominało w niczym tego, czego mogła się spodziewać. Przejście od zadeklarowanej czystości do wdzięcznego handlu ciałem unicestwiło w niej raz na zawsze wszelkie cnotliwe zahamowania i dwulicową moralność, które zazwyczaj wiodą do paraliżu ciała i duszy. Poddana rodzinie i jej dyscyplinie Pearl zapomniała niemal o całym świecie – a przede wszystkim o ojcu. Czyż nie miała na miejscu innego, wszechmocnego i okazującego naruszającą wprawdzie prawo, ale pełną szacunku czułość?

Lecz życie, w którym dążenie do ideału obierało dość nietypowe drogi,

miało też stronę, która w końcu stała się dla niej nie do zniesienia. Noyes i jego rada starszych wzywali dwa lub trzy razy na tydzień plemię dzieci Boga na inkwizycyjne przesłuchanie, wypełnione wzajemną krytyką, przerywając członkom wspólnoty hojne dzielenie się popędami. Pod rozłożystymi drzewami, w jedynym budynku o ścianach z kamienia – obszernej szopie, która służyła za składowisko ziarna i paszy, za miejsce rozkosznych igraszek, przestrzeń do medytacji, a podczas chłódów również za kantinę – stawiano się w ciszy na wezwanie przed radę Doskonałych. Każdy miał obowiązek odsłonić braki, przewinienia i najintymniejsze odchylenia wszystkich pozostałych. Owe seanse krytycyzmu, jak je zwyczajowo nazywano, miały za cel oczyszczenie, zmycie dumy i egoizmu dzięki samej sile wzajemnej miłości i wyjawionej boskiej prawdzie. Wzywana przed sąd, który w ramach pokuty zmuszał do wspólnego odkupienia grzechów, Pearl była nieustannie krytykowana przez wiele oskarżycielek: zarzucano jej kokieterię, za długie włosy, rzucanie uroków, lekceważenie edukacji dzieci, nieprzykładanie się do obowiązków gospodarskich. Doskonali kiwali wyrozumiale głowami. Aby zadowolić biblijny komunizm panujący w Oneidzie – i uspokoić nieufność kobiet – na pewno któregoś dnia zrobią z niej kurę nioskę.

Kiedy zaczęła żałować swojego White Beauty, sprzedanego – by pokryć koszt przyjęcia jej przez przywódców plemienia – jednemu z okolicznych hodowców, którzy wciąż wzywali ich od bękartów Chrystusa, Pearl poczuła, że już do nich nie należy. Pieśni nabożne śpiewane wieczorami wokół wielkiego ogniska zasmucały ją i przywodziły na myśl uporządkowane życie w Hydesville. Nie było jednak mowy o powrocie.

Co wieczór, przy ładnej pogodzie, Doskonali intonowali swój hymn pod gwiazdami.

*Naprzód, bracia, naprzód!
Wkrótce nastanie miłość prawdziwa
W pokoju i radości na zawsze.*

Uciekła z Oneidy przez las pewnej nocy, wśród śpiewów, nie czekając na świt. Włosy miała ścięte krótko i mniej bagażu niż w dniu swojego przybycia, odziana była w biedny strój, opłacony przez *coitus reservatus*, ale z pulsującą w głębi niezwykłą żądzą wolności.

V

Nicznym konie fiakra w galopie

Dwa silne zaprzęgi zatrzymały się za kabrioletem Charlène Obo przed domem przy Central Avenue. Rodzina Foxów szykowała się do wyjazdu po próbie generalnej, przeprowadzonej przez Leah pod czujnym okiem aktorki. W dużym salonie przeobrażonym w teatralną szatnię kobiety znęcały się nad dwiema młodzietkami siostrami, otoczone stosami ubrań i pudełek z przyborami do szycia.

– Popatrz tylko na te oferty! – wołała Leah do zmęczonej i zaniepokojonej matki. – Na zawsze zostaniecie małymi wieśniaczkami...

Przypięła wstążki do kołnierzyków, ścisnęła talie, zdjęła okropną jej zdaniem, fantazyjną biżuterię.

– A ty, mamó – dodała kategorycznym tonem – możesz zachować tę broszkę i naszyjnik. Ciebie nie będzie widać na scenie.

– Miałabym mimo wszystko ochotę powiedzieć dwa słowa...

– Chyba żartujesz. Z twoim akcentem i naiwnością trzech mędrców? Nasi wrogowie nie zostawiliby na nas suchej nitki...

– Pani córka ma rację – pozwolił sobie wtrącić Isaac Post za zgodą małżonki. – Chodzi przede wszystkim o przekonanie tych ludzi, a proszę mi wierzyć, że w Rochester sceptycy mogą być drapieżni.

Wstydliwie odwrócony ku oknu, skulony na krześle naprzeciw fortepianu George Willets zareagował natychmiast:

– Ale będzie też tłum ludzi przekonanych do waszej sprawy! Szczególnie członkowie naszego Kościoła, wiecie przecież, jak nasi przyjaciele kwakrzy są wam oddani! A także mormoni, których wybryków nie pochwalam. I adwentyści! Założę się, że cudowna Ellen White będzie na widowni...

– Czytał pan gazetę? – zaniepokoiła się Amy Post.

– „Rochester Herald” to siedlisko słabowitych konserwatystów! – stwierdziła Charlène Obo. – Jutro przeczytamy panegiryk na nasz temat w „New-York Tribune!”.

Jako profesjonalistka zaczęła popędzać towarzystwo, zbliżała się pora wyjazdu do Corinthian Hall. Nie można stanąć przed publicznością, nie zbadawszy sceny, bez odsapnięcia i nabrania kolorów za kulisami. Tym bardziej że przed nimi premiera, na dodatek z nowicjuszami! Jeśli chodzi

o nią, Charlène Obo nie wątpiła już w niezwykle zdolności sióstr Fox. Z radością podjęła grę w retrospektywne jasnowidzenie: spełniły się wszystkie jej oczekiwania. Jane, jej zmarła na tyfus w wieku siedemnastu lat siostra bliźniaczka, odpowiedziała jej łagodnie za pośrednictwem niewinnego umysłu Kate. W zaświatach, bliższych ludzkiemu sercu niż ciężar rzeczy, siostra bliźniaczka czuwała nad nią – wreszcie przestała w to wątpić po tylu latach straszliwych koszmarów, w których wciąż te same czarne i czerwone gnomy wyrwały jej a to rękę, a to nogę czy oko. Dzięki przyjaźni z Leah, dzięki osobliwym mocom Kate i Margaret została uwolniona od tych karłów, których utożsamiała z publicznością w lożach i na parterze, kiedy sama nie wiedziała, która z nich dwóch odgrywała komedię, ona czy jej siostra bliźniaczka, Jane czy Charlène Obo.

Trzy pojazdy jechały jeden za drugim szerokimi alejami śródmieścia. Na siedzeniu w drugim powozie, z czołem opartym o szybę, Kate odcięła się od otaczającej ją paplaniny i zamieszania. Przygoda zaczęła obierać niebezpieczny kierunek. Przebrana za przykładną dziewczynę, miała wrażenie, że prowadzą ją ku szubienicy, jak swego czasu tę klasę angielskich uczennic oskarżonych o drobne kradzieże. Siedząca naprzeciw niej mamusia miała minę wielkiej słodkowodnej, bladofioletowej ryby. Kate dziwiło zdystansowanie, jakie odczuwała w tej chwili; miała wrażenie, że znajduje się w swego rodzaju akwarium o falujących wodach, a jej bliscy należą do wodnej fauny. Pewna myśl sprawiła, że się uśmiechnęła: może duchy, z wysokości tamtego świata, drażnią się z rybami za pomocą niewidzialnych żyłek...

Na zewnątrz drobny deszcz zmieniał w taflę lustra szary asfalt, który co jakiś czas zastępował bruk. Latarnicy zaczęli swój obchód, migotliwe aureole naznaczały ich trasę, pokonywaną spokojnym krokiem. Duże sklepy zamykały się przed nosem niezdecydowanych spacerowiczów. W szybach witryn defilowały chińskie cienie – chłopcy na posyłki, żebracy, obwoźni handlarze, rodziny, ulicznice – raz po raz zmiotane grzywą koni w zaprzęgach. Kate przyglądała się tym meteorytom, nie mogąc się nigdzie odnaleźć. Wszystko działo się zbyt szybko, nic nie przypominało dnia wczorajszego. Dorośli wokół niej chcieli koniecznie bawić się w kotka i ducha. Każdy z nich miał na sumieniu mnóstwo ofiar. Któż może przysiąc, że nie jest winny czyjegoś samobójstwa lub śmiertelnej choroby innego człowieka? Kate była pewna swojej pełnej odpowiedzialności za śmierć małego braciszka. Zauważyła jego brak apetytu i rozpalone policzki, kiedy zasnął. Powinna była zmusić go do jedzenia i przytulić mocno do siebie,

żeby przejąć jego gorączkę. Ale śmierć jest niespodziewana, jak każda chwila, jaką przeżywamy na tej ziemi. W agonalnych majakach Abbey uśmiechał się nieśmiało, bełkotał niezrozumiałe słowa, wskazywał swoim przerażonym paluszkim maleńką szczelinę w ścianie. Dziecko wie wszystko, bo jego strach nie należy do żadnego ze światów.

Kate napotkała senne spojrzenie mamusi. Kołysanie dorożki wprawiało w ruch jej policzki i siwe kosmyki. Stara kobieta nad przepaścią – takie właśnie ogarnęło ją przykre odczucie. Czym tak naprawdę różnią się żywi od umarłych? Oparła ponownie czoło o szybę, wciąż z otwartymi oczami, wczuła się w drgania, które zmieniały wszystkie kształty, rozwibrowane i niepewne. Wśród tych cieni ile było wędrujących dusz i ożywionych magicznym oddechem zwłok, rozbiegających się na wszystkie strony? Leah tyle razy opowiadała jej wieczorami, trochę, by ją uśpić, a trochę, by wyedukować, historie o żywych trupach i mrocznych przepowiedniach autorstwa angielskich pisarzy, jak ów dziwaczny Horace Walpole, Ann Radcliffe i jej zamek przeznaczenia czy zszyta ze skrawków skóry postać opisana przez Mary Shelley albo przerażająco blada kreatura Polidoriego. Starsza siostra szeptała u jej wezgłowia, wytrzeszczając oczy i odsłaniając zęby: „Lord o bezkrwistej urodzie był spragniony świeżej krwi”. Bez wątplenia, wzbogacając nieco jej słownictwo, miała zamiar podtrzymać w niej, podsycając trwogą, czarny ogień, zwany teraz modern spiritualism...

Kate nasłuchiwała odgłosu kopyt spadających kaskadami na bruk; wydało jej się, że dostrzega w powietrzu kobiece głowy wirujące w tańcu z nożami. Kiedy Leah przykładała się do opowiadania wybranych historii, dziewczynka nabrała zwyczaju recytowania idiotycznych zaklęć, by nie umrzeć z przerażenia:

*Oddaję dobremu Bogu
Swojego słonia, żeby zyskać jego ciężar
Ach, co za szczęście! Co za szczęście!*

Skulona w kącie dorożki, była bliska zastosowania tej samej metody, by przegnać strach związany ze zbliżaniem się do celu. Wydadzą ją na pastwę dzikich zwierząt, ją i jej siostrę. Och, Maggie, Maggie, znajdziemy szybko zaklęcie, które pozwoli nam uciec!

*Paź króla od stóp do głów
Płynie brzuchem po piasku aż na północny biegun.*

– Co tam znowu mamroczesz, Katie? – spytała nagle chuda Amy Post, skulona obok niej.

Dziewczynka nie odpowiedziała, czując nagle ogarniający ją spokój. Przypomniała sobie elfa z podrapanymi kolanami, żyjącego w lasach i strumieniach Hydesville. Dzieciństwo połknęło swój czas jak watę cukrową. Dziewczyna powinna szukać siły raczej w fałdach szarej sukienki niż na papierowej szachownicy marzeń. Ale, ale! Kate tuliła do siebie hałaśliwego sprzymierzeńca. Czy to aby nie pan Splitfoot?

W ciasnym powozie z drewna i skóry rozległy się suche uderzenia, sprawiając, że pasażerowi drgnęli niespokojnie.

– Ach! – zawołała mamusia. – To znaczy, że jesteśmy już blisko!

Nie tylko Kate zwróciła uwagę na liczbę pięknych ekwipaży, mahoniowych kolasek, pojazdów konnych wszelkiego rodzaju, przyhamowanych przez różnorodny tłum, w którym kohorty kościstych i brodatych purytanów szczyrzyły zęby u boku wysokich kobiet w kapeluszach i radosnych starców w żałobnych strojach. Dokąd to zmierzał ten ludzki strumień? Isaac Post wychylił swoją głowę chudej szkapy przez okno dorożki.

– Czyżbyśmy mieli konkurencję? Sławny chór, a może kaznodzieję drugiego Przebudzenia?

– No przecież, stary koniu! – rzuciła Amy Post, drżąc z emocji. – Ta gawiedź przychodzi dla nas, w naszej sprawie! O słodki Panie! To nadzieja ich sprowadza!

VI

Raut w Corinthian Hall

W wysokich murach Corinthian Hall nie dało się znaleźć siedzącego miejsca: przestrzeń została zajęta przez tłum, którego liczebność przekroczyła najśmielsze oczekiwania i organizatorzy zaczęli rozważać już kolejne seanse. Ludzie wlewali się do środka wszystkimi wejściami, żeby zająć lub kupić numerowane miejsce. Plotka, która rozeszła się po mieście, wzmocniona przez telegraf i prasę, ściągnęła wszystkich amatorów ze stanu Nowy Jork i sąsiednich – erudyty i zwykłych ciekawskich, nonkonformistów, wichrzycieli, skuszonych siarkowym zapachem nowej reformy, astrologów i wędrownych magnetyzerów, będących przejazdem we Flour City, z których większość stanowili gorliwi naśladowcy Franza Antona Mesmera, uczonych, humanistów i zazdrosnych o ich zasługi wykładowców uniwersyteckich – cały ten światek współzawodniczył z mrowiącym się tłumem purytanów, przybyłych na spotkanie, choć sami jeszcze nie wiedzieli, czy będą bić brawo, czy gwizdać.

W pierwszych rzędach, zabezpieczonych przez woźnych przed inwazją tłumy, zasiadały ważne osobistości, powierzwszy uprzednio swoje laski, cylindry i futra szatniarcom. Studenci i nauczyciele zgromadzeni w galeriach balkonów cierpliwie czekali, przypisując nazwiska mniej lub bardziej bogatym karkom, które wślizgiwały się jedne po drugich za oparcia obitych welurem foteli. Rozpoznano zamożnego producenta powozów Jamesa Cunninghama, bankiera Sylvestra Silvestriego i człowieka interesów Harry'ego Maura w towarzystwie słynnej aktorki w nieustającej żałobie, wpływowego dyrektora „New-York Tribune” Horace’a Greeleya, a także Alexandra Cruika, znanego kaznodzieję podejrzewanego o działania okultystyczne i czczenie w porozumieniu z czerwonoskórymi Wielkiego Ducha. Znakomitości sfery politycznej w trakcie kampanii w hrabstwie Monroe, które wolały zachować anonimowość, zaszywały się w głębi łóż. Prywatną wizytę starego lwa Partii Wigów, Henry'ego Claya, obecnego spikera w Izbie Reprezentantów, udało się zachować w tajemnicy przed dziennikarzami. Uroczyste wejście dostojnego sędziego Edmonsa, chemika Jamesa J. Mapesa, profesora Akademii Narodowej, oraz jego kolegi Roberta Hare'a wzbudziło mniejsze zainteresowanie niż zauważona obecność

lokalnych kierowników przedsiębiorstw młynarskich i fabryk włókienniczych. Brawami i gwizdami przywitano mera miasta, syna pułkownika Rochestera, oraz jego apatyczną małżonkę. Nikt natomiast nie zwrócił uwagi na liczne, porozrzucane po sali postacie związane z odrodzeniem duchowym, niektóre w towarzystwie swoich uczniów, jak wizjonerka i adwentystka Ellen White, odziana na biało, z takąż opaską na czole, głosiciel deizmu Thomas Paine, autor *Age of Reason*, w którym odrzucał małego Jezusa z jego chrzcielnicą, wątlęgo Andrew Jacksona Davisa, oddanego w pełni malowniczej Leah Fish, oraz wielu innych, których nazwiska nie były jeszcze znane, nie licząc odpustowych komediantów rozmiłowanych w przeróżnych iluzjach, akwizytorów kamlotu wypatrujących wszelkich nowości i awanturników skupionych na wydarzeniu stulecia lub jednego wieczoru.

W gronie tych ostatnich wygodnie rozparty w fotelu William Pill palił cuchnące cygaro, medytując nad swoją najbliższą przyszłością. Dzięki zawartemu pokojowi i posiadanemu certyfikatowi uwolniony został na długo od rozległych równin. Poprawił też nieco swoją sytuację finansową w kasynach Rochester. Niestety, te niewielkie zyski umożliwiały mu jedynie stosunkowo skromny tryb życia, łatwą miłość i whisky ledwo nadającą się do picia. Miał okazję doświadczyć innych, bardziej pomyślnych dni w czasach teksańskich, po powrocie ze spacyfikowanego Meksyku. Ale tutaj, jak i gdzie indziej zresztą, szczęście drwiło sobie z niego. Pieniądze zapowiadały tylko jego rychłą ruinę. Na stałe posiadał jedynie Biblię ocaloną z tonącego statku i ślady po ospie na twarzy. Na wieść o pokazie spirytystycznym, o którym przeczytał u golarza w „Rochester Herald”, ani przez chwilę nie pomyślał, że może on mieć coś wspólnego z zabawnymi smarkulami z Hydesville. Dopiero cierpkie komentarze dziennikarza odświeżyły mu pamięć. „Bufonada stukających duchów” okazała się genialnym pomysłem: około ośmiuset–dziewięciuset osób tłoczyło się pod filarami Corinthian Hall, największej sali w mieście, co powinno przynieść organizatorom z tysiąc dolarów, nawet jeśli odliczyć gapowiczów wszelkiego rodzaju i darmowe miejsca w pierwszych rzędach. William Pill umiał docenić mistyfikację. Poznał kiedyś w Ontario kuglarza kabaretowego, który potrafił zamieszać w głowach widzów, wybierając spośród nich tych najbardziej przesiąkniętych alkoholem. W Filadelfii miał okazję obserwować z bliska brzuchomówcę, upadłego ucznia utopisty Williama Abbeya, deklamującego z zamkniętymi ustami *Deklarację niezależności umysłowej* i oskubującego zrecznie mieszczan z ich zegarków

kieszonkowych.

Siedzący między dwiema pobladłymi od mdłości purytankami, z cygarem przyklejonym do wargi, Pill ziewnął szeroko. Brakowało mu jednej przespanej nocy, więc panujące na sali ciepło szybko go zmorzyło. Wkrótce koń porwał go galopem w wysnioną rozległą prerię. Jego także nawiedzał duch, wciąż ten sam. Zauważona w zaułku ulicy albo w innym życiu kobieta o bardzo jasnych włosach i zbyt piękna, by dało się ją opisać. Co do jednego był pewien: nie znał jej wcale, a mimo to kochał do szaleństwa. Nic, zupełnie nic nie miało sensu na tej ziemi, gdzie przydarza się wszystko, tylko nie to, czego się spodziewamy. „Obcy przede mną to ja niegdyś, zanim dziewczyna nieznana rzekła do mnie: kim jesteś, człowieku bez twarzy, i czego chcesz ode mnie z tymi pustymi rękoma, rękoma podobnymi do trupów...”.

Z nieokreślonego miejsca grzmiał teraz czyjś głos. Przez na wpół przymknięte powieki Pill dostrzegł na oświetlonej estradzie postać odzianą we frak, o oliwkowej cerze, kruczoczarnych włosach i sztywnej postawie mistrza ceremonii. Pill otrząsnął się z sennego paraliżu. Widowisko wreszcie się zaczęło.

– Przypadł mi wielki zaszczyt przedstawienia gości dzisiejszego wieczoru w Corinthian Hall...

Mówiąc te słowa, Lucian Nephtali dostrzegł otyłą postać koronera w trzecim rzędzie. Nie widział go od owej nocy zapomnienia w Golden Dream, po pogrzebie przyjaciela. Dreszcz zaskoczenia kazał mu zawiesić na chwilę głos; wydało mu się, że na twarzy koronera dostrzega ironiczny uśmiezek. Chwilę później jednak doszedł do siebie, choć przed oczami wciąż miał widok grobu przesłoniętego oparami opium.

– Posłuchajcie proroka Ezechiela! Na Wzgórzu przywrócił on do życia liczne dusze zmarłych: „Spoczęła na mnie ręka Pana; i wyprowadził mnie w swoim duchu, i postawił mnie w środku doliny, która była pełna kości. I kazał mi przejść dokoła nich, a oto było ich bardzo dużo w tej dolinie i były zupełnie wyschłe. I rzekł do mnie: Synu człowieczy, czy ożyją te kości? I odpowiedziałem: Wszehmocny Panie, Ty wiesz. I rzekł do mnie: Prorokuj nad tymi kośćmi i powiedz do nich: Kości wyschłe! Słuchajcie słowa Pana! Tak mówi Wszehmocny Pan do tych kości: Oto Ja wprowadzę do was ożywcze tchnienie i ożyjecie. I dam wam ścięgna, i sprawię, że obrośnięcie ciałem, i powlokę was skórą, i dam wam moje ożywcze tchnienie, i ożyjecie, i poznacie, że Ja jestem Pan. Prorokowałem więc, jak mi nakazano. A gdy prorokowałem, rozległ się głos, a oto powstał szum;

i zbliżyły się kości, jedna kość do drugiej. I spojrzałem: a oto pojawiły się na nich ścięgnięta i porosłe ciała; i skóra powlokła je po wierzchu, ale ożywczego tchnienia w nich nie było. I rzekł do mnie: Prorokuj do ożywczego tchnienia, synu człowieczy, i powiedz ożywczemu tchnieniu: Tak mówi Wszchemocny Pan: Przyjdź, ożywcze tchnienie, z czterech stron i tchnij na tych zabitych, a ożyją. I prorokowałem, jak mi nakazano. Wtem wstąpiło w nich ożywcze tchnienie i ożyli, i stanęli na nogach – rzesza bardzo wielka”³¹. Jak Ezechiel, jak Ulisses czy Hamlet, wszyscy kiedyś odczuliśmy obecność duszy kogoś, kto odszedł – małego dziecka, ukochanej małżonki, drogiego przyjaciela... Odtąd dane nam jest korzystać do woli z tego daru Opatrzności.

– Uciszcie tego karawaniarza! – krzyknął nieoczekiwanie jeden z robotników z młyna.

– Kormoran! – dodał kiepski marynarz, naśladując skrzek ptaka.

– Pakowacz sztywniaków! – dołączył dla równowagi rzeźnik.

Z głębi sali dały się słyszeć żarty i śmiechy.

Pamiętając o wyzwaniu, jakie rzuciła mu Leah i jej przyjaciele, kiedy wybierali go na mówcę, o wyzwaniu, które przyjął jak prawdziwy dżentelmen, choć z pewnym cynizmem, Lucian podniósł głos:

– Niesłusznie podawano w wątpliwość prawość sióstr Fox pod pretekstem, iż niektóre ze zjawisk mogłyby rzekomo zostać sfałszowane lub wyjaśnione prawami fizyki albo właściwościami psychiki. Miejcie się jednak na baczności! Siostry Fox nie bronią żadnej sekciarskiej imaginacji. Mamy do czynienia z nowoczesnym spirytyzmem, jesteśmy świadkami upadku muru milczenia, jaki dzielił nas od naszych drogich zmarłych. Chodzi tu wręcz o rewolucję moralną, która zmieni oblicze świata...

Pomruki wśród publiczności wzmożyły się tym razem we wszystkich rzędach i Lucian Nephtali uznał, że może na tym skończyć, że przysługa, jaką miał wyświadczyć Leah i jej koleżance Charlène, została należycie wypełniona.

Wyciągnął ramię w stronę kulis i zaczął się wycofywać tanecznym krokiem.

– Obecne tu siostry Fox zademonstrują teraz, zgodnie z wszelkimi obowiązującymi zasadami, pokaz telegrafii duchowej...

Latarnie gazowe i soczewki Fresnela przygasły, pozostawiając scenę oświetloną tylko przez dwie lampy astralne o niebieskawych kloszach. Woźni wnieśli na środek estrady piękny owalny stół z drewna orzechowego, wysokie krzesła oraz imponującą szafę, jakby miał się tu rozegrać jakiś

bulwarowy dramat.

Publiczność ucichła. Ustały śmiechy, zakłócających zaskoczył widok wkraczających zdecydowanym krokiem na scenę trzech sióstr w ciemnych, skromnych toaletach. Leah, którą wiele osób wzięło za matkę dwóch pozostałych, wystąpiła naprzód i przełamała ciszę.

– Świat duchów istniał na długo przed nami. Duchy nas otaczają, to wasze zmarłe dzieci, wasze matki i ojcowie! Większość z nich gotowa jest odpowiedzieć na nasz apel. Wiele jest nam przychylnych, niemal jak anioły, inne cierpią tortury za popełnione na ziemi błędy i wracają, aby nawiedzać miejsca zbrodni. Niektóre spośród najbardziej cierpiących nie pojmują nawet, że nie żyją. Ale wszystkie bez wyjątku dążą do doskonałości. Wszystkie duchy po długiej wędrówce znajdą wolność na łonie Boga. Wszystkie zostaną ocalone...

Wśród zebranych rozległy się głucho pomruki i łkania. Kate i Margaret stały lekko cofnięte, w półcieniu, i czekały na sygnał od starszej siostry. Najmłodsza wpatrywała się w otchłań widowni z takim samym przerażeniem, jakie wzbudziło w niej jezioro Ontario targane huraganem. Żywiołowa siła szumiała u jej stóp, ślepa mimo tysięcy oczu, gotowa ją pochłonąć. Kimże była, by stawić jej czoło? Napięcie było tak wielkie, jej czaszka odbierała tak silne sygnały, że przez chwilę myślała tylko o tym, by uciec, mdlejąc lub popadając w hipnotyczny sen. Zacisnęła jednak pięści i całą swoją energią wezwała pana Splitfoota.

Stojąca obok Margaret dostrzegła bladość siostry i dyskretnie zacisnęła dłoń na jej ramieniu. Sama nie czuła się zbyt pewnie, ale mimo wszystko bawił ją ogrom zjawiska: zdarzył się cud znacznie większy niż cała ta historia ze stukającym duchem – ci wszyscy ludzie zapłacili za ich oglądanie! Czuła, że kiedy tylko otworzy pamiętnik, z pióra poleje się potok myśli. Czyż nie była właśnie świadkiem historii?

Po uroczystym ostrzeżeniu sceptyków, którzy mogliby spłoszyć duchy albo nawet wrogo je nastawić, Leah zwróciła się do sióstr, jak to zostało wcześniej ustalone.

– Margaret i Kate Fox usiądą przy tym stole pod waszym czujnym okiem. W imię Boga, który obdarzył je świętym darem, nie zakłócajcie ich skupienia, które ma na celu skanalizowanie pozazmysłowych fluidów...

Na skraju paniki Kate i Margaret zerknęły na siebie pospiesznie. Osłonięty przed wzrokiem innych filuterny uśmieszek jednej dodał otuchy drugiej, po czym obie skupiły się, od wnętrza po czubek głowy, czując już w dłoniach i stopach elektryczne wibracje. „Och, och! Panie Splitfoocie,

niech nas pan nie opuszcza!” – błagała Kate. Nie miała bowiem wątpliwości co do tego, że duch kolportera przybył za nią z Hydesville. Wyobrażała sobie jego chyże kopytka, zdolne jednym susem pokonać odległość między Ziemią a Księżycem. W okamgnieniu pan Splitfoot mógł wyskoczyć z głębi studni albo z paszczy brunatnego niedźwiedzia. Oto zresztą i on – wyskoczył znienacka na stół z miną mówiącą: „Czegóż znów chcesz ode mnie, niegrzeczna dziewczynko!”. „Och! Czy widziałeś tę zgraję ogrów i wstrętnych kruków? Znalazłyśmy się z Maggie w niezręcznej sytuacji...”. „Same się o to prosiłyście, słowo trupa! Mów zatem! Czego ode mnie oczekujesz?”.

– Duchu, czy jesteś tu z nami? – rozległ się żywy głos Kate w odpowiedzi na pytanie pana Splitfoota. – Jeśli tak, zastukaj dwa razy...

Szafa, a może stół stały się natychmiast instrumentami dwóch potężnych łomotów, o sile wystrzałów czy też siekiery uderzającej w wydrążony pień.

Na sali rozległy się krzyki, jakaś kobieta jęknęła ponuro. Charlene Obo, wstrząśnięta konwulsją, zaklaskała jak szalona w dłonie. Lucian Nephtali, po swoim błazeńskim występie ukryty w jednym z przejść prowadzących za kulisy, niewidoczny dla publiczności i aktorów, których mógł jednak obserwować do woli, palił cygaro i zastanawiał się nad fantazją użytą przy tworzeniu swego dzieła przez Wielkiego Zegarmistrza. Osobliwe fenomeny otaczały te dziewczęta. Meble zdawały się im odpowiadać niczym rozumne istoty, niczym paralitycy gorejącym szkieletom. Dlaczego zmarli mieliby tak hałasować na byle wezwanie? Leah wpatrywała się w siostry swoim swoim wzrokiem. Te zaś, niczym białe, księżycowe króliki, otoczone posępnym lasem purytanów, baraszkowały między dwiema trumnami ze starego drewna, jedną w kształcie szafy, drugą – stołu.

Posypały się suche uderzenia, bardziej regularne niż dzwon na szubienicy, a tłum huczał z przerażenia i złości. Czy bał się widm z kosami i zębiskami, jakimi przedstawia je Breughel w swoim *Triumfie śmierci*, przybywających całymi tysiącami, by położyć kres podziałowi między tym i tamtym światem? Jeśli te dziewczynki mają moc obalania granic, to znaczy, że zbliża się apokalipsa. Lucien parsknął śmiechem na myśl o tej perspektywie. On sam gotów był na wszelkie możliwe niedorzeczności, żeby znów zobaczyć przyjaciela, przeprosić go i przytulić jeszcze raz do piersi. Ale Nat Astor leżał bez duszy na starym cmentarzu przy Buffalo Street. O wy, którzy nie wchodzicie – albo jeszcze nie – porzucicie wszelką nadzieję!

VII

Fox & Fish Spiritualist Institute

Dom przy Central Avenue z szyldem Fox & Fish Spiritualist Institute odwiedzała odtąd wytworna socjeta Rochester. Na konsultacje z siostrami Fox przyjeżdżano z Nowego Jorku, Bostonu, Illinois i Pensylwanii. Leah zarządzała interesem z determinacją i dokładnością, dobierała klientelę, dbała o rytuał powitalny i scenerię każdego z trzech gabinetów urządzonych w stylu neogotyckim. Najtrudniejsze okazało się okiełznanie ciągnot do niezależności sióstr, które osiągnęły już wiek odpowiedni do zamążpójścia, szczególnie Margaret. Małe wieśniaczki ucywilizowały się dzięki jej lekcjom i potrafiły docenić piękne suknie z gorsetem, taftę i czarny jedwab, dyskretną biżuterię, eleganckie fryzury z opaską i koki na karku, które tak dobrze wyglądają, gdy upina się je z gęstych włosów. Wypiękniały tak bardzo, że pretendenci napływali zewsząd; byli wśród nich i wdowcy, którzy liczyli na możliwość kontaktu ze zmarłymi żonami. Po co obarczać się małżonkiem, powtarzała w kółko siostronom jako kobieta rozwiedziona i zadowolona z takiego stanu rzeczy. Dzięki płatnym seansom i subwencjom od bogatych zwolenników nie cierpiały na brak pieniędzy, ale też i na ich nadmiar – chociaż księgi rachunkowe trzymano przed nimi w ukryciu. Fortuna zdobyta poza małżeństwem ma dla kobiety wyborny smak zemsty.

Leah zachowała w pamięci dotkliwe wspomnienie trudów, jakie przyszło jej znieść, nim Instytut zdołał osiągnąć stabilną pozycję i zyskać reputację sięgającą poza hrabstwo Monroe, stan Nowy Jork, po całą Unię! Epizod w Corinthian Hall, chociaż decydujący dla całej ich kariery, nawiedzał ją w najgorszych koszmarach, w których anonimowy głos destabilizował ich ledwo ukształtowaną wiarygodność. „Czarownice!” – krzyczał tłum w chwili, gdy jeden ze wskazanych na chybił trafił widzów dzięki stukaniu poznawał niewyjawioną dotąd nikomu tajemnicę. Na sali rozgorzała batalia inwektyw, a zwycięstwo odnieśli purytanie, gotowi w każdej chwili przejść do rękoczynów. Pokaz dobiegał już na szczęście końca, lecz rozszalała publiczność gromadziła się na zewnątrz, dając upust nienawiści. Co bardziej porywczy zrywali grube sznury z wystawy sklepu z siodłami i stawali z nimi w półmroku. Pewien napuszony pastor, niejaki Ryan, wspiał się na wóz

i nawoływał do linczu: „Kto zabawia się z Szatanem, nie będzie radował się w Bogu!” – wykrzykiwał.

Wysłannicy mediów zrobili wydarzeniu mocną reklamę, choć dość skonstrastowaną w ocenach. Dzienniki z Południa i Middle West wspominały o wstydlwym oszustwie abolicyjnych klanów i ruchach na rzecz praw kobiet, na łamach „New-York Tribune” natomiast młody adept modnego wśród zwolenników progresizmu z Północy transcendentalizmu ogłaszał fundamentalne odkrycie dowodu na nieśmiertelność duszy. Artykuł kończył się cytatem z Ralpha Waldo Emersona: „Istnieją osoby, po których zawsze możemy się spodziewać czarownych świadectw. Nie rezygnujmy z czekania na nie”. Kwakrzy ze swej strony zaangażowali się masowo w ruch spirytystyczny, w opozycji do mormonów, których ambicją było wywoływanie po imieniu wszystkich dusz, jakie kiedykolwiek żyły na Ziemi od czasów Adama i Ewy.

Obecni w Corinthian Hall prawnicy oraz ludzie nauki, podejrzewając mistyfikację, zdecydowali się powołać komisję ekspertów. Motłoch, widząc w pokazie wyłącznie wielkie sprzeniewierzenie, obiecał sobie powiesić trzy siostry i ich protektorów, w razie gdyby raport przemówił na ich niekorzyść. Tak więc dziewczęta z narażeniem życia stawiały się na publicznych przesłuchaniach w Corinthian Hall. Jednak ani pierwsza, ani druga komisja nie zdołały wyłować choćby najmniejszego śladu oszustwa. Przeprowadzono wszystkie możliwe rodzaje egzaminów. Zbadano szafę i stół stetoskopem. Przyklejono filc pod nogami krzeseł. Sprawdziwszy wszystkie zakamarki ciał każdej z kobiet, unieruchomiono im ręce i nogi na czas seansu. Lekarz sądowy Brinley Simmons oplótł ich brzuchy rzemieniami, żeby uniemożliwić wszelkie próby brzuchomówstwa. Nie zdołano jednak wykryć nic podejrzanego. Eksperci ograniczyli się do stwierdzenia braku przyczyn mechanicznych w działaniu mediów. Komisja episkopatu, której przewodniczył wędrowny biskup ze Stowarzyszenia Ewangelickiego, doceniła nawet wiarę obydwu sióstr, nie wyjaśniła jednak ani nie potwierdziła fenomenu.

Po zwolennikach linczu sława trzech sióstr przyciągnęła drapiezców. Niejaki Norman Culver, daleki kuzyn po kądzieli, długo próbował skłonić je do zdradzenia mu ich tajemnicy, wreszcie oświadczył głośno wszem wobec, że Margaret wyjawiała mu tajny proceder polegający na ocieraniu o siebie kości palców u stóp. Przy odrobinie ćwiczeń, twierdził, każdy może oszukać prostaków stanowiących jarmarczną widownię. Następni w kolejce byli handlarze – jeden z nich, rodowity Irlandczyk, chciał sprzedać im za

niemałe pieniądze plan kopalni złota w Górach Skalistych, który pozostawił mu w spadku niepiśmienny ojciec. Był przekonany, iż magnetyzm mapy posłuży siostrom za kompas.

Leah wiele się nauczyła dzięki tym przeciwnościom losu; mimo że pozbawiona daru, jaki posiadały jej siostry, uważała, że gorliwość chroni ją przed meandrami szarlatanerii, która nieustannie zapładniała myśli nieudolnej konkurencji. Czyż mogła jednak się uskarżać? Pieniądze wpłacane co tydzień do banku Silvestriego owocowały. Otaczali ją i doradzali sprawdzeni przyjaciele, poczynając od oddanego Sylwestra; był wśród nich także George Willets, poczciwy olbrzym, który ocalił je przed linczem grożącym im po ogłoszeniu ekspertyzy komisji episkopalnej. Nie mogła też zapomnieć o drogiej Charlène Obo i osobliwej Wandzie Jednej, muzie wszystkich ważnych ruchów na rzecz równości. Zwolennicy i uczniowie napływali strumieniem na prywatne zebrania Spiritualist Institute: byli wśród nich entuzjasta Andrew Jackson Davis z Blooming Grove, niesamowita Anna Blackwell w duchowej żałobie po szatańskim poecie z Baltimore, handlarz tkaninami Freeman, Jonathan Koons, farmer z Ohio, który przysięgał, że wybuduje sanktuarium dla duchów, oraz dziesiątki wdów wojennych, zapłakanych matek i drżących jak liście osiki studentek teologii. Ciężko było odróżnić pacjenta od członka stowarzyszenia, pochlebcę od rywala.

Choroba matki, wyczerpanej rozlicznymi dramataми, jakie spadły na jej córki, oraz rosnąca niechęć Margaret, gotowej odpłacić kaprysem za każde poświęcenie, zaczęły się odbijać na nastroju Leah. Tymczasem sukces Fox & Fish Institute zalsnił pełnym blaskiem w dniu, w którym młodsze siostry dokonały ciekawego znaleziska. Pewnej bezczynnej niedzieli znalazły w willi przy South Avenue mały okrągły stolik na trzech nogach rozchodzących się z poprzeczki ozdobionej wzorem palmetek. Postanowiły kłaść na nim karty, jak markiza de Fortia. Ale stół był zbyt wąski i karty rozsypały się po podłodze, część wierzchem do dołu, część do góry. Margaret stwierdziła wówczas, że nie mógł to być przypadek. Kiedy uklękła, by odczytać przyszłość, jej siostra, z rękoma ułożonymi płasko na mahoniowym blacie, wezwała swojego ulubionego stukającego ducha, który najwyraźniej uznał ów nowy sposób komunikacji za bardzo praktyczny: delikatny stolik został dosłownie opętany, zaczął stukać to jedną, to drugą nogą i wirować w miejscu niczym bawarska tancerka. Odkrywszy przypadkiem owo zjawisko, które chętnie przypisałaby zwierzęcemu magnetyzmowi, Leah wyciągnęła z niego natychmiastową korzyść. Wraz

z najwierniejszymi przyjaciółmi spirytystami – tak jak i ona niemającymi żadnej wiedzy na temat antyków *mensa divinatoria* – opracowała zasady obsługi kręcących się stołów, świadomie i w zgodzie z licznymi zasadami, a także wykorzystując naukę i postęp, objawione jej za pośrednictwem duchów przez boską inteligencję.

Kiedy tylko było to możliwe, Leah szukała schronienia w swojej zacisznej przystani przy South Avenue i starała się zapomnieć o szaleńczym zamieszaniu, za które zresztą sama była odpowiedzialna, choć ciężko było jej w to uwierzyć. Czyż wola boska nie jest niezwyknięta? W takich chwilach, uwolniona od niepokoju związanego z nieustanną czujnością, marzyła o prześlizgnięciu się po powierzchni tego, co namacalne, niczym bańka mydlana po nagiej skórze.

W tiulowym negliżu, wykąpowszy się w cebrzyku napełnionym wodą z czajnika przez służącą z Wirginii, która kilka chwil kursowała między studnią w podziemiu i piecem węglowym, Leah zapaliła długą cygaretkę podarowaną jej przez Sylvestra, przyjaciela bankowca, i zaczęła wspominać drogę, jaką pokonała od czasu nędznego dzieciństwa na farmie w Rapstown. Kiedy patrzyła na światła High Falls górujące nad olbrzymim placem budowy nowego wiaduktu, którędy przejeżdżać miał wkrótce pociąg łączący Nowy Jork, Cleveland i Buffalo, wydało jej się, że traci wszelkie punkty odniesienia. Czym było teraz jej życie, całkowicie skupione na bezcielesności? W jej żyłach płynęła przecież żywa krew. To, co właśnie poczuła, porównać by można do tęsknoty za ojczyzną, lecz owym utraconym krajem było ciało, wielkie rzeki i deszcze gwiazd. Uchyliła okno i wciągnęła powietrze przesycone mgłą. Kiedy na chwilę cichł wiatr, słychać było huk wodospadów na rzece Genesee. Leah wstrząsnął długi dreszcz. Za dużo szaleństwa wplątało się w jej interes. Siostry i matka, tata Fox, który ukrył się u ich brata Davida – rodzina rozproszy się, a ona zostanie sama i jałowa wśród pozbawionych ciał istot, niczym opuszczony ogród. Na myśl przyszyły jej słowa pieśni:

Jesienny deszcz

Zanim zdmuchnie mój popiół

Czy zapłacze nad nim?

Otworzyła szerzej okno. Poły szlafroka rozwiały się na boki. Odziana tylko w łyzy na rękach, dotknęła rękoma niskich klawiszy pianina. Jej sposobem na pokonanie melancholii była jeszcze większa dawka melancholii.

VIII

Żegnaj, mamusiu

Śmierć matki nadeszła niespodziewanie, pewnej grudniowej nocy, i zaskoczyła wszystkich. Tak dobrze się miała od kilku ładnych lat, że jej depresję przyjęto za formę temperamentu, o którego niedostatki oskarżano jej kłopoty ze zdrowiem. Zaprzyjaźniony lekarz domu, Brinley Simmons, zawsze obarczony torbą z narzędziami chirurgicznymi, śledził ze spokojem ewolucję jej osłabienia, które leczył głównie rtęcią, jak syfilis.

Mamusia wyzionęła ducha, nie uskarżając się nigdy na inne dolegliwości niż nieopanowany lęk o przyszłość swoich dzieci. To najmłodsza z sióstr Fox znalazła ją martwą w łóżku w pewien mglisty poranek. Była przekonana, że śpi, taka spokojna, taka podobna do siebie, posąg idealny wiecznego snu. Kate akurat śniła o niej tej nocy i szczęśliwa, że udało jej się zachować nienaruszone wspomnienie sennego marzenia, z samego rana pobiegła jej o tym opowiedzieć. „Mamusiu, śniło mi się, że opuściły cię wszystkie cierpienia. Padał śnieg. Byłaś taka szczęśliwa, że wyruszasz w podróż sama i bez bagaży...”.

Kate napotkała zimne dłonie pod kołdrą i pochyliła się, by musnąć wargami marmurowy policzek. Następnie wróciła do swojego pokoju i czekała ponad godzinę, aż któraś się pojawi: Janet – służąca – albo Margaret. Jeszcze nieświadoma chwili, w egzaltacji, Maggie wpadła do pokoju, wołając: „Mama nie żyje!”. Kate milczała, przyglądając jej się bez słowa, oszołomiona straszliwym wrażeniem *déjà vu*. „Tak, wiem” – powiedziała wreszcie. „Skąd możesz wiedzieć?” – przestraszyła się Margaret. „Musiało mi się przyśnić” – odparła Kate cicho, jak gdyby nadal spała.

Paradoksalnie, śmierć starej matki Fox okazała się okolicznością sprzyjającą niełatwej działalności sióstr w charakterze mediów. Na urlopie z powodu żałoby nie chciały słyszeć o duchach i zaświatach więcej, niż wymagały tego okoliczności. Leah zajęła się formalnościami. Wysłała zawiadomienia do rodziny i kilku przyjaciół. Jako pierwsi dowiedzieli się świadkowie rosnącej sławy Instytutu: kilku pielgrzymujących Shakersów, baptyści, zwolennicy Williama Millera, para adwentystów oraz stary mormon zbiegły z więzienia. Pojawili się oni przy Central Avenue, aby pożegnać wystawione między czterema świecznikami zwłoki.

W dniu pogrzebu gotowa już do wyjścia Kate ukryła się w pokoju i obserwowała ruch uliczny. Karawan zaprzężony w cztery białe konie czekał na koniec ceremonii. Jej siostry oraz Janet wołały ją na pożegnalny pocałunek. Czyż nie rozumiały, że dla niej pożegnanie nie istnieje? Mamusia na zawsze zamieszka w jej snach, ale teraz nie chciała już się do niej zbliżyć, gdy ta tak nagle znalazła się po drugiej stronie muru ze szkła, który uniemożliwia zetknięcie się dłoni, powiew oddechu na powiekach i wspomnienie zapachu.

Tej nocy, gdy leżała w swoim łóżku, objawiła jej się za szybą postać. Tyłu ich było w jej snach, tych wędrowców niebytu. Samotni, przychodzili z jednego i odchodzili do innego świata, rozpoznawała ich często po pochylonej posturze i parze unoszącej się znad zbyt gładkich twarzy.

– Na co czekasz? – wołała Margaret, usiłując sforsować drzwi. – To pożegnanie! Pożegnanie!

Nieprzewidywalna Kate pobiegła bez słowa do pokoju zmarłej. Jeden z pracowników zakładu pogrzebowego zamierzał już przybić pokrywę z lakierowanego drewna, ale dziewczynka odepchnęła go dwiema rękoma, niczym boga drzwi.

– Zabraniam! – zawołała, po czym niemal położyła się w trumnie, okrywając zmarłą swoimi rozpuszczonymi włosami.

Mimo to trumnę zamknięto, a kondukt na czas dotarł na cmentarz przy Buffalo Street. Przed bramą czekały pozostałe pojazdy. Rodzina Foxów i ich bliscy na piechotę ruszyli za karawanem cisową aleją prowadzącą do kwatery. Spokojna już po ataku rozpaczony Kate szła nieuważnie za siostrami, które raz po raz rzucały jej zaniepokojone spojrzenia. Zdziwiło ją ich niezwykle podobieństwo: takie same suknie z czarnej tafty, kapelusze, nawet takie same skomplikowane koki i krucze pióra. Mimo różnicy wieku ich rysy zdawały się przekalkowane: wąskie usta i olbrzymie oczy hinduskich bóstw na twarzach szerokich na dwie dłonie. Nie umknęło jej uwagi, że Maggie na próżno opiera się wpływowi starszej siostry – ich podobieństwo stało się uderzające. Kate przyjrzała się następnie grupie ludzi, która powoli ją wyprzedzała. Jej brat David, którego właściwie nie znała, szedł ciężkim krokiem wieśniaka w towarzystwie taty Foxa, obojętnego na świat starca. Jak to możliwe, że ojciec i matka poczęli dwa różne pokolenia latorośli w odstępie dwudziestu lat? Czy rozstali się na pewnym etapie i zdążyli przeżyć własne życia? A może ukrywali hekatombę poronień i śmiertelnych chorób wieku dziecięcego?

Kondukt przemierzał wzniesienia rozległego parku usianego płytami

nagrobny, stojącymi lub leżącymi, krzyżami wykutymi w granicie, cippusami i niskimi kolumnami. Niczym miejskie wysepki na morzu trawy, po którego powierzchni dryfowały kamienie, tu i ówdzie pojawiały się niewielkie kapliczki i grobowce, a także, oddzielona kępą cyprysów, smutna kwatery grobu zbiorowego.

Kate dostrzegła zagubionych w swoich myślach bywalców ich dawnego i nowego domu: wiernych Amy i Isaaca Postów, tak wątych na skrawku żółtej trawy, George'a Willetsa o przekrzywionej na bok głowie posągu tkwiącej na kolosalnym ciele, a także państwa Jewellów i Charlene Obo z twarzą zasłoniętą woalką wyszywaną obsydianowymi perłami. Lucian Nephtali, odziany w ciemniejszy niż na co dzień strój, wspierał się na lasce zwieńczonej gałką z kości słoniowej i zdawał się śledzić ją wzrokiem osobliwie nieruchomym, rodem z malarskiego portretu. Czyżby miał zamiar ją zahipnotyzować? Lekkarz sądowy Brinley Simmons, który zanim wciągnął się w spirytyzm i okazjonalne leczenie mediów, był członkiem komisji episkopalnej, teraz przyglądał się z powagą pracy grabarza. Czy specjalista od gwałtownej śmierci, który kroił samobójców i ofiary zabójstw niczym gospodyni kurczaki, mógł mieć jakiegokolwiek wyczucie zaświatów?

Oto spuszcza ją trumnę do dołu za pomocą skórzanych pasów i sznurów holowniczych. Nad głowami grabarza, jak gdyby sam wyłaniał się z grobowca, Alexander Cruik wypowiedział kilka zdań na temat odkupienia grzechów, zmartwychwstania ciała i życia wiecznego.

– To żywych należy pocieszać – dodał pod adresem zebranych. – Niechaj przeniknie was bezpłatne zbawienie! Nie ma zapłaty za duszę. Tylko Bóg odpowiada za tych, co odchodzą...

Kate, złękiona widokiem głębokiego dołu, wycofała się ze zgromadzenia i krążyła wśród kamieni, przyglądając się epitafiom: „Tu spoczywają moje łańcuchy”, „Ani jednej łzy za grzesznika”, „Twoje Słowo jest Prawdą”. Cytat z Jana apostoła zatrzymał ją na dłużej: „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”³². Unosząc głowę, dostrzegła przed sobą, w odległości kilkudziesięciu metrów, bladą jak wosk zjawę w cylindrze, odcinającą się na tle mglistej szarości. Cóż mogła uczynić innego, jak tylko wyjść jej na spotkanie?

Lucian Nephtali również wymknął się z pochodu i stał teraz na pagórku, nachylony nad płytą z różowego granitu, na której wryto dwa nazwiska, jedno zarośnięte mchem, drugie odcinające się wyraźnie na tle kamienia.

– To panna Kate? – spytał, rozkładając energicznym gestem chusteczkę, do tej pory ukrytą w dłoni opartej na gałce laski.

– Ach... – szepnęła dziewczynka. – Przepraszam...

– Proszę podejść bliżej...

Kate uległa przekonującej intonacji jego głosu i po chwili stała już przed nagrobkiem. Odczytała dwukrotnie to samo nazwisko: Astor, Nat Astor, lecz nie zdołała rozszyfrować ostatniej sylaby drugiego, dotkniętego trądem imienia i nie bez trudu dostrzegła łączącą tych dwoje rodzinną więź: zapewne byli to syn i matka.

– To ja winien jestem przeprosiny – powiedział mężczyzna. – Wymknąłem się zbyt szybko, by przywitać się z przyjacielem.

– Tak, wiem... – wymamrotała dziewczynka.

– Wie panienka? – szepnął Lucian Nephtali z nutą rozbawionego niedowierzania. – Wie panienka, kto leży w tym grobie?

– Chciałam powiedzieć, że chodzi zapewne o jakiegoś młodego człowieka i jego mamę, która zmarła, gdy on był jeszcze dzieckiem.

– Zgadza się – przyznał Lucian bez większego zdziwienia. – Nat stracił matkę, gdy była jeszcze młodsza od panienki, zabrała ją gruźlica. Nigdy nie przestał o niej mówić. Zachował bardzo niewiele wspomnień, ale to bez znaczenia, zapomnienie rozdziela przekonania od miłości. Im mniej obarczamy się wspomnieniami, tym pełniejsza jest pamięć i tym wyraźniejsze uczucie. Przysięgał tylko na nią, matka była jego jedyną, prawdziwą pasją. Renta, jaką otrzymywał po ojcu, który wrócił do Anglii, pozwalała mu oddawać się w pełni kultowi jej świętego niebytu. Żył w beznadziejnej żałobie, rozumie panienka? Poniewierał się, pił, oddawał najgorszym ekscesom, a jednocześnie pochłaniał dzieła najlepszych amerykańskich i angielskich pisarzy współczesnych. Czytała panienka Elizabeth Browning? Nathaniela Hawthorne'a? Herman Melville też gotów nas jeszcze zaskoczyć. Tak jak zaskoczyła niezwykła Emily Brontë, której śmierć w tak młodym wieku przyjęto obojętnie, zaledwie rok przed nieszczęsnym Edgarem Allanem Poem, dotkniętym, wraz z darem jasnowidzenia, wszelkimi możliwymi przekleństwami...

Lucian Nephtali zamilkł, świadom niestosowności wygłaszania owego panegiryku na cmentarzu. W zamyśleniu wbijał czubek swojej laski w zmarzniętą ziemię.

– Jako dzieci – ciągnął już nieco weselej – Emily i jej rodzeństwo wymyślili sobie niezwykły świat, Szklane Miasto, które ozywiali na zmianę przeróżnymi opowieściami, mapami, artykułami, sztukami i poematami, tworząc swego rodzaju diaboliczną, ekspansywną fikcję, która – naprawdę – pochłaniała wszelkie możliwe środki...

Kate odniosła wrażenie, że w tej dygresji wyczuwa ironię – czyżby była to aluzja do Fox & Fish Spiritualist Institute? Jeszcze bardziej wyraźna w jej oczach była rozpacz, w jakiej stojący przed nią mężczyzna zdawał się pogrążony. Poza tym nie знаła żadnego z wymienionych przez niego autorów, czytała jednak *Głosy nocy* Longfellowa i od miesiąca śledziła poruszające felietony Harriet Beecher Stowe w „National Era”, abolicyjnym dzienniku, który pożyczała jej Wanda.

– Jak panienka myśli, co mogło być przyczyną śmierci mojego przyjaciela? – rzucił Lucian znienacka.

– Został zamordowany – odparła dziewczynka niepewnie.

– Oszałała panienka? Jak można tak mówić? – uniósł się i natychmiast opanował. – Nat Astor, mój jedyny przyjaciel, moja bratnia dusza, zabił się, trafiając kulą w samo serce na terenie posiadłości Harry’ego Maura, wiem to, bo sam tam byłem.

Kilka płatków śniegu zawiroowało nad stelami, lecz Kate, której źrenice zdrząły na widok tej mleczej pulsacji, nie ośmieliła się wyrazić swego zachwyty, jak to miała w zwyczaju każdej zimy. Lucian zauważył owo rozkoszne dziecięce poruszenie i nie zdołał opanować uśmiechu. Ta ukształtowana co dopiero kobieta była żywa i rozkojarzona niczym śnieg, wszystko wyłaniało się z jej umysłu, tętniąc, by po chwili zniknąć w nieprzeniknionej tafli. Na usta cisnęła mu się myśl Edgara Poe’go: „Ów straszliwy rodzaj trwania, któremu podlegają ludzie nerwowi, gdy zmysły ich drapieżnie żyją i czuwają, a władze rozumu drzemią i ciemnieją”³³.

– Co pan mówi? O jakich ludziach mowa?

Kate, zakłopotana, obserwowała to jego hipnotyczny uśmiech, to wirujący śnieg, który tak już zgęstniał, że zamazywał napisy na pochylonej kamiennej płycie. Odwracając się w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stała jej rodzina, ujrzała tylko białą zasłonę falującą wśród rzadkich cyprysów i ogarnęła ją trwoga na myśl, iż oto stoi tu sama z mężczyzną w woskowej masce i o przenikliwym spojrzeniu.

IX

Kandydat na medium

Na całym terenie od doliny jeziora Champlain po Wielką Równinę, od stanów górzystych po Zatokę Meksykańską i od Nowej Anglii po Main Street of America nowa doktryna, która nie była jeszcze religią, ale raczej wyznaniem wiary łączącym pobożność i aspiracje naukowe, rozprzestrzeniała się z prędkością pożaru stepu, czemu sprzyjał mesjanizm kwakrów, Adwentystów Dnia Siódmego i pionierskich mormonów, szukających na Zachodzie schronienia przed prześladowaniami. Wszyscy oni potępiali piekło, ów pogański wymysł, a w konsekwencji odrzucali też czyściec papistów i poszukiwali porozumienia z Bogiem i jego aniołami bez pośrednictwa adwokata czy sędziego. Dzięki przewidującej opiece Ducha widma mogły zaludniać dowolne przestrzenie i światy.

Możliwości, jakie dawał nowoczesny spirytyzm, szybko przekonały do niego setki tysięcy, wręcz miliony biednych i bogatych Amerykanów w owym stuleciu, które nie oszczędzało nikogo, a już najmniej dzieci w każdym wieku – te miały większą szansę zniknąć niż podzielić pewnego dnia los rodziców. Spowodowało to wysyp niezliczonych mediów, niczym żab po deszczu, owego nowego gatunku drapieżców, w tym wielu szaleńców, pastorów skłóconych ze swoją kongregacją, wędrownych aptekarzy, magnetyzerów obwozujących w bryczce cebrzyk Mesmera, kramarzy, kuglarzy, zawodowych oszustów i innych iluzjonistów. Celebrowali oni swoje występy w każdym możliwym miejscu – zapowiedziawszy uprzednio wydarzenie w prasie lub podczas cyrkowej parady – w świątyniach, w prywatnych domach, w salach kongresowych, na targach i placach. Każdy z nich obiecywał naiwnym tłumom różnorodne emocje za dolara lub sto na głowę. Komunikacja post mortem stała się rzeczą powszednią w miastach, gdzie panowała moda na wirujące stoliki. Mieszczanie spotykali się wieczorami wokół gerydonów i każdy mógł ogłosić się pośrednikiem z zaświatami, jeśli tylko zebrani nie umierali ze śmiechu.

Ośmielone aurą siostr Fox i ich najgorliwszych zwolenników, do których należały między innymi poetka Anna Blackwell, aktorka Charlène Obo, cudownie wyleczona z reumatyzmu Achsa W. Sprague czy też zagadkowa

Wanda Jedna, amerykańskie kobiety uzyskały wreszcie sposób na zabranie głosu bez ryzyka, że zostaną wygwizdane, jak feministki walczące o prawo do głosu, a nawet prześladowane i otrzymujące groźby śmierci, idące śladem nieulekłych abolicjonistek, jak Lucy Stone, Elizabeth Cady Stanton czy Susan B. Anthony, nawołujące do świętej wojny przeciwko zwolennikom niewolnictwa i samcom, drapieżcom ludzkiej rasy.

Aby modern spiritualism nie został zmonopolizowany przez szarlatanów i pozostał nietknięty kramarstwem, a zarazem mógł się trzymać z dala od kabał i nie narażać na zjadliwe ataki ze strony uniwersytetów i instytucji naukowych, lig ortodoksyjnych purytanów i postaci pokroju Ellen White, słynnej pytii zwalczającej irracjonalizm, zmyślni uczniowie sióstr Fox inicjowali zakładanie stowarzyszeń mediów, których zadaniem miało być oświecanie tłumów. W wyniku pierwszego kongresu spirytystycznego, który odbył się w Cleveland w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku, powstało wiele niezależnych organizacji finansowanych przez bogatych filantropów. Zakładano czasopisma propagandowe i wysyłano za ocean misjonarzy o poświadczonych mediumicznych zdolnościach z zadaniem podbicia Starego Świata.

Z inicjatywy Leah, która zatrudniła impresaria o nazwisku Franck Strechen, rdzennego Szkota obytego ze zjawami, siostry Fox podróżowały po metropoliach północno-wschodnich stanów: Newark, Filadelfia, Boston, Baltimore, Pittsburgh, Waszyngton, Buffalo... Często podejmowały je lokalne stowarzyszenia spirytystyczne, a ich pokazy mediumiczne odnosiły nieodmiennie sukcesy, inspirując powołania i wzbudzając emocje u konkurencji.

W Bostonie i Nowym Jorku Paschal Beverly Randolph, powróciwszy w młodym jeszcze wieku z podróży dookoła świata w charakterze samozwańczego księcia Madagaskaru, alchemika i Wielkiego Mistrza Sekty Różokrzyżowców, zdobył wielką sławę dzięki łączeniu gatunków. Egalitarysta i abolicjonista, walczący o prawa uniwersalne, w tym o wolność seksualną, założył Biuro Wyzwolonych i wypracował sobie reputację pocieszyciela biednych dzięki nakłanianiu duchów, by doradzały jak najlepiej każdemu z potrzebujących. Wykorzystywał swój potężny magnetyzm, by umożliwić pogrążonym w żałobie żonom kontakt z ich zmarłymi mężami, wywołując u dam ataki nerwowe. Publiczność zbiegała się do niego ze wszystkich środowisk i wysłuchiwała gorliwie jego pomst: „Pamiętaj, neofito, że dobro jest mocą, cisza jest siłą, wola panuje nad duszą, a miłość przyjmuje pierwiastek Wszechmocnego...”.

Nieco przez przypadek William Pill znalazł się pewnego dnia wśród jego słuchaczy, a w wyniku jeszcze większego przypadku obaj ruszyli w podróż tym samym dyliżansem i w jej trakcie się zbratali. Pill służył Paschalowi Beverly'emu Randolphowi przez kilka tygodni w charakterze ochroniarza i zdążył przez ten czas przyswoić sobie niektóre aspekty jego sztuki perswazji i kilka pięknych cytatów. „Jedyną arystokracją jest arystokracja umysłu” – to brzmiało dość prawdziwie. Niemniej jednak nie był on człowiekiem, który potrafił długo nosić obrożę, choćby i była ona z masywnego złota.

William Pill schronił się w Rochester po tym, jak przyłapano go na oszustwie w jednym z bostońskich kasyn, czego o mało nie przypłacił życiem. Jako że od czarnoskórego medium nauczył się kilku sugestywnych mechanizmów, które pozwalały osłabić ludzką wolę albo po prostu uśpić zebranych, zdecydował się obecnie na karierę wesołego nekromanty – po wielu fiaskach w dziedzinie jasnowidztwa.

Od wieczoru w Corinthian Hall to siostrom Fox przyznawał bezsprzecznie największe predyspozycje do zawodu. W ciągu kilku miesięcy udało mu się uzupełnić wiedzę na temat chińskiej mądrości i hierarchii aniołów u papistów i muzułmanów. Był już przekonany co do miłości Wielkiego Ducha, zalet postępu, działania telegrafu i gruczołu szyszynki – owej kosmicznej antenki – pozostało mu jeszcze tylko przywdziać żałobny strój posłańca z zaświatów. Dzięki wygranej w pokera skompletował sobie całkiem eleganckie wyposażenie sztukmistrza: środki dymotwórcze, system kół pasowych, maski z kartonu, gumowe gruszki, kawałki magnetytu, sztuczne ręce, jedwabne chusty, trikowe buty, a także dwa malowane stoliki z masy papierowej, miniaturowe tabliczki do pisma automatycznego oraz zapas świec uczciwie zakupionych w katolickiej świątyni.

Jego pierwszy pokaz odbył się w prywatnym salonie domu publicznego w Rochester; na widownię składały się zatrudnione w lokalu dziewczęta oraz mężczyźni z dobrego towarzystwa. Pochodząca z Sewenny madame Tripistine, szefowa interesu, podjęła go w swoim pokoju, doceniła jego obycie i umiejętność otwierania butelek zębami, a następnie zaoferowała mu posadę ochroniarza, po czym zatrzymała przy sobie w charakterze przyjaciela, twierdząc, że jest zbyt bojowo nastawiony do swej pracy. To ona zasugerowała, by rozpoczął swoją działalność na terenie burdelu. „Moim dziewczynkom spodobają się duchy – zapewniała go – każda z nich ma tyle zmartwień!”. Ustawiono więc ponad trzydzieści krzeseł w pięciu czy sześciu rzędach, gdyż sutenerzy i dzielnicowi kaidzi chcieli również wziąć

udział w widowisku, nie licząc stałej klienteli. Scena, umieszczona między dwoma parawanami, była niewiele większa niż zamek w teatrze marionetek, ale nowicjusz w świecie spirytyzmu czuł się na niej swobodnie i wykazał się niezwykłą zręcznością w wywoływaniu omdleń wśród dam. Uznawszy mechaniczne transkrypcje za nudnawe, Pill wprowadził kilka unowocześnień, pozwalając duchom przemawiać jego własnym głosem. Pewien włóczęga o zbyt dużym nosie i szerokich uszach zaczepił go w chwili, gdy sprytna dmuchawa powołała do życia zjawę z krzemianowego pyłu.

– A co pański duch sądzi o tym, co noszę pod kurtką?

William Pill, który swego czasu, gdy pracował tu jeszcze jako agent ochrony, wyrzucił owego – zapitego na umór – jegomościa z lokalu, skonfiskowawszy mu uprzednio jego broń, zapamiętał, że chodziło o kolekcjonerski okaz.

– Colt London tysiąc osiemset pięćdziesiąt jeden Navy, numerowany rewolwer... dwadzieścia siedem, trzynaście, dziewięć... Zgadza się?

– To prawda! Ale czy numer też... niech pan poczeka – rzekł mężczyzna, wyciągając broń.

Kiedy mężczyzna odczytał wszystkie cyfry w odpowiedniej kolejności, rozległy się gromkie brawa i pełne zdziwienia okrzyki. Ale dopiero po nawiązaniu łączności między madame Tripistine a jej zmarłym ojcem – obłąkanym rygorystą, który gdy córka miała kilkanaście lat, lubił co niedziela chłostać ją, półnągą, z ramionami spętanymi wokół świeżo zarżniętej świni, zmuszając do picia krwi, by wyleczyć jej płuca – William Pill uznał swą reputację medium za utwierdzoną.

Od tamtego inauguracyjnego wieczoru William Pill mnożył swoje pokazy w Rochester i okolicach. Sam rozwieszał afisze, zaprojektowane na wzór listu gończego za poszukiwaną czarnoskórą niewolnicą o przezwisku Mojżesz, obecnie abolicyjną aktywistką:

*WANTED DEAD OR ALIVE
HARRIET „MOSES” TUBMAN
For Stealing Slaves
\$ 40,000 Reward*

Zamiast określenia „żywą lub martwą” poprosił kierownika działu korekty o wpisanie „Śmierć jest żywa”, a następnie o podanie w cudzysłowie jego pseudonimu „William Mac Orpheus” i dalej „Słynne medium”.

Z początku występował byle gdzie: w schronisku dla irlandzkich

i niemieckich imigrantów prowadzonym przez katolickie siostry zakonne, które uważały, że mają do czynienia z komedianem ze zlikwidowanego teatru, gdzie sklepienie spadło na głowy aktorów podczas romantycznego widowiska, w świątyni baptystów należącej do czarnoskórej społeczności, na dworcu Underground Railroad, gdzie łowców niewolników trzymano na dystans dzięki hymnom i szyfrowanym pieśniom:

*Come follow the wind
To my father's house
We shall all live free
In my father's house*³⁴.

Osobiście zbierał datki po występach. Najbiedniejsi zrzucali się, by wypełnić jego kapelusz, najbogatsi zapraszali go czasami na kolację, z zamiarem zgłębienia jego mocy lub wiedzy. Kiedyś pewien ślepiec poprosił go o prywatne spotkanie w jego domu na obrzeżach Rochester. Jego towarzyszka, krótko ostrzyżona kobieta o wyjątkowej urodzie, odziana była w swego rodzaju uniform z surowego niebieskiego płótna, jakie zwykli nosić chińscy robotnicy pracujący przy budowie kolei. Pill, roztargniony, przyjął zaproszenie z silnym wrażeniem *déjà vu*. Bez wyraźnej przyczyny przypomniał sobie starą bajkę meksykańską, w której zazdrosny książę upija młodszego brata, by ten złamał swą obietnicę czystości, tracąc tym samym pożądaną dziewczinę. Książę nie zostanie jednak przez nią wynagrodzony, gdyż zhańbiona dziewczyna wyrwie sobie serce na ołtarzu Słońca, skazując wszystkich troje na wieczną niezgodę.

X

When to burn her diary?

Czy już o tym pisałam? To niesamowite, co nas spotyka. Mam wrażenie, że nasza gwiazda kręci się tak szybko wokół własnej osi, iż wszystkie zapisane nam przez los zdarzenia dotyczą nas w przyspieszonym tempie, te najlepsze i te najgorsze. Małżeństwo Leah z bardzo bogatym mężczyzną odmieniło nasze życie. Uległa nie Sylwestrowi Silvestriemu, zakochanemu w niej bankierowi, jak to wszystkie obstawialiśmy, ale maklerowi z Wall Street, człowiekowi z cygarem i w butach z krokodylej skóry, który zdaje się wydmuchiwać nos w pogniecione banknoty. Sprawy potoczyły się bardzo szybko po powrocie z naszego pobytu na wyspie Manhattan. Leah, Kate i ja zostałyśmy zaproszone przez Horace'a Greeleya, redaktora naczelnego „New-York Tribune”, podobno bardzo ważną osobę. W każdym razie na tyle wpływową, że umożliwiła nam trzymiesięczny pobyt w wytwornym hotelu w pobliżu Barnum Museum, przy Times Square, w sercu Midtown, w zamian za kilka publicznych seansów z wirującymi stołami. Zostałyśmy podjęte u niego, w olbrzymim apartamencie przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, z widokiem na miasto i światła portu, na samej górze dziesięciopiętrowego budynku wyposażonego w osobliwą windę parową. W dzisiejszych czasach można budować prawdziwe góry. Jak tak dalej pójdzie, duchy w niebie same będą sobie otwierać nasze okna.

Dla nas, które mieszkaliśmy niegdyś wśród krów i kur, podobny luksus ma w sobie coś bajkowego. Meble i ściany pokryte są skórą i drogocennym drewnem, w kątach stoją posągi z marmuru i brązu, mnóstwo tam złożonych zegarów, przepięknych luster, malowanych wazonów i stołów. Leah pouczyła nas: ważne, by zachowywać się z rezerwą i sprawiać wrażenie, jakby te pałace były dla nas rzeczą powszednią. Potomek biednego farmera, jak my same, samouk, ów pan Greeley, stoi obecnie na czele największego amerykańskiego dziennika, tuby Partii Wigów, jest też wydawcą H.D. Thoreau, obrońcy Ducha i wolności. A zaczynał jako praktykant w drukarni! Tak czy owak, przyjęcie, jakie wydał na naszą cześć w swojej rezydencji, było cudowne, niezapomniane, brak mi słów, by je opisać. Wyobraźcie sobie te wszystkie damy lśniące od klejnotów, tych panów w białych kołnierzykach i podszytych jedwabiem marynarkach

i krążących wśród nich niemych zonglerów, zwanych maître d'hôtel. Pan Greeley, mężczyzna o łysej czaszce i długich, siwiejących włosach na skroniach, w delikatnych okularach, które zasnuwały mu wzrok lekką mgiełką, przedstawiał nas gościom, jakbyśmy były nie lada zjawiskiem. Wśród zaproszonych znaleźli się nawet jego przeciwnicy polityczni, poczynając od straszliwego Isaiaha Ryndersa, irlandzkiego króla gangów z Tammany Hall, który – jak powiadają – miał się swego czasu bić na noże na rzece Missisipi. Ogr ten wspierał swymi żelaznymi łapami młodego prezydenta Franklina Pierce'a, podczas gdy pan Greeley, wegetarianin i przyjaciel czarnoskórych, stał po stronie nieszczęsnego kandydata wigów. A teraz oto ci dwaj stoją ramię w ramię, gdy w grę wchodzi duchy! Mary Cheney Greeley, nasza olśniewająca gospodyni, wzięła mnie na bok, gdy goście dyskutowali o dramacie pary prezydenckiej, która straciła niedawno syna Benniego w katastrofie kolejowej. „Sami pochowaliśmy pięcioro spośród naszych siedmiorga dzieci – zwierzyła mi się tamtego wieczoru. – To rzeź niewiniątek! Pozostały nam dwie córki, mniej więcej w twoim wieku, a ja już walczę o wolność dla nich. Cóż jednak dzieje się z naszymi zmarłymi dziećmi?”. Wyczytałam w spojrzeniu pani Greeley tę samą wzruszającą prośbę co u wszystkich pogrążonych w żałobie matek i żon.

Taki już los medium, pocieszanie! Ze wstydem muszę się przyznać do mojej niewydolności w tej dziedzinie. Czytając mi te słowa przez ramię, duch z pewnością by się ubawił. Ci sami ludzie, którzy wybaczą mistrzowi boksterskiemu Williamowi Thompsonowi jego porażki, chcieliby, żebyśmy my zawsze były w formie, chociaż też bezustannie przyjmujemy na siebie ciosy. Jak reagować, gdy wzburzona sala, wypełniona w połowie rwącymi się do linczu widzami, czeka na pojawienie się ducha? W Empire Club i innych lokalach zawsze robiłyśmy dobre wrażenie na publiczności, szczególnie Leah, tak elokwentna i zręczna w odwracaniu uwagi. Nasz najmniej udany pokaz miał miejsce w sali konferencyjnej w Barnum Museum. Na zaproszenie „New-York Tribune” przybyli dziennikarze, naukowcy i humaniści, zresztą dość uprzejmi. Obserwowali nas jednak – od początku do końca seansu – bez mrugnięcia okiem, niczym wytrawni gracze w pokera. Wśród widzów znaleźli się: James Fenimore Cooper, Nathaniel Parker Willis, William Cullen Bryant, pamiętam go doskonale, a także pan George Ripley. Magnat z Wall Street, niejaki pan Underhill, którego Kate przezwiała człowiekiem o złotym szkielecie, usadowił się w pierwszym rzędzie i pochłaniał Leah wzrokiem. Aby uciszyć niedowiarków, ta zadziwiła wszystkich swoimi umiejętnościami. Udało mi się zapamiętać jej

śmiałą wypowiedź: „Dusze uwolnione są od praw fizyki, które rządzą naszym światem. Medium, które służy im za antenę odbiorczą i za przekaźnik transmisyjny, potrzebuje głębokiego skupienia, by nawiązać łączność. Sceptycy i niewierni samą swoją obecnością wywołują zakłócenia, które utrudniają nam pracę...”. To było diabelnie sprytne. Sceptycy poczuli się zmuszeni do spuszczenia z tonu. Kate, po mojej prawej, pokazała język i puściła do mnie oko. W naszym sekretnym kodzie oznacza to: „Siedź spokojnie, wzywam pana Splitfoota na pomoc”. W półmroku, przełamany gdzieniegdzie blaskiem nielicznych świeczników, stolik zaczął się kołysać na boki i kręcić, trochę jak latawiec trzymany na krótkim sznurku, trochę jak obręcz, a trochę jak bączek. Oczywiście bez jakiegokolwiek wsparcia. Niedowiarki za żadne skarby nie chcą zrozumieć, że nowoczesny spirytyzm czerpie z nieznannej energii, jak to doskonale wyjaśniła Leah. Ani ja, ani Kate nie zamierzamy nikomu opowiadać, co się dzieje za kulisami całej scenerii ani co się naprawdę wydarzyło w Hydesville. Byłyśmy wtedy jeszcze dziećmi, a dzieci dziwią się, że świat mógłby istnieć bez nich. Nocą często podchodziłyśmy na palcach do drzwi naszego pokoju i otwierałyśmy je gwałtownie, żeby sprawdzić, czy czarna otchłań nie zastąpiła schodów. Dzisiaj jesteśmy już może nieco mniej naiwne, wiemy, że otchłań jest w nas, w ludzkich głowach, i że tylko dusze istnieją naprawdę. Nie mam nic przeciwko drobnym oszustwom, jeśli nikt nie odpowiada.

W Nowym Jorku spędziłyśmy niemal trzy miesiące. Kto nie zna tego miasta, ten prostak. Żyje się tam w szalonym pędzie. Wszystko jest olbrzymie i otwarte na rzekę lub morze, wszystko rezonuje, jak na parkiecie do tańca, na którym wszystkie ludy świata, łącznie z końmi, włożyłyby buty do tańca irlandzkiego. Leah wyszła tam za męża, ku wielkiej rozpaczycy pana Strechena, naszego impresaria. Kate, niczym błada księżycowa zjawka, którą wszyscy mężczyźni pragną chronić, stała się muzą ważnego redaktora, który nie wierzy w wirujące stoły ani w materializacje. Ciekawe, czy oczekuje od niej na bieżąco prorocत्व na temat pogody? Zainteresowanie dziennikarzy i bankierów spirytyzmem jest niezwykle! I pomyśleć, że gdyby nie bezsenność mojej młodszej siostry, zapewne nigdy nie odniosłybyśmy sukcesu na Broadwayu!

Razem z Kate opracowałyśmy nową metodę automatycznego pisania. Niepotrzebna nam już prostokątna tabliczka na kółkach wyposażona w ołówek, którą wprawia się w ruch czubkami palców. Kiedy tylko duch się zamanifestuje, wystarczy oddzielić piszące ramię od reszty ciała za pomocą zasłonki i pozwolić dłoni uzbrojonej w grafitowy ołówek poruszać się

dowolnie po czystej kartce. Tutaj wypróbuję teraz swoje siły:

*Stonoga po schodach
Wbiega przeskakując stopnie
Ostatni bucik na parterze
Pierwszy na moim piętrze
Ślimak w windzie
Skarży się, że ma tylko jedną nogę
Ja jedna nie mam butów
Chodzę po suficie boso
Z bosakiem i kontrabasem.*

When to burn my diary? Trzeba to uczynić, zanim trafi on w niepowołane ręce. Cóż by to był za wstyd, gdyby Leah na niego trafiła! Ale ona za bardzo zajęta jest owym Underhillem, wkrótce pewnie przestaniemy ją w ogóle widywać. Oto stała się nowojorską damą, żoną artysty wyższych sfer finansowych. Kate wywołuje ducha drobnego kolportera z Hydesville, a ja zamartwiam się samotnie w Rochester. Czy w tym okropnym kraju książęta na białych koniach mogą być tylko bogatymi mieszczuchami? Co się stało z moim drogim Lee z Rapstown, moim ukochanym o anielskiej buzi?

A teraz ta kanalia Franck Strechen, bezrobotny impresario, znęca się nade mną z braku laku. Proponuje mi samotny występ w Filadelfii. Niech będzie! Miasto kwakrów i braterskiej miłości. Żeby tylko nie straciła po drodze swej mocy!

*Jeśli macie czas mnie słuchać
Wytrzyjcie nos u nogi palcem
I wyciągajcie forszę nosem.*

XI

Śpiący i martwi

Lady Makbet i widma objęły w posiadanie scenę Eastman Theatre. Charlène Obo wczuwała się w rolę z nieposkromioną energią, wprawiając publiczność w osłupienie bliskie panice.

– „Co znaczą dziwaczne te miny?” – deklamowała. – „Boć w końcu tylkoś oczy w krzesło wlepił!”³⁵.

W bocznej łoży, oparty łokciami na balustradzie, trwał w otępieniu Lucian Nephtali. Charlène wykraczała poza granice postaci, widoczna w ponurym światłocieniu, w którym mroczne otchłanie walczyły z purpurą zmierzchu.

Smutny Makbet zdawał się drzeć bardziej z powodu wizjonerskiej determinacji swojej małżonki niż ze względu na konsekwencje ich wspólnego czynu:

– „I później nawet popełniano mordy, nazbyt okrutne dla ludzkiego ucha. Lecz dotąd, kiedy mózg wypłynął z czaszki, człowiek umierał, kończyło się wszystko. Dziś wstają trupy, chociaż ran śmiertelnych dwadzieścia noszą na skrwawionej czaszce...”.

Wkrótce wśród statystów uzurpator z malującym się na twarzy wyrazem zagubienia wyraził przerażenie na widok ducha swej ofiary, którą tylko on dostrzegał:

– „Zbliź się tylko do mnie, czy jak kudłaty niedźwiedź z Rusi lasów, hirkański tygrys, zbrojny nosorożec; bądź, czym chcesz, byle nie tym, czym cię widzę, a żaden nerw mój stalowy nie zadrgnie; lub ożyj znowu, wyzwij mnie na miecze. A jeśli w trwodze schowam się wyzwany, powiedz, że jestem dziewczyną w pieluchach! Precz, straszny cieniu! Precz, wietrzne złudzenie!”.

Zimny pot spłynął po karku Luciana. Sam w swojej łoży, drżącymi dłońmi oparty o balustradę, miał wrażenie, że twarze na parterze – wszystkie naznaczone karminową poświatą – odwracają się ostentacyjnie ku niemu. Ocierając skronie, pomyślał, że skutki popołudniowej wizyty w Golden Dream wciąż się utrzymują, zdziesięciokrotnione wyrazistymi parabolami dramaturga. Czasami zwykłe niedomaganie przybiera na sile do tego stopnia, że człowiek ma ochotę uciec przed nim choćby w ogień.

Najbliższa mu w tej chwili osoba z krwi i kości, jedyna, która mogłaby mu pomóc, znajdowała się od niego dalej niż umysł króla Szkocji! Jeszcze przez niespełną pół godziny Charlène Obo należeć będzie tylko do sceny, podobnie zresztą jak cała widownia, oszołomiona jej występem.

Ale oto piekielna para miała teraz wycofać się i zanurzyć w uśmierzających odmętach snu. Trzy czarownice nawiedzające iluzoryczne landy, perfekcyjnie ucharakteryzowane i przebrane jak na All Hallows' Eve, wysunęły się na przód sceny, by zasięgnąć rady Hekate, pani złych duchów, wśród dochodzących z oddali burzowych grzmotów.

Lucian Nephtali nie dał się rozproszyć temu intermedium, tak dalece bowiem obawiał się ponownego porwania przez sfałszowaną rzeczywistość. Sztuka toczyła się przy udziale drugoplanowych postaci. Skupił się na pogrążonej w ciemnym złocie opium publiczności i nagle dostrzegł mały płomyk wśród licznych masek – oblicze Kate Fox. Przestraszył się jej osobliwego podobieństwa do Lady Makbet, która wkraczała właśnie w transie na scenę piątego aktu, nie musząc nawet udawać ataku somnambulizmu.

– „Precz stąd, przeklęta plamo! Precz! Powtarzam... Raz dwa! A więc czas już wziąć się do dzieła. Czarne jest piekło! Wstydz się, mój mężu, wstydz się! Być żołnierzem, a trwożyć się! Czemuż się mamy lękać, że wie ktoś o tym, skoro nikt nie może zawezwać naszej potęgi do zdania liczby? Kto by jednak mógł myśleć, że starzec miał jeszcze tyle krwi w swoich żyłach...”.

Przez widownię przetoczył się szmer, kiedy po hipnotycznym wyznaniu Lady Makbet zawołała: „Do łóżka, do łóżka! Ktoś stuka do bramy!” – gdyż stało się jasne, że aktorka znalazła się pod wpływem hipnozy. Po skończonym występie snuła się nieprzytomnie przy kurtynie, podczas gdy jej towarzysze kontynuowali przedstawienie. W końcu rekwizytor ściągnął ją z widoku. Wydawało się, iż osunęła się nieprzytomna.

Dopiero gdy kurtyna była już od kilku chwil opuszczona, a przed lustrem zmywano z niej makijaż, Charlène zaczęła powoli odzyskiwać zmysły. W lustrze ujrzała odbicie uśmiechniętego, lecz spiętego Luciana Nephtali.

– Co się stało? – spytała zgaszonym głosem.

– Musisz o siebie bardziej dbać – odparł tylko.

– Nie pamiętam, żebym się kłaniała.

– Nie wzięłaś udziału w zakończeniu, ale to właśnie ciebie domagała się publiczność.

– Pójdziemy na Buffalo Street?

– Samochód na mnie czeka, a w nim Kate. Ale ty „do łóżka, do łóżka, do łóżka!”. Wracaj do domu i się połóż. Jesteś kłębkiem nerwów!

– Mowy nie ma! „Chodźmy, chodźmy, podaj mi dłoń...”.

Nazajutrz, jeszcze nie obudzwszy się w pełni, Lucian Nephtali poczuł pewność, że zabił swojego przyjaciela Nata Astora. Jego zamglony umysł pozwalał mu wierzyć, że morderstwo to nie miało wielkiego znaczenia, jeśli wziąć pod uwagę nieśmiertelność duszy. Czyż popchnięcie śmiertelnika ku wieczności uznać można za czyn obciążający? Kate i Charlène nie zdobyły żadnych konkretnych dowodów przy grobie przyjaciela: przeszkadzało im zbyt wielu bezcielesnych intruzów, nie licząc pradawnych nędzarzy i zbiegłych niewolników ze zbiorowego grobu. Legenda głosi, że każdy cmentarz ma za strażnika ducha pierwszego tam pogrzebanego. Owej nocy, podczas ceremonii, Murzyn odziany w jutowy wór wyłonił się z ciemności, kilka kroków od nagrobka Nata Astora. Jego twarz ukazała się zebrany w świetle lamp oliwnych. Twierdził, że jest dozorcą tego miejsca, na co opłacony przez nich grabarz zarechotał złośliwie. „Bardzo wątpię – rzucił. – Czarni mają swoją kwaterę!”. Ale cień sprawił, że śmiech uwiązł mu w gardle. „Niegdyś – oświadczył – za czasów Imperium Brytyjskiego, w przeddzień otwarcia nowego cmentarza dla białych podrzynano w tajemnicy gardło czerwonoskóremu lub ochrzczoneму niewolnikowi, żeby oddalić złe duchy. Tym sposobem zostałem pierwszą osobą tutaj pochowaną”.

Siedząc na sofie, na którą musiał się osunąć ubiegłej nocy, Lucian przez kilka chwil nie potrafił się zorientować, gdzie jest. Wnętrze skąpane było w niebieskawym blasku sennej nierzeczywistości. Nad lustrem zwróconym ku sufitowi wisiało niedawno wykonane zdjęcie Charlène, oprawione w okropną ramkę zdobioną cekinami. Przez chwilę Lucian wahał się, aż wreszcie rozpoznał wzór na dywanie, a także hebanowe i mahoniowe meble wokół siebie. Spokojnie włożył buty i ruszył na poszukiwanie jakiejś duszy lub ciała, po raz kolejny zaskoczony zbiorowiskiem luster i portretów – malunków, rysunków i fotografii – odbijających się w nieskończoność między jedną a drugą ścianą.

Zastał aktorkę w jej sypialni, leżącą w poprzek łóżka, w niezapiętym jedwabnym dezabilu. Uczucie, jakie go ogarnęło, nie miało w sobie nic ze zmysłowości. Usiadł na brzegu łóżka i przyglądał się jej nagim, rozrzuconym na boki piersiom i zakazanemu lasowi tajemnic między pachwiną a wzniesieniem kości łonowej. Płeć kobiety przywodziła mu na myśl pakt gorących powiek i krwawiącego serca. Czy dotknąłby jej wargami bez

niepokoję, jak ust konającego? Ostrożnie naciągnął tkaninę na biust i nachylił się nad śpiącą. Twarz ratuje ciało od potworności. Patrząc przez jej pryzmat, cielesność zyskuje duszę. Twarz to odbicie anielskiego spojrzenia. Ta, z zamkniętymi oczami, przypominała mu jego sen – maskę zanurzoną w podwodnych odmętach.

– To ty, Lucianie? – wyszeptały wargi spomiędzy dwóch światów.

– Spałaś półnaga.

– *You should have taken me as dead.* Uwielbiam kochać się przez sen.

– Śnił mi się straszny koszmar. Grabarz zaprowadził nas dwoje na mogiłę Nata. Towarzyszyła nam Kate Fox. Była noc. Ty, w świetle lampy grabarza, cały czas się śmiałaś jak szalona, a jednak bezgłośnie. Kate była zrozpaczona. Prosiła duszę Nata, żeby nam się objawiła, ale zamiast niej stanął przed nami cień, który twierdził, że jest strażnikiem dusz.

– Czy to takie straszne? To tylko żałoba. Dusza Nata wciąż jeszcze trzyma cię w niewoli.

– To ja go zabiłem.

Charlène wyprostowała się, pozwalając swoim nagim piersiom kołysać się w świetle wpadającego przez okno słońca.

– Byłam z tobą na tarasie, kiedy on strzelił do siebie w głębi parku.

– Ja też byłem w głębi parku.

– Lucianie, Lucianie... Wróciliśmy nieco odurzeni z Golden Dream. Pamiętam, że Harry Maur był wściekły, kiedy się z nami witał. Ten niedźwiedź nienawidzi miodu. Zmusił nas do wypicia swojej whisky, żeby nas przywrócić do powszedniego stanu upojenia.

– Tyle też pamiętam, Charlène. Ale w stanie, w jakim się znajdowałaś, w jakim znajdowaliście się wszyscy, mogłaś wyobrazić sobie mnie u twego boku na tarasie, gdy tymczasem ja spierałem się z Natem w głębi parku. W moim śnie Kate zawołała: „Nie, nie! Nie chcę tego słyszeć”, wbijając we mnie przerażony wzrok.

– Uspokój się, Lucianie. Gdyby wszystkie nasze sny opisywały rzeczywistość, gdzie podziałyby się duchy? To one odwiedzają nas we śnie, porozumiewają się z nami za pośrednictwem wielkich symboli i drobnych insynuacji. Nie wszystkie są przyjazne. Ludzki sen to domena duchów brodzących w naszej pamięci, a bezcielesni złoczyńcy przechadzają się tam pośród aniołów. Zresztą, na pewno pamiętasz, odwieźliśmy wczoraj Kate do domu, prawda?

– Taki mieliśmy zamiar, opuszczając teatr.

– W samochodzie mówiła o swoim przejęciu występem czarownic, tych

trzech złowróźbnych sióstr, i rzezią w Dunsinane. Powiedziała coś osobliwego, co najwyraźniej trwale cię naznaczyło: „Wszyscy, którzy umierają wokół nas, umierają z naszej winy”. Rzuciłeś jej przerażone spojrzenie, jak gdyby odgadła twoją własną myśl. Wyraźnie to widziałam w świetle pochodni berlinki, która akurat nas wtedy mijała.

Zrodzony z cienia rudy kot angora wskoczył na łóżko. Z jego lekko uchylonego pyszczka wydobywało się brzęczenie rodem z ula. Naraz wyfrunęła stamtąd tłusta mucha, którą zwierzę złapało jednym machnięciem łapy i tym razem zraniło zębem. Ogłuszony owad wirował wokół własnej osi między nogami Charlène.

– Zabierz stąd to ohydztwo! – powiedziała.

Nie bardzo wiedząc, czy kobieta zwraca się do niego, czy do kota, Lucian wziął muchę w dwa palce i zjadł, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

XII

Życie duchów

Z domu przy Central Avenue zniknęła mosiężna tabliczka Fox & Fish Spiritualist Institute, a także część umeblowania, które rozdano krewnym. Kate, która pomieszkiwała tam tymczasowo razem z Margaret – ta z kolei chwilowo odbywała tournée w Pensylwanii w towarzystwie byłego impresaria Leah – smuciła się z powodu tego nagłego rozstania ich burzliwego, zżytego towarzystwa, które utworzyło się wokół rodzinnego jądra. Uczniowie i wierni powrócili potulnie na łona swoich Kościołów lub przyłączyli się do propagandowych organizacji, kilka osób rozpoczęło własną działalność, powiększając armię mediów, jaka przemierzała Amerykę i Europę, wychodząc naprzeciw nawróconym i sympatyzującym. Tych zastępy szacowano na wiele milionów osób na całym terytorium. Wanda Jedna, jako kapłanka w służbie Washingtona, prowadziła na polu wróżbiarstwa walkę o uniwersalną emancypację. Zarówno wśród żywych, jak i umarłych nie powinna istnieć segregacja. Wielu współbiedników Leah odrzuciło, zachęconych najnowszymi teoriami, zgodnie z którymi każda dusza otrzymać może mediumiczny dar. Jeżeli każdy purytanin przy odrobinie wiedzy mógł zostać duchownym w tej czy innej sekcje Kościoła zreformowanego, tym łatwiej można było posługiwać się doktryną spirytystyczną, skoro żadna kongregacja nie ograniczała jej praktyki. Spontaniczne nawrócenia już się nie liczyły. Kręgi spirytystyczne organizowały prywatne seanse, seminaria mediumiczne i kongresy – jak Onset Bay Grove albo Lake Pleasant w Massachusetts, Wonewoc Spiritualist Camp w Wisconsin czy Lily Dale niedaleko Rochester – które gromadziły tłumy gorliwych zwolenników, przybyłych często z bardzo daleka.

Jeszcze tylko papiści stosowali ostracyzm wobec nowej wiary. Biskupi Quebecu i Paryża przeklinali falę nekromancji, która zatapiała chrzcielnice. Kongregacja Inkwizycji Rzymskiej i Powszechnej zakazała z kolei stosowania magnetyzmu i innych technik wróżbiarskich. Na mówiących stołach odbywał się handel z demonem. Poprzez trans i inwokacje przemawiał sam diabeł.

Kate nie otwierała listów zawierających anonimowe groźby śmierci, jakie przychodziły na nazwisko trzech sióstr, podobnie jak i tych

pochodzących od uczonych stowarzyszeń, mistycznych sprzysiężeń i zwykłych osób, w tym melancholików, maniaków i cierpiących na psychozę. Z całego świata napływały prośby o wróżbę na odległość – ze skrawkami tkanin, kosmykami włosów albo zdjęciami w charakterze wsparcia – a także wyrazy nadziei na otrzymanie pocztą zwrotną nowin na temat ukochanego zmarłego.

W oczekiwaniu na wieści od sióstr Kate sortowała stosy kopert i zasypiała nad nimi. Nie przyjmowała już gości, nie licząc kilkorga znajomych, pozostawiając Maggie sprawy związane z prowadzeniem domu, a Janet – sprzątanie. Jej siostra zdawała się zachwycona pobylem w Filadelfii, sądząc po jedynym liście, jaki Kate od niej otrzymała przed miesiącem; piękne pismo istoty pełnej uniesień, nachylone pod wpływem wiatru inspiracji, ubarwione zabawnymi detalami przy opisach publicznych seansów, gal, zgromadzeń progresistów i innych ważnych spotkań mówiło więcej niż sama treść korespondencji. Maggie kilkakrotnie wspomniała o osobie noszącej nazwisko Elisha Kane, lekarzu i wielkim podróżniku, z którym łączyły ją relacje tyleż szorstkie, co przyjacielskie. Pisała: „Pan Kane jest nieznośnym racjonalistą. Twierdzi, że w naszych praktykach nie ma za grosz prawdy”. A kilka wersów niżej: „Drogi pan Kane okazał się wzorowym dżentelmenem, ratując mnie przed kliką purytańskich niedowiarków”.

Tego wieczoru Kate z gorzkim uśmiechem na ustach przeczytała kilkakrotnie list od Maggie, rozmyślając o cieniach, które sunęły pod sufitem i którym nie śmiałyby się przeciwstawić, wydając służącej polecenie zapalenia wszystkich lamp. Ogarnęło ją zmęczenie, jak niegdyś w Hydesville. Godzinami włóczyła się po domu z nieodpartym wrażeniem wywłaszczenia. Nie miała jeszcze osiemnastu lat, a czuła się stara, zaniedbana od środka. Między śmiercią małego braciszka i matki przetoczyły się po niej głązy nicości, dzisiaj znęcali się nad nią zmarli, małe białe duszyczki, demony, ośmiornice zapłakane z powodu powtarzającej się tragedii, oddzielone od ciała ręce trzymające ostre sztylety żałoby. Miała dość słuchania owdowiałej części świata lamentującej nad grobem. W ciągu kilku lat jej niemądra dziecięca zabawa zachwiała fundamentami purytańskiego społeczeństwa; ale czy to z jej tylko winy większość dorosłych osób tak naprawdę nie istniała, zachowując się jak pajace przerażone własnym widokiem? Jakim sposobem dziecko żywe jak ogień mogło się zmienić w boskie straszidło? Trupie patchworki – wszyscy dorośli mieli w sobie coś z Frankensteina.

Kate włożyła swoją jedyną fantazyjną, wyszywaną w kwiaty suknię. Boso pokonała ciąg pokoi, wstrząsana w każdym z nich lekkim dreszczem trwogi. To, co czuła, nie dało się opisać po angielsku, wątpiła nawet, czy można by to wyrazić w języku enochiańskim, zwanym językiem aniołów. Przedmioty i przestrzenie emanowały falami: wydawało jej się, że czas przeżyty tutaj przez innych przesyłał jej tysiące niemych aluzji. Jakże zalety przypisać tej paroksyzmowej wrażliwości? W takich chwilach czuła się jak gąbka, bardziej unerwiona niż siatkówka oka, gotowa wypełnić się najdrobniejszymi wrażeniami. Mimo woli odczuwała głuchy ból każdej chwili, nic nie umykało jej zmysłom, żadne mrugnięcie powieki, żadne westchnienie w odpowiedzi na zdradzony sekret. Z przestawionego krzesła, ze specyficznego ruchu drobinek kurzu w promieniu światła odgadywała zamiary i przewidywała nieoczekiwane zdarzenia. Sama dziwiła się jednak swojemu brakowi kultury i swej ignorancji w sprawach życiowych, takich jak miłość czy seksualność. Samo patrzenie na ludzi uprawiających miłość i pożądających się nawzajem nie uczy niczego. Znieruchomiła – zaciekawiona – przed rzeźbionym lustrem w pustym pokoju Leah. Czy była ładna albo pociągająca, czy pewnego dnia ktoś zechce rozpiąć jej suknię? Wybiegła ze śmiechem, zakręciła się wokół własnej osi i pobiegła w stronę kolejnych drzwi. Jej brat David i kuzynostwo opróżnili pokój matki po pogrzebie, lecz na gzymsie kominka i w kątach poniewierały się drobne przedmioty bez większego znaczenia. Wystarczyły, by wywołać na obliczu dziewczyny rumieńce. Drobiazgi te należały do starszej kobiety w takim samym stopniu jak plamki na jej dłoniach i zmarszczki mimiczne na twarzy. Druty wbite w kłębek wełny, para zużytych pantofli i bandaż przeciwko żyłakom sprawiły, że wyczuła jej niewidzialną obecność. Kate zachwiała się, wstrząsana łkaniem.

– Mamusiu, gdzie jesteś? – spytała cicho.

Coś wokół niej zadrżało. Czy to noc Rochester o czerwono-czarnych mackach? Czujna, nasłuchiwała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, z rozszerzonymi źrenicami. Pantofle poruszyły się – widziała to, nie widząc jednocześnie. Prawy wysunął się przed lewy, pozwalając mu po chwili się wyprzedzić, i tak dalej, w rytmie zwykłych kroków. Długie druty wzniosły się ku górze wraz ze skrawkiem dzianiny i zaczęły się poruszać nad pantoflami, niczym szczeka skarabeusza albo kraba. Trwało to jakiś czas, zanim blask księżycy w pełni nie zwyciężył nad półmrokiem wieczoru. Następnie rozległo się stukanie, jakby ktoś zbijał pudło z desek. Kate zakręciło się w głowie, miała wrażenie, że jej nogi zrobione są z waty.

Opadła na kolana i zaczęła macać parkiet rękoma. Z dołu dobiegło ją piskliwe wołanie Janet. Gdy trochę ochłonęła, wymknęła się z sypialni i rzuciła pędem ku schodom na końcu korytarza.

Jakby przytłoczona własnym ciężarem, przypominająca rozłożonego na części pajaca, Janet zwróciła w jej stronę pozbawioną wyrazu twarz. Wreszcie podeszła do niej powoli.

– Jakiś pan chce się widzieć z panienką.

– O tej porze?

– Bywał tu za czasów pani waszej matki.

Kate podziękowała służącej, zaintrygowana osobliwym czepcem na modłę sióstr zakonnych, jaki ta przywdziała na głowę. Czekaący w holu Alexander Cruik nie próbował nawet przeproszać za najście o tak późnej porze.

– Śniła mi się pani – rzucił, zdejmując kapelusz. – Moje sny są niczym przekazy od Boga. *Departing dream, and shadowy form of midnight vision*, napisał Thoreau. Zechciałaby mi pani poświęcić kilka chwil?

Idąc za Janet, która niosła świecznik, Kate poprowadziła kaznodzieję do salonu na parterze. Zażądała ognia w kominku, światła i napojów, zakłopotana widokiem owej ponurej postaci w samym środku nocy. Jego włosy otaczające czubek głowy srebrną koroną, orli profil, niebieski błysk bezbarwnego zwykle spojrzenia i ta wychudła postura preryjnego włóczęgi sprawiały, że misjonarz przypominał nieco widmo irokeskiego Indianina z okolicy Wielkich Jezior, przebranego w skromny strój purytanina. Wygłaszane kazania nadały jego głosowi głębię, choć nadal słychać w nim było osobliwą łagodność.

– Wpadłem tylko na chwilę, proszę się nie obawiać. Chciałem się tylko upewnić...

Rzucił szybkie spojrzenie na oprawioną odbitkę zdjęcia trzech sióstr na ścianie, na którym najmłodsza i najdrobniejsza stała między starszymi siedzącymi na krzesłach. Te dwie ostatnie, mimo różnicy wieku, przypominały bliźniaczki za sprawą poważnych, identycznych fryzur i stoickiego wyrazu oczekiwania na dobijający cios ze strony cyklopa czającego się pod obszerną suknią hiszpańskiego prałata, zwanego fotografem.

– Nie zasługuje pani na samotność, moja mała Kate. Oto siedzisz zamknięta w kręgu duchów. Musisz pani stąd wyjść, zacząć się widywać z żywymi.

– Wystarcza mi Janet.

– Ta smutna kariatyda? Wątpię szczerze. Potrzebuje pani wymiany myśli, braterskiego oświecenia. Handel z zaświatami może prowadzić tylko do depresji i szaleństwa...

– Margaret wróci.

– Odkąd Leah zamieszkała w Nowym Jorku, pani siostra spragniona jest niezależności. Doszły mnie wieści, że z niejakim sukcesem występuje w Pensylwanii. Obawiam się jednak, że nie jest ona stworzona do tej roli.

Alexander Cruik nie nalegał więcej. Z troską rozszyfrowywał delikatne znaki na twarzy dziewczęcia, zamkniętego w fortecy serca, jaką jest pamięć. Jej siostry wykorzystwały do celów towarzyskich nadprzyrodzone siły, jakie ją zamieszkiwały, choć ona nie zdawała sobie z nich w pełni sprawy. Kate cierpiała na chorobę nerwową, która stawiała ją w stadium łączności z innymi wymiarami; jej nerwy zmieniały się w anteny, gdy tylko dochodziło do zbyt silnych wibracji, a energia skupiała się na nich jak na metalowych ostrzach doktora Franklina. Zamiast jednak spływać ku ziemi, elektryczne fluidy gromadziły się w jej ciele. Czy można się ochronić przed piorunem, trzymając w rękach piorunochron? Kaznodzieja miał ochotę wyrwać to rozkoszne dziewczę z grobowej ciszy jej domu i zabrać z sobą, daleko na prerię, gdzie Wielki Duch szumi swobodnie. *Hey-a-hey! Hey-a-hey!*

– Mam dla pani pasjonującą wiadomość – rzekł wreszcie przez ściśnięte gardło. – To dlatego pozwoliłem sobie na to najście. Wracam właśnie z mitingu w Nowym Jorku, dotyczącego obrony Indian amerykańskich, eksterminowanych nawet w rezerwatach w wielu stanach Unii. Podczas mojego pobytu miałem okazję przyjąć zaproszenie pani Underhill, pani siostry, i jej męża, który jest wielce wpływowym człowiekiem. Leah organizuje prywatne seanse, bardzo popularne wśród śmietanki towarzyskiej. Dane mi było porozmawiać z Horace’em Greeleyem z „New-York Tribune”. Wie pani, że człowiek ten przez wiele lat reprezentował nasz stan w Kongresie. Wiele mi na pani temat opowiedział, Kate.

– Oczywiście, znam go, był częstym gościem w okresie naszego pobytu w tym mieście, gdzie podejmował nas pan Phineas Taylor Barnum, inicjator naszych spektakli.

– Tak więc chciałby tym razem zaprosić panią osobiście. Pan Greeley uważa, iż przestępstwem byłoby porzucenie pani na pastwę kupców takich jak ów pan Barnum i pozwolenie, by pani moce mediumiczne leżały odłogiem. Wiele jeszcze przed panią nauki, Kate.

– Wie pan, czytałam Fenimore’a Coopera i Longfellowa.

– Longfellowa? Wszyscy go kochamy. Nie ma nic lepszego od *Pieśni o Hajawacie*, proszę tylko posłuchać:

*I nieszczęsny Hajawata,
Hen, daleko, pośród lasu,
Za lasami, za górami
Usłyszał ten krzyk rozpaczy,
Usłyszał głos Minnehahy
Wołający wśród ciemności:
„Hajawato! Hajawato!”³⁶.*

Kate spojrzała zaskoczona na swojego gościa i jak gdyby ktoś dyktował jej słowa, zmęczonym głosem kontynuowała:

*A potem ją pogrzebano...
W śniegu zrobiono mogiłę,
W ciemnym i głębokim lesie³⁷.*

– Sam miałem do czynienia z Odżibwejami, o których autor tak pięknie mówi – zawołał Alexander, lekko poruszony tym wspomnieniem, po czym ciągnął dalej, już ciszej: – Tymczasem dziś chodzi nie o Odżibwejów, ale o panią, droga Kate! Pan Greeley wierzy w panią, uważa, że zasługuje pani na coś więcej niż udzielanie konsultacji w ciasnym pokoju. Gotów jest wziąć pani sprawy w swoje ręce i wesprzeć finansowo, a także moralnie przez okres nauki. Czyż to nie cudowne?

– Nie rozumiem, dlaczego nie zwraca się z tym do mnie bezpośrednio?

– Człowiek na jego stanowisku jest pochłonięty przez swoje obowiązki. Szczerze mówiąc, poprosił, bym wy badał pani pogląd na tę kwestię. Jeśli zgodzi się pani co do zasady, wkrótce pan Greeley osobiście odezwie się do pani.

XIII

Podbój lodu

Życie bohatera nie jest do niczego podobne. Najbardziej nieulekły mężczyzna zachowuje serce dziecka. Margaret żałuje, że spaliła swój dziennik, a szczególnie jego ostatnie strony, na których ujęła, niczym rzadkie lub pospolite kwiaty w zielniku, pierwsze chwile ich miłości, gdy zażyłość ograniczała się jeszcze do listów i kilku szeptów wymienianych z ust do ust. Spotkała doktora Elishę Kenta Kane'a podczas uroczystej gali w Filadelfii. Świętowano zwycięstwo w wyborach okręgowych abolicyjnego demokrata Williama Biglera, choć jej samej to wydarzenie było obojętne, nie interesowały jej burzliwe debaty wybuchające raz po raz ku oburzeniu farmerów z Południa i republikańskich potentatów. Zachwycona przyjęciem, gdzie wreszcie dano jej spokój z duchami, oddawała się radosnym płasom, kiedy nagle znalazła się naprzeciw niego. Czy to było przed śmiercią mamusi? Nie pamięta już zbyt dobrze. Szare oczy nieznajomego przeniknęły wkrótce jej duszę i myśl. Nosił wówczas obfitą, kręconą, okalającą inteligentne oblicze brodę, wplątaną na skroniach w kosmyki długich włosów. Jego pełna godności uroda nadawała mu wygląd proroka. „Znamy się, panno Fox” – powiedział do niej po wymianie długiego spojrzenia. Anonimowość prysła, lecz on nie zanudzał jej opowieściami o swoim życiu zawodowym. Tańczyli, dyskretnie objęci, odczuwając możliwość przyszłego szczęścia.

Spotkała go w Filadelfii jeszcze dwa lub trzy razy. Doktor Kane, tak powściągliwy i dbający o ocenę innych, był również zuchwałym erudyta, bohaterem wojny meksykańskiej, niestrudzonym podróżnikiem, badaczem Afryki i członkiem ekspedycji do strefy arktycznej. Jego ambicje były nienasycone. Talenty, wiedza, dyplomy i sukcesy wspierane przez ładny majątek rodzinny nie zetknęły się jeszcze z promieniem chwały, który dałby mu wreszcie dowód na to, że jest wybrańcem losu. Jako kowal własnego losu, doktor Kane potajemnie cierpiał na brak wiary w siebie. Choćby i na końcu świata nie sposób uciec od wpływu bliskich; Margeret, która sama dość się nacierpiała z powodu zależności, zauważyła ją również u tego syna urzędnika, stwarzającego pozory samodzielności racjonalistycznego umysłu. Śmiały i wyrafinowany, Elisha kochał zarówno poezję i sztukę, jak

i podróże przez Himalaje albo zamrożone morze. Syreny odległych krain rzuciły na niego urok: gdy tylko ocalał z katastrofy morskiej albo stoczył walkę ze szkorbutem, już z niezrozumiałą tęsknotą marzył o wyjeździe. Po powrocie pod gwiazdzisty sztandar dopadł go purytański konformizm, którego miał okazję doświadczyć również w Londynie, w wersji wiktoriańskiej, podobnie jak chorób tropikalnych i martwicy edukacji opartej na szacunku i poważaniu.

Margaret przez długi czas nie zaznała bliskości ani intymności innej niż listowna z tym ambasadorem wiatru. Elisha wyrażał w swoich listach sentymentalność zarazem intensywną i pełną ukrywanej winy. Przepęniały go żądania wobec chwili obecnej i przyszłości; potępiał oczywiście jej działalność spirytystyczną i zachęcał do zerwania z szarlatanerią, przekonany, że zachłanna Leah wykorzystwała młodsze siostry. Miał okazję spotkać panią Underhill w Nowym Jorku i jego werdykt na jej temat był nieodwołalny.

Zbulwersowana myślą, że może być przedmiotem uwielbienia nawet pozbawiona spirytystycznego blichtru, Margaret dała się powoli przekonać. Została przedstawiona patrycjuszowskiej rodzinie z Pensylwanii, krewnym i sojusznikom bogatego dziedzica. Udało jej się odegrać rolę narzeczonej bez zarzutu. Przy ludziach nie mogła trzymać ukochanego za rękę ani muskać dłonią jego ramienia, błagał ją jednak, by w swoich listach cała mu się oddawała, by nasączała kartki swoimi perfumami albo dołączała pukiel włosów. Zakazał jej stanowczo, po wielu groźbach skierowanych do jej impresaria, brania udziału w jakichkolwiek mediumicznych pokazach. Sprowadzana do istoty bez znaczenia przez ukochanego, Margaret usiłowała się sprzeciwić. Kiedy on wygłaszał wykłady w Bostonie albo w Waszyngtonie na zaproszenie instytutów naukowych, ona na próżno starała się odzyskać swoje podejrzone moce. Brakowało jednak wokół niej naiwnej egzaltacji. Podczas nieznośnych samotnych nocy udawała się do kostnicy lub na cmentarz, gdzie wsłuchiwała się w grobową ciszę, która dźwięczy czasami osobliwie w głębi mogiły lub w otchłani pustki. Nikt jednak nie odpowiadał na jej wołanie, żaden duch, żaden wysłannik królestwa cieni, a ona nie potrafiła już nikogo zmylić, strzelając stawami. W końcu, zniechęcona i pokonana, niemal się poddała. Mogłaby recytować słowo w słowo swój list kapitulacyjny: „Zbadałam nieznaną na tyle, na ile ludzka wola jest do tego zdolna. Zwróciłam się ku śmierci, by otrzymać od niej jakiś znak, choćby symboliczny. Nigdy nic się nie wydarzyło. Byłam na cmentarzu w samym środku nocy. Usiadłam samotnie na kamieniu

nagrobny, z nadzieją, że uspięne duchy wyjdą ku mnie. Próbowałam dostrzec znak. Nie, nie, zmarli nie wrócą i nikomu nie uda się bezkarnie zejść do piekieł. Duchy nie mogą powracać. Bóg tego nie chciał”.

Zadowolony, że zgodziła się dla niego porzucić niezdrową sławę, pełen obaw jednak, czy była to decyzja dobrowolna, doktor Kane okazał jej wdzięczność w liście pełnym pobłażliwości, wysłanym z Bostonu, gdzie wygłaszał akurat cykl odczytów: „Dobrze rozumiem twoje potrzeby, nieszczęsne dziecko, czyż w gruncie rzeczy nie miałem i ja podobnych zobowiązań? W obliczu tłumów przybyłych słuchać moich opowieści o dzikiej Dalekiej Północy mam czasami wrażenie, że jestem do ciebie podobny. Mój mózg i twoje ciało mają w sobie wiele powabu i przyznaję, że różnica między nimi jest niewielka”.

Zaniepokojony o swoje przywileje, establishment religijny wszystkich prowincji, od metodystów po anglikanów, usiłował – w imię Chrystusa Zmartwychwstałego – odzyskać owieczki uwiedzione przez oszustów, a uczelnie naukowe ze swej strony karały apostatów kartezyjanizmu i metody eksperymentalnej, jaką chemik Michel-Eugène Chevreul starał się właśnie sformalizować. Ten ostatni oraz Michael Faraday energicznie odpierali wszelkie zastrzeżenia co do obiektywności doktryny spirytystycznej. Doktor Kane, który nie przebierał w środkach, byleby tylko wyzwolić raz na zawsze ukochaną kobietę, przypominał jej również artykuły wiary katolickiej oraz opisywał wachlarz kar cielesnych. Nieco dla zabawy przygotował dla niej listę grzechów śmiertelnych, na jakich popełnienie się naraża. Ostatecznie to nie argumenty nauk ścisłych, lecz groźba klątwy papistów skłoniła ją do wyparcia się swoich poglądów. To diabeł, w którego Elisha sam nie wierzył, odebrał Margaret wszelkie złudzenia – czyż nie posiadał on mocy używania wszelkich wyobraźalnych postaci? Czyli duchy, które w swej naiwności wyczuwała jeszcze niedawno, były w rzeczywistości wytworem księcia ciemności... Nie przestała wcale wątpić w to, co irracjonalne, a wiedza, jaką wpajał jej narzeczony – za pośrednictwem ciotki Susanny, której powierzono opiekę nad nią – pogłębiała tylko jej wiarę w tajemnice i niepokój dotyczący śmierci.

Żeby przypodobać się swojemu korespondentowi, Margaret przeczytała grzecznie *The Wide, Wide World* wiktoriańskiej Elizabeth Wetherell. Wspomnienia zbiegłego niewolnika Fredericka Douglassa wydały jej się nieprawdopodobne. Czy to możliwe, że odbierano – choćby i czarnego – niemowlaka rodzinie, że wieszano kolorowe kobiety głową w dół i chłostano je do krwi, a nieszczęsny Murzynek musiał oddawać swój chleb,

by nauczyć się czytać przy białych dzieciach, równie biednych, lecz uczęszczających do szkoły? Wciągnięta w lekturę, tę słodką rozmowę z niebytem, odkryła – nie bez podniecenia – przekład *Undine* Friedricha de La Motte Fouqué, historię wodnego ducha, który żeby zdobyć duszę, poślubia rycerza Huldebranda.

Przynajmniej odpoczywała od zamętu zmarłych, a cielesna egzaltacja okazała się dla niej błogosławieństwem, choćby miało się to odbić na jej wątłym intelekcie. Stoły przestały dla niej wirować, a szafy trzeszczeć. Nie miała żadnych wieści od Kate, która również trafiła w ręce nauczycieli. Sądząc po liczbie erudytów nawróconych na spirytyzm, wykształcenie nie mogło być lekarstwem na rozmiłowanie w zaświatach, ale z pewnością wystarczało, by oświecić proste umysły. Tylko Leah brała nadal udział w sympozjach i brylowała na salonach. Udało jej się utrzymać pozycję założycielskiego autorytetu nowej doktryny mimo konkurencji przybyłej z Europy: francuskiego pedagoga Hippolyte'a Léona Denizarda Rivaila – alias Allana Kardeca – który niczym misjonarz promował swoją teorię zbawienia poprzez metempsychozę wszędzie, gdzie tylko chciano go słuchać, szczególnie w Brazylii i na Filipinach. Zachęcona przez narzeczonego, którego oburzała prasa wtrącająca się do życia prywatnego, Margaret przestała czytać publikacje towarzystw mediumicznych, w których jej nazwisko tak często pojawiała się ostatnimi laty. „Nie zajmuj się światem – pisał do niej. – Nigdy nie odpowiadaj na pytania dziennikarzy. Jakże straszną rzeczą jest autopsja za życia!”. Podobnie jak to uczyniła niedawno z dziennikiem, trzy zeszyty wypełnione starannie powycinanymi z gazet i wklejonymi tam artykułami rzuciła na pastwę płomieni.

Wreszcie zadowolony z wyrzeczeń i staranności, z jaką przykładała się do nauki, doktor Elisha Kane obiecał poślubić ją po powrocie z kolejnej podróży. Sądząc po tonie, jakim złożył tę obietnicę, Margaret zrozumiała, że muszą zostać jeszcze spełnione pewne niewypowiedziane warunki: ona powinna pozostać wierna swemu zachowaniu, a jego planowana ekspedycja skończyć się pomyślnie. Ta bowiem miała być jedną z najbardziej niebezpiecznych i niepewnych operacji ratowniczych kiedykolwiek podjętych. Chodziło o wynajęcie okrętu o specjalnym kadłubie, który sforsuje polarną granicę Arktyki i odnajdzie ślad zaginionej ekspedycji sir Johna Franklina. Jako naczelnny lekarz podczas pierwszej wyprawy, sfinansowanej przez bogatego filantropa Henry'ego Grinnella, Kane postanowił objąć dowództwo nad drugą misją, biorącą początek w Nowym Jorku. Jego służba w United States Marine i w kampanii

afrykańskiej, a także misje w Chinach i Europie nie wyleczyły go z upodobania do przygód. Powołanie badacza nabierało w jego oczach pełnego znaczenia tylko wtedy, gdy w grę wchodziło zdobywanie nowych przestrzeni. Istnym kultem otaczał Szkota Davida Livingstone'a, lekarza i misjonarza, który wyruszył na poszukiwanie źródeł Nilu i raz po raz nazywał kolejnym mitycznym imieniem poszczególne regiony na mapie. Uwielbiał również swojego zmarłego towarzysza Johna Franklina, który w trakcie trzech wypraw w okolice bieguna północnego naniósł na mapę większą część północnego wybrzeża Kanady, przepłynął rzeką Mackenzie aż do Morza Beauforta, wreszcie dwoma okrętami wyposażonymi w silniki parowe i zapasy na wiele lat wyruszył na poszukiwanie kanału północno-zachodniego, po czym zgubił się wśród ławic lodowych Grenlandii i wszelki ślad po nim zaginął w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym. Czyż odkrywanie nieznannej góry z czekanem w ręce nie było bardziej podniecające niż gubienie się w domysłach na temat mglistych halucynacji dotyczących zaświatów?

Pożegnanie Elishy Kane'a w przeddzień jego wyjazdu pociągiem ekspresowym do nowojorskiego portu napemniło Margaret lękiem, jednak dzięki swej bystrości zdołała nie dać wyrazu przeczuciom, wiedząc, że ukochany dojrzy w tym jedynie symptom jej irracjonalizmu. Płynąc wzdłuż zamieszkałych wybrzeży, Elisha nie zapomniał wszakże o pisaniu długich listów, które wysyłał z każdego portu do swojej słodkiej i zdyscyplinowanej narzeczonej.

Druga ekspedycja Grinnella nie zdołała wyjaśnić losu wyprawy arktycznej Johna Franklina, ale umożliwiła skartografowanie północnego wybrzeża na szerokości geograficznej 82°2'3". Ryzykując uwięzienie wśród lodowych murów, które ledwie skruszone, natychmiast zamykały się za statkiem, niedożywieni i cierpiący na szkorbut Kane i jego załoga pokonali bohaterko Cieśninę Smitha i dotarli aż do lodów Przylądka Konstytucji, jeszcze wówczas nienazwanego. Po kilku nielicznych listach wysłanych z atlantyckiego wybrzeża Kanady Margaret niemal rok pozostała bez wieści od narzeczonego. Buntowała się przeciw swojej zabobonnej naturze, obiecując sobie zapomnieć o diable, tak jak i o duchach, jeśli Elisha wróci do niej cały i zdrowy. Cudem ocalony z lodowych szponów dzięki brytyjskiemu okrętowi wojennemu o żelaznym dziobie, eksplorator istotnie pojawił się na ojczystej ziemi z załogą niemal w komplecie.

Choć Elisha wrócił do Filadelfii w jednym kawałku, by w rozgrózkowaniu wspominać swoje tragiczne i niezwykle przygody,

które spisywał w pośpiechu, to wkrótce po ślubie zapadł poważnie na zdrowiu. Margaret, po zakończeniu próby długiego odosobnienia, mogła liczyć na wyłączne towarzystwo męża. Okazało się jednak, że prawa kobiety i żony będzie musiała dopiero sobie wywalczyć. Nie zważając na miłość, jaką darzyła męża, jego rodzina chciała ze wszystkich sił pozbawić ją obowiązków względem chorego – pod pretekstem, że brakuje jej doświadczenia i owego daru osądu, jakim ponoć obdarzona jest wyłącznie elita społeczeństwa. Gorączkę, która trawiła okresami jej towarzysza życia, Margaret spijała długimi łykami. Niczym westalka oddechu, wypatrywała najmniejszej oznaki osłabienia, a nocą czuwała przy jego rozpalonym ciele.

Gdy tylko czuł się lepiej, co następowało przed kolejnym nieuniknionym pogorszeniem zdrowia, Kane oddawał się obowiązkowi spełnionej wreszcie znakomitości, przyjmował z pewnego rodzaju gorączkowym pożądaniem wszelkie honory i dystynkcje, marząc jednocześnie o nowych podróżach. Nie zawahał się przepłynąć Atlantyku, by zdać relację ze swojej ekspedycji wdowie po sir Johnie Franklinie. Kiedy wrócił z Londynu, znów dopadła go choroba. Uległ wreszcie naleganiom swojego lekarza, który obiecywał mu zdrowie na Karaibach. Tym razem Margaret uczestniczyła w wyprawie trójmasztowca należącego do United States Navy. Przez trzy dni z rzędu więziło ją straszliwe morze, wyrzucające swoje sztuczne olbrzymy na wysokość masztów.

W Hawanie, po wyjściu na brzeg, Elisha radował się słońcem, którego promienie tylko w niewielkim stopniu zatrzymywały liście królewskich palm. Ale widok długiej kolumny skutych łańcuchami niewolników, których uzbrojeni policjanci prowadzili w stronę redy, szybko stłumił jego entuzjazm. Młode małżeństwo zdążyło zakosztować wyspiarskiego życia i przeżyło piękne chwile. Niestety, zbyt intensywne światło zaczęło powoli przygasać. Miejscowi lekarze zalecili Kane'owi bardziej umiarkowany klimat; niemniej jednak z powrotną podróżą należało wstrzymać się do czasu remisji. Choroba jednak się nasiliła.

Pewnej nocy Elisha, w wyjątkowo złej formie, zwrócił się do żony, by wyrecytować popękanymi wargami jeden z wierszy, jakie swego czasu napisał dla niej:

*Nuży! Nuży mnie życie
Te kłamstwa i tyranie.*

Margaret usłyszała tylko jęk, a rozbudziwszy się całkiem, znalazła go martwego u swojego boku.

XIV

A teraz nawiedzimy królewskie lasy

Zjeżdżając Norton Street drobnym truchtem na Jej Wysokości w stronę rzeki i jeziora, William Pill rozpoznał najmłodszą z sióstr Fox w kolasce załadowanej trzema pięknymi kuframi o połączonych okuciach i pokrytymi skórą. Natychmiast zawrócił konia i ruszył za pojazdem. Przyzwyczajona do nagabywania młoda kobieta udała obojętność.

– Nie pamięta mnie pani, panno Kate? Wydaje mi się wszakże, że okazałem się na swój sposób przydatny pewnej burzliwej nocy w Hydesville...

Kate przyjrzała się uważnie jeźdźcowi i z zaskoczeniem stwierdziła, że rozpoznaje tę piękną, roześmianą twarz pokrytą śladami po ospie.

– Nigdy nie zapomnę, że ocalił nas pan od powieszenia, nas i pannę Pearl...

– Opuszcza pani Rochester? – spytał, wskazując na bagaże.

– Za pół godziny odjeżdża pociąg do Nowego Jorku.

– A zatem życzę pomyślnych wiatrów! – powiedział. – Kto wie, może się tam kiedyś spotkamy? Podobno szczęście leży tam na ulicach.

Ściągając wodze, Pill pomyślał, że w Nowym Jorku na pewno znalazłoby się miejsce dla niejednego krętacza. Usłyszał stukot kół przejeżdżających po drewnianym moście i świst lokomotywy. Przywołanie imienia Pearl – nie potrafił się okłamywać – bardzo go poruszyło. Ta kobieta nosiła w sobie jego zbawienie i zgubę. Postanowił zapomnieć o niej raz jeszcze, po owym zaskakującym spotkaniu, które najwyraźniej tylko jego zdziwiło.

Jadąc tym razem galopem w stronę Lake Shore Boulevard, przywoływał w dwóch równoległych strumieniach wspomnień swoją karierę oszusta oraz niepojęty sukces, jaki przyniosło mu jego nowe zajęcie. W pokerze czy ruletce szczęście związane było tyleż z blefem, co z małymi fetyszystycznymi rytuałami i omijało go niemal zawsze, przez co tracił wiarę w swoją szczęśliwą gwiazdę, tymczasem przed publicznością otwartą na zjawiska nadprzyrodzone wszystkie zagrania okazywały się właściwe, a jego sakwa się napełniała. Zdarzało się, gdy iluzja sięgała zenitu, że stawał się świadkiem fenomenów nieoczekiwanych i niekontrolowanych, jak gdyby żartowanie z najbardziej naiwnych umysłów mogło mieć czasami

konsekwencje natury nadziemskiej. W dobrym tonie było twierdzenie, że przypadek nie istnieje. Media przybyłe z Europy i obdarzone wyczuciem konkurencji zapewniały, że piekła również nie ma, ból nie może być nieuleczalny, a nasze egzystencje poddane zostaną reinkarnacji. Tak więc życie obecne nastąpiło po innych, niezliczonych, i tak w kółko, a wszystko w celu odkupienia męczącej sztafety zbrodni i wykroczeń, jakie dźwigamy, odkąd opuściliśmy Eden. Wszystko po to, by w przyszłości, na koniec ciągu niezliczonych, następujących po sobie ludzkich wcieleń, które jedne po drugich obracają się w pył, stanąć idealnie nieskalanym przed obliczem Boga. Bawiły go te fantazje fałszywych pasterzy. Doprawiał je wedle własnego gustu, oferując lepsze życie à la carte: ten, kto w znoju parzy wełnę, w następnej rundzie będzie synem gubernatora, a stara, wysuszona trędowata z hospicjum odrodzi się jako księżniczka na Grenadynach albo w Norwegii. Niestety, metempsychoza nie miała wpływu na codzienność.

Już na brzegu jeziora Ontario William Pill puścił konia galopem, trzymając wodze jedną ręką, a kapelusz drugą, uszczęśliwiony widokiem tańczącej grzywy w kolorze piwa i jasnego tytoniu. Dym z cygara dołączył do nisko kładącej się mgły. Pill pomyślał, że przygoda ze ślepcem i jego przewodniczką, jaka przydarzyła mu się kilka miesięcy wcześniej, mogłaby pozostać w sferze absurdu. Długo trwał w niezrozumieniu, a zdarzenie zapisało się w nim niczym tatuaż na grubej skórze jego snów.

Pewnego wieczoru ubiegłej zimy zgodził się, jako Mac Orpheus, udać do owego osobliwego petenta w celu odprawienia prywatnego seansu za sensowną cenę. Ta sama młoda kobieta o jasnych, krótko ostrzyżonych włosach przywitała go w progu ogromnego i smutnego domostwa na przedmieściach Rochester. Półmrok, jaki panował wewnątrz, rzeźbił niewyraźne krajobrazy w blasku nielicznych świateł. Nie licząc kilku ciemnych obrazów na ścianach, ciężkich tkanin obiciowych i palisandrowych parawanów, w pomieszczeniu, do którego go wprowadzono, jedynymi meblami były okrągły stół i trzy krzesła. Stawił się z kuferkiem wędrownego kupca zawierającym niezbędne akcesoria: mówiącą tabliczkę, alfabet, kilka szalików, magnesy, karty do tarota, dwa pudełka wypełnione malowanymi szkiełkami, lampę powiększającą i swój ukochany fumigator z kapłańskim kadzidłem. Dopiero gdy zasiadł przy stole, zauważył starszego człowieka, który przycupnął w fotelu w ciemnym kącie kilka metrów od niego. Zdążył też zwrócić uwagę, że młoda kobieta pełniąca funkcję opiekunki przywdziała niezwykle twarzową, choć niemodną już suknię. Jej uroda, przytłumiona mrokiem panującym w holu,

rozkwitła teraz w świetle rzucanym przez świecę. Ponownie poczuł silne uczucie déjà vu. W tej chwili ślepiec wręczył mu fotografię. „Chodzi o tę osobę” – szepnął drżącym głosem. Była to kalotypia, wykonana metodą polegającą na chemicznym uchwyceniu światła, wynalezioną przez Talbota dwa dziesięciolecia wcześniej. Przedstawiała portret wdzięcznej niegdyś purytanki, a teraz białego cienia o wyblakłych oczach. Ślepiec na powrót zapadł się w fotelu. Opiekunka trzymała się na uboczu; oparta o ciężkie zasłony w oknie obserwowała całą scenę w bezruchu, z nieobecnym wyrazem twarzy, jak gdyby i ona pozowała dla jakiegoś fotografa, który zabronił jej mrugać oczami. Swoim zwyczajem Mac Orpheus wygłosił sztapowe objaśnienia, po czym przystąpił do realizacji zadania „techniką bezwzględnie naukową”. Ani ślepiec, ani dziewczyna najwyraźniej nie usłyszeli pierwszych stukotów, jakie wywołał, trzymając obie ręce w powietrzu. Uznał, że ponura atmosfera wypełniona dymem kadzidła sprzyja pojawianiu się widm. Zdecydował się zmaterializować za pomocą latarni i fumigatora idealną zjawę między ścianką parawanu i kątem pomieszczenia. Ruchoma kobieca postać, jaka pojawiła się na tle białego dymu, nie zrobiła żadnego wrażenia na biorącej udział w seansie widzącej osobie, która nie odezwała się ani słowem do starca. Zagniewany brakiem współpracy z jej strony, zdecydował się na uczynienie słyszalnym swojego widma z zaświatów. Udał, że skupia się na postaci przedstawionej na kalotypii, dopytawszy uprzednio, czego tak naprawdę starzec chce się dowiedzieć. Sytuacja dość szybko wymknęła mu się spod kontroli w momencie transkrypcji alfabetycznej stukotów. „Violet! Violet! – zawołał ślepiec. – Błagam cię, odpowiedz mi tym razem! Czy to był wypadek? Czy utonięcie było niezamierzone?”. Patetyczne pytanie przeszło w jęk, stary człowiek zgiał się wpół i upadł głową naprzód na skórzaną aktówkę, którą w tej samej chwili wypuścił z rąk. Druga obecna w pomieszczeniu osoba w końcu otrząsnęła się z ośpienia. Podbiegła i zaczęła odciągać targane konwulsjami ciało od stołu i oparów. „Proszę otworzyć okno!” – krzyknęła. Kiedy rozgarnął zasłony, księżyc w pełni zalał pomieszczenie metaliczną poświatą, w której drgały blaski rzucane przez świecę. Pomógł kobiecie położyć starca na sofie, rozpiąć mu kołnierzyk i pasek od spodni. Dłonie młodej kobiety kilkakrotnie musnęły jego własne. „To serce” – stwierdziła z niejaką flegmą, otaczając palcami jego nadgarstek, skrzyżowawszy uprzednio – jak należy – ręce ślepca. W owej chwili poczuł jednocześnie silny pociąg do dziewczyny, a w nozdrzach lekką woń rozkładu – nie potrafił pojąć zamętu, jaki opanował jego umysł i zmysły.

Nad jeziorem Ontario zerwał się wiatr. William Pill jechał wzdłuż doków, gdzie między magazynami i parowymi statkami cumującymi przy nadbrzeżu krzątał się pstrokaty tłum tragarzy i marynarzy. Przenoszono beczki, olbrzymie koła i belki podkładów kolejowych. Nieco dalej fregata z postawionymi żaglami szykowała się do wypłynięcia z portu. Przypomniała mu się jego burzliwa podróż przez Atlantyk i kaznodzieja od braci plymuckich, towarzysz zmarły na cholere na Grosse Isle. Została mu po nim jedynie spleśniała i nadwyreżona Biblia. W gruncie rzeczy to nie wojny czy mączniak skłoniły go do wyprawy do Ameryki, zanim to samo uczyniły tysiące wygłodniałych Irlandczyków, lecz dziecięce marzenie, by odgrodzić się wielkim oceanem od nędznego domostwa, kompanów i rodziny.

Pill odjechał w stronę Sodus Bay, spieszno mu było wrócić do swojej chaty na cyplu Briscoe, gdzie w dni świąteczne wiódł życie bliskie temu, jakie zalecał poczciwy Thoreau: między łódką a liściastym lasem. „Odczuwam przeraźliwą potrzebę bycia tym, kim jestem” – taka była jego dewiza i fatum. Mógłby z pewnością tak żyć, odziany w skóry, z pasem wokół bioder, niczym Elias Tiszbita. W końcu dusza oszusta może być prosta jak kij, który w wodzie wydaje się złamany. Wystarczyło wierzyć wytrwale w odkupienie. Wiara może doskonale obejść się bez prawdy.

Czekała na niego, siedząc na jednym z bali tworzących ogrodzenie. Jej jasne włosy opadały teraz lokami na ramiona. Czyż na którejkolwiek z przebytych dróg spotkał kiedyś kobietę, która tryskałaby większą witalnością, stworzoną po to, by usunąć z niej czarną pianę żałoby i nostalgii? Kiedy odciągnęła go z dala od ślepca, do innego pokoju, nie wiedział jeszcze, kim jest i co ją łączy z opętanym starcem. Jak tu bowiem odgadnąć, mimo męczącego go uczucia zażyłości, że pastor dotknięty ślepotą i wybiórczą amnezją na skutek wylewu krwi do mózgu oraz jego jedyna córka odgrywali na przedmieściach Rochester tragedię *Edyp w Kolonie*. Niestety, wielebny Gascoigne, udreńczony swoimi grzechami świętego człowieka, pożegnał się z życiem w ramionach Antygony, nie rozpoznawszy w niej swojej Pearl inaczej niż dzięki piorunującej intuicji w chwili zgonu.

William Pill zeskoczył z konia oszalały z radości i nie dbając o spętanie konia, pobiegł, by wziąć dziewczynę w ramiona.

– Diabelsko mi cię brakowało!

– Diabeł tu nie ma nic do rzeczy! – parsknęła Pearl.

– Ani dobry Bóg! Ani żaden z panów tego czy innego świata!

XV

Za pozwoleniem Fredericka Douglassa i Ralphi Waldo Emersona

Wierni wypełniali nowy kościół metodystyczny apostoła Jana, odbudowany nad relikwiami Wesleya Chapela. W atmosferze przesadnego napięcia, jakie panowało wówczas w Nowym Jorku, ogólne zamieszanie wywołane brakiem porządku przy wejściach oraz tłumy Murzynów z Harlemu i Bronxu pod sklepieniami wibrującymi echem nadawały wydarzeniu aurę rewolucyjnego szaleństwa. Zaproszony przez American Anti-Slavery Society Frederick Douglass zaczął wspominać swój los niewolnika i wczesne dzieciństwo na plantacjach w Marylandzie, gdzie zabraniano dzieciom uczyć się czytać i gdzie oprawcy katowali Murzynów z byle powodu. Grzmiącym głosem opowiedział o swojej ucieczce pociągiem i parowcem aż do oświeconego miasta Nowy Jork, którą umożliwili mu czarny marynarz z Baltimore i kwakrzy z Filadelfii.

Przestraszona falującym tłumem Kate słuchała go, stojąc w obejściu chóru, wśród morza ramion. Pannę Helen, swoją irlandzką damę do towarzystwa, straciła z oczu zaraz po wejściu do świątyni. Teraz, kiedy rozglądała się za nią, jej oczy otwierały się szeroko ze zdumienia na widok tego starzejącego się Murzyna o donośnym głosie. Zdarzało jej się go spotykać w Rochester, gdzie ten, którego przezywano Lwem z Anacostii, założył abolicyjne czasopismo „North Star”. Teraz jednak po raz pierwszy uczestniczyła w konfrontacji natchnionego głosu – serdecznego, nieugiętego i porywczego zarazem – z jego audytorium. W takiej chwili nawet duchy byłyby bezbronne, pozbawione mocy wobec jego siły perswazji. Domagając się wolności dla każdego ze swoich, w Ameryce, ale także dla kobiet i wszystkich ciemnionych na całym świecie, twierdził, że pewnego dnia uda mu się urzeczywistnić swoje marzenie bez przemocy, samą energią wiary. Wspomniawszy o sprawie Dreda Scotta i zamieszkach w Kansas, Douglass napiętnował stanowczo apel białego aktywisty i radykała Johna Browna nawołującego do zbrojnego powstania, pozdrawiając jednocześnie swojego niezłomnego sprzymierzeńca.

Jego bratająca homilia skończyła się owacją, kiedy po raz kolejny wygłosił on swoje credo: „Prawo nie ma płci, prawda – koloru, Bóg jest

ojcem nas wszystkich, a my jesteśmy braćmi!”.

Pchnięta w stronę wyjścia przez ciżbę Kate odczuwała nieznaną jej dotąd gotowość. Pacyfistyczny lider nie mógł paść ofiarą niepokojów, jakie wstrząsały krajem – buntów i strajków w samym Nowym Jorku. Jej dobroczyńca, pan Greeley, wyjaśnił to dokładnie: Stany Południa sprzeciwiały się kurateli państwa federalnego; groziły, że zerwą traktaty łączące je z Unią, bardziej ze względu na wpływy ekonomiczne uprzemysłowionej Północy niż na kwestię praw człowieka. Tymczasem Unia, chępiąc się konstytucją, posługiwała się nią, by zmusić do posłuszeństwa ligę bogatych właścicieli ziemskich, plantatorów sprzyjających niewolnictwu i niepiśmiennych pionierów, ryzykując zerwanie ustaleń pokojowych. A jednak ów człowiek, który uciekł przed kajdanami, zdołał udowodnić, bez przechwałek czy mistyfikacji, że możliwe jest dla niego życie w pełnym świetle dnia. Kate odczuwała chłód jego oddechu na swoich policzkach i karku, niczym podmuchy wiatru wydymającego żagle na dziobie okrętu. Życie nie ograniczało się do trwania w zamknięciu z duchami zmarłych, wśród tych wszystkich stołów, parawanów, ścian, które miała za zadanie nieustannie badać i wypytywać, by przypodobać się najbardziej nieszczęśliwym. Można na kilka godzin zapomnieć o zaświatach, o ich bliskości, o szeptach przepowiedni na rzecz niebezpiecznego, lecz i zarazem przestronnego jak sama nadzieja tu i teraz.

W okolicy John Street zagubiona w swoich myślach Kate uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, a na dodatek nie ma czym zapłacić za dorożkę. Zapatrzyła się na niebieskie fale East River i dymiące kominy parowców. Mimo porywistego wiatru uda się więc na piechotę do Sutton Place, gdzie czekano na nią z jakimś kolejnym rautem w posiadłości dyrektora „New-York Tribune”. Trudno, pójdzie, nawet jeśli pobrudzi suknię i trzewiki. Odkąd seanse publiczne, które często zmieniały się w jarmarczne widowiska, i uciążliwe konsultacje w domach bogatych neurasteników zostały jej oszczędzone, wydawało jej się, że otwiera się przed nią pełen szczegółów świat zewnętrzny, który jeszcze wczoraj przysłonięty był ponurymi symbolami, tak jak migotanie gwiazdy polarnej przyciemnia obraz niebieskiego nieba. Wreszcie zaczęła zauważać: a to obłok w kształcie figury dziobowej, a to szum liści, a to krzątanie ptaków na klonie. Wysoka ciemnowłosa kobieta, przyciskając do ust łapki futrzanego kołnierza z lisa, przeszła wzdłuż szeregowców. Kate wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć jej dramat. Uwolniła się od niego, śpiewając:

O carry me back to my home far away

*All quiet along the Potomac tonight
To my one true love, she's as fair as the day
All quiet along the Potomac tonight³⁸.*

Kiedy tylko postawiła stopę w Sutton Place, jej nazwisko rozbrzmiało na drugim końcu posiadłości. Panna Helen rzuciła się w jej kierunku, na ile pozwalały jej na to obfite kształty, z rękoma w górze.

– Gdzież się panienska podziewała?! Och, musimy szybko się przebrać. Naprawdę już pora...

Godzinę później, wciąż pod opieką panny Helen, która dyskretnie ukryła się w kredensie, Kate została podjęta przez pana Horace'a Greeleya, odzianego w surdut ze sztywnym kołnierzykiem. O ile postępująca łysina, którą kompensował olbrzymimi bokobrodami i nieskazitelnie białą brodą, podnosiła jego i tak już wysokie czoło coraz bardziej z każdym rokiem, o tyle jego uśmiech nie tracił ani trochę ze swej młodzieńczości. Kate pozwoliła mu się przytulić i uścisnąć dłonie. Od czasu upadku i śmierci taty Foxa, który z dala od swoich popadł w pijaństwo, pan Greeley stał się dla Kate wzorem ojcostwa.

– Wejdz, proszę, moja droga, mamy dziś wieczorem znamienitych gości...

W salonie znajdowało się już trzynaście lub może piętnaście osób w doskonałym humorze, damy w wieczorowych sukniach, jedna w stroju poskromicielki tygrysów, panowie o czcigodnym wyglądzie, inni – młodszy – krążący po pomieszczeniu z kieliszkami w dłoniach. Ceremonialny maître d'hôtel napełniał kieliszki prawdziwym szampanem.

– Kochani – zaczął Greeley, zwracając się do zebranych. – Chciałbym zwrócić uwagę wszystkich nieświadomych i roztargnionych na osobę panny Kate Fox, której nie powinienem nawet przedstawiać...

– A jej siostry? – spytał dandys w żabocie, oparty na lasce. – Myślałem, że to siostry syjamskie...

– A więc nie poznał pan Leah Underhill? – zakrzyknęła małżonka bostońskiego wydawcy. – Odkąd wróciła do Londynu, do mówiącego stołu zaprasza wyłącznie duchy lordów...

Jako że kilka konwersacji toczyło się jednocześnie, nie zważając na sąsiedztwo, cierpkie słowa i celne przytyki nie miały żadnych konsekwencji. Rozmawiano o Anglikach, o perwersjach i religii, o odzyskiwaniu dawnej świetności i o prawdziwości cudów.

Kate odwróciła się z uśmiechem na ustach i udała, że przygląda się obrazom – pejzażom, portretom iluminatorów z Catskill Mountain. Jej

uwagę zwrócił stojący na jednym z kominków dagerotyp w mosiężnej ramce, zabezpieczony przydymionym szkłem. Dostrzec na nim można było nieskończenie melancholiczne oblicze młodej osoby zasłonięte białą koronką. Wydawca dostrzegł pochyloną głowę Kate i nagle czymś zaniepokojony, opuścił towarzystwo.

– To Jennie, moja ukochana córka – powiedział, zbliżając się do Kate. – Zmarła na gruźlicę, podobnie jak jej trzy młodsze siostry. Miałem nadzieję, że ocali ją przekroczenie granicy szesnastego roku życia, niestety, zmarła nazajutrz po urodzinach.

– Ona nie umarła! – wyszeptała Kate bez namysłu.

Okulary starszego człowieka zasnuły się mgłą. Wreszcie wziął głęboki wdech i obrócił się powoli na piętach, po czym ruszył naprzód energicznym krokiem, z rękoma splecionymi na plecach, niczym łyżwiarz sunący po lakierowanym parkiecie.

– Och! I pan tutaj! *The poet is the sayer, the namer, and represents beauty.* Czy to nie pana słowa? A zatem na pewno znajdzie pan wspólny język z tą córą światła...

Dyrektor „New-York Tribune” odszedł ku innym gościom, a Ralph Waldo Emerson przyjrzał się z rozbawieniem osobie, która właśnie została mu przedstawiona i której nie umiał zagadnąć. A więc to była jedna z sióstr Fox, owych łagodnych wariatek zdolnych pojąć naturę martwego motyla! Wyblakłe oblicze jego syna, odebranego światu dwadzieścia lat wcześniej przez szkarlatynę, nałożyło się na twarz młodej dziewczyny. Pamięć jest chlebem powszednim naszych oczu!

Kate kręciło się w głowie z nieśmiałości, jaką odczuwała wobec uważnego spojrzenia humanisty, którego pisma czytała z ołówkiem w dłoni, posłuszna zaleceni swojego mentora. Czy naprawdę wierzył w te ledwo pojmowalne i tak poruszające słowa: „Dusza jest niczym niebiańska Wenus dla każdej innej duszy”? Czy wyobrażał sobie, że istnieje tylko jeden jedyny Duch w całym wszechświecie, którego odbicie lub ślad otrzymywała każda żyjąca istota? Przypominał wielkiego, dostojnego ptaka z tym swoim nosem dzioborożca i srebrzystymi oczami, które wpatrywały się w nią nieruchomo, dokładnie w to miejsce, gdzie jej niewinna świadomość młodej kobiety rozplątywała się nieodwołalnie.

Wokoło rozbrzmiewały głosy i śmiechy, gdy nagle pewna światowa dama przerwała ich milczące vis-à-vis.

– Panie Emerson, nasz Goethe, jak ocenia pan te wszystkie historie medium?

Kate nie dosłyszała już odpowiedzi. Para oddaliła się i zniknęła wśród zgiełku. Inne znane osobistości albo osoby za takie się podające zaczęły ją z miłym żartem, komplementem albo docinkiem, ale ona cieszyła się, że nie jest tu głównym przedmiotem uwagi, ale jedynie ciekawostką najniższego stanu dla tego eleganta z laską z kości słoniowej albo tej awanturniczki, znanej z improwizacji, a w zależności od potrzeby również jasnowidza, aktorki, kobiety interesu, trzymającej się blisko bogatego przedsiębiorcy związanego z koleją i przemysłem morskim, zwanego Komandorem. Ta ostatnia przedstawiła się szczerze Kate.

– Nazywam się Victoria Woodhull, moje nazwisko zapewne nic pani nie powie. Jestem zaszczycona, mogąc się do pani zbliżyć. Wiele kobiet w Ameryce winnych jest pani dozgonną wdzięczność. Wszystkie bierzemy z pani przykład na drodze spirytyzmu... Czyż to nie Cornelius? – dodała.

– Spójrzcie, kto wchodzi! – zawołał w tej samej chwili przedsiębiorca obejmujący ją w talii.

Salon wypełniła wrzawa. Biesiadnicy klaskali w dłonie, cisnąc się do nowo przybyłego. Kate, stojąc nieruchomo przy kominku, rozpoznała bez większego zdziwienia kędzierzawą grzywę Lwa z Anacostii. Czyż odbywający tournée aktywista taki jak Frederick Douglass mógł zakończyć dzień obrońcy mas gdzie indziej niż u najbardziej wpływowego nowojorskiego reformisty? Nastąpiła niespokojna wymiana zdań, w której powtarzały się słowa „wolność”, „prawo” i „równość”.

Kiedy Kate uznała się już za zapomnianą i rozważała powrót do kredensu, do panny Helen, pewna rozmarzona postać zagadnęła ją bezbarwnym głosem:

– Kate, czy mnie pani pamięta?

Dziewczyna zbladła, powróciwszy pamięcią do odległych czasów. Szybko się jednak opanowała, przekonana, że nie zna tego zgarbionego człowieka o zgaszonym spojrzeniu i chorobliwej cerze, który mimo to emanował istic herkulesową energią.

– Nie – wycofał się szybko – nie może mnie pani pamiętać. Jestem Charles Livermore, finansista z Nowego Jorku. Ma pani przed sobą człowieka zdesperowanego. Potrzebna mi pani pomoc. Jest pani moją ostatnią nadzieją.

Wokół Fredericka Douglassa rozległy się wivaty. Dykcja byłego niewolnika zagłuszyła zwierzenia wyszeptane przez bankiera.

– Byleby tylko czarnoskóry mógł nosić na sobie miedziane litery U.S., guziki z orzełkiem, strzelbę na ramieniu i kule w kieszeni, a żadna siła na

świecie nie zdoła wówczas zaprzeczyć, że ma prawo nazywać się obywatelem...

Kate obiecała bankierowi to, o co prosił, i wymknęła się ku schodom, ogarnięta uczuciem zagrożenia, które przerastało wszystko, czego tylko mogła się obawiać na tym świecie. To nic, to nic, powtarzała sobie, naraz przerażona myślą, że Margaret mogło się przydarzyć nieszczęście. Kiedy dotarła do kuchni, odkryła z zaskoczeniem pannę Helen na ławce, z rozstawionymi szeroko nogami i popijającą whisky z twarzą zwróconą ku olbrzymim piecom.

– Ach! Jakże jestem szczęśliwa! – zawołała Kate z odpowiednio dużej odległości, żeby jej opiekunka zdążyła doprowadzić się do porządku.

– Jakimże to szczęśliwym trafem? – wybełkotała panna Helen, zbierając fałdy spódnicy.

– Rozmawiałam z Emersonem, proszę sobie wyobrazić!

Ponieważ dzielna kobieta dała wyraz swojej ignorancji godnym milczeniem, Kate zaczęła recytować ze staranną dykcją:

*Dal i niepamięć są mi bliską jawą,
Cień w moich oczach płonie słońca zniczem,
Kto szczeżł bez wieści – bogom równy sławą;
Hańba i chwalba nie różnią się niczem³⁹.*

Część trzecia Nowy Jork

Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach.

*William Butler Yeats*⁴⁰

I

Niedawne przykrości

Wygranie wyborów prezydenckich przez Abrahama Lincolna, który obiecywał zniesienie niewolnictwa, sprawy pozostającej w zawieszeniu od czasu kompromisu w Missouri w tysiąc osiemset dwudziestym, i odłączenie się Karoliny Południowej kilka tygodni później przyspieszyły narodowy rozłam. W Nowym Jorku i Rochester obserwowano w osłupieniu eskalację zdarzeń, które zakończyć się mogły tylko ogólnym powstaniem.

Podczas bitwy nad Bull Run, w lipcu sześćdziesiątego pierwszego, nikt jeszcze nie był zaprawiony w bojach – trzy miesiące po stosunkowo niewinnym starciu w Fort Sumter – ale była to już prawdziwa wojna. Przekonany o wyższości lojalistów, a tym bardziej o skuteczności przemysłu na usługach Unii, świeżo upieczony prezydent republikański, korzystając z usług dwóch młodych telegrafistów przekazujących jego rozkazy, namawiał stanowczo nienawykły do wielkich manewrów sztab generalny do podjęcia działań.

Wszystko zaczęło się od wielkiego rozczarowania. Oddziały Jankesów pod dowództwem generała Irvina McDowella po męczącej nocnej wędrówce zajęły pozycje na oczach elity politycznej i finansowej Waszyngtonu, która rozsiadła się na ogrodowych krzesłach, by asystować zapowiadanej porażce rebeliantów. Żołnierze paradnie pomaszrowali w stronę Bull Run. Ale już starcie w Blackburn, zainicjowane przez wyższego oficera Jamesa Longstreeta, kosztowało setkę zabitych i jeszcze większą liczbę rannych. Po kilku nierozstrzygniętych potyczkach na szable generałowie konfederacji Beauregard i Johnston, weterani wojny w Meksyku, wspierani przez brygadę pułkownika Thomasa J. Jacksona pod dowództwem generała Roberta E. Lee, bardzo szybko rozgromili oddziały przeciwników. Cała bitwa rozegrała się wokół jednego wzgórza i jednego kamiennego mostu, a trwała raptem kilka godzin. Po ataku paniki, tragicznym w skutkach, siły McDowella wycofały się aż pod stolicę, na drugi brzeg rzeki Potomac, zostawiając tłum jeńców. W Executive Mansion w Waszyngtonie, która niemal wpadła w ręce wroga już podczas pierwszej prawdziwej bitwy, zrozumiano, że konflikt dopiero się zaczyna i będzie wymagał znacznych nakładów sprzętu i ludzi. Prezydencki dekret zarządzający mobilizację pół

miliona obywateli stał się przyczyną zamieszek w Nowym Jorku. Niespełna rok później ofiary liczono w dziesiątkach tysięcy po obu stronach linii frontu.

Misjonarz Alexander Cruik, który zgłosił się na ochotnika jako kaznodzieja, mimo banicji, na jaką skazana została jego kongregacja z powodu sprzyjania spirytyzmowi, każdego dnia doświadczał istnego piekła na polach bitwy i w polowych szpitalach, gdzie młodym ludziom jednemu po drugim amputowano kończyny roztrzaskane kulami muszkietów z rowkowanymi lufami, najnowszego wynalazku pewnego francuskiego rusznikarza. Podczas bitew, ryzykując, że ktoś obierze go sobie za cel, kaznodzieja włączył się niczym łowca dusz po nasączonej krwią glebie, gdzie wyli konający. Podchodził to do południowca o rozprutym brzuchu, to do rozczłonkowanego unionisty. Oszołomiony okrucieństwem rzezi, był świadkiem niepowodzeń i porażek swoich w starciach z mniej liczną armią konfederatów, którzy zaciekle bronili swojego terytorium pod arystokratycznymi oficerami. Kiedy Lincoln wznowił ofensywę, ogłosiwszy wyzwolenie niewolników jeszcze przed zwycięstwem i pomnożywszy siły swojej armii dzięki masowemu poborowi czarnoskórych i wykorzystaniu do transportu żołnierzy kolei i dróg morskich, potworne sceny na polach bitewnych znów zaczęły się powtarzać. Uzbrojony jedynie w wiarę, wnosząc tylko swoje słowo lub milczenie, Alexander Cruik nie był w stanie zrozumieć celu tej masakry. W śniegu czy błocie podarte i poplamione mundury nie pozwalały już na rozpoznanie, kto do jakiego należy obozu. Dlaczego gdy umierało dwóch chłopców, należało asystować raczej temu, a nie tamtemu?

Podczas przemieszczania się z jednej pozycji na drugą, kiedy bataliony piechoty podążały w ślad za kawalerią i wozami artyleryjskimi, pozostawiając za sobą rannych, Alexander Cruik miał wrażenie, że widzi zmarłych w ciasnych szeregach, i nieustannie słyszał ich dzikie wrzaski. Wszyscy wzywali swoje matki. Dzieci zabijały się nawzajem, myśląc, że to tylko zabawa. W Chancellorsville po czterech dniach ostrzeliwania się i walk na bagnety armia Potomacu poniosła klęskę. Cruik był wówczas świadkiem, jak banda pokonanych Jankesów zlinczowała jednego ze swoich tylko dlatego, że był czarny, a więc winien wojny. Generał Robert Edward Lee, triumfując, zapędził się ze swoją kawalerią apokalipsy aż do Pensylwanii. Zdezorientowani żołnierze piechoty niewiele wychwytywali z naprzemiennych ataków i odwrotów, jeśli nie liczyć zachrypniętych dźwięków trąbki.

Na południe od Gettysburga Alexander Cruik był świadkiem przegrupowania oddziałów Unii pod wpływem impulsu generała Granta, uczestniczył też biernie w ofensywie oddziałów konfederackich, która nastąpiła po tym, jak linie obronne przeciwnika zostały zmiecione przez artylerię. Przyglądając się czujnym postaciom w niebieskich mundurach, nie mógł się powstrzymać przed rozważaniami na temat przeżycia lub śmierci tego czy innego rekruta, który na razie mrużył oczy, wpatrując się w tajemnicę ukrytą za horyzontem, drapał się delikatnie za uchem albo uśmiechał w myślach do ukochanego oblicza – wszyscy oni tak samo stali na krawędzi przepaści.

Wkrótce żołnierzami zaczęły wstrząsać dreszcze, a z ich ust wyrywać się westchnienia na widok niezliczonych błysków tryskających z luf wroga, które bardzo szybko zalały Little Round Top. Zamiast sięgnąć po wsparcie artylerii, stojący na czele regimentu Maine pułkownik Chamberlain oraz jego odpowiednicy ze stanu Nowy Jork rzucili swoich żołnierzy do ataku na bagnety. Ukryty za czterdziestoosmio- i sześćdziesięcioczerofuntowymi móżdziejami, dogładanymi z szorstką czułością, Alexander czuł się, jakby każdym ze swoich organów uczestniczył w hekatombie, jaka rozgrywała się daleko przed nim. Ogromny łoskot niesiony zachodnim wiatrem wirował między wzgórzami, okraszony gęstymi trzaskami muszkietów i karabinów; artyleria grzmiała sporadycznie, ze swego rodzaju flegmą. Noszowi i towarzysze broni już znosili pierwszych rannych do namiotów sanitarnych. Ze swojego punktu obserwacyjnego Alexander Cruik widział przez tumany kurzu nie tylko to potworne starcie na bagnety, ale też mnóstwo innych, w których – jak okiem sięgnąć – mieszały się jeźdźcy i piechurzy. Przywołany do rzeczywistości przez pielęgniarza z zakrwawionymi rękoma, wślizgnął się do namiotu szpitala polowego, w którym unosiła się dławiąca i skręcająca wnętrzności woń chloroformu. U wezłowania śmiertelnie ранego czarnoskórego, który wzywał na pomoc Chrystusa, Cruik zaczął zaklinać nieznanne moce, by przybyły mu z pomocą. Zdziwiony w gruncie rzeczy swą agonią mężczyzna zdążył mu jeszcze wyznać, że chce, by zapisano jego imię – Ben Crosby – na skrawku papieru i przypięto mu go do wojskowej bluzy. Widząc to, ranny z sąsiedniego polowego łóżka poprosił słabym głosem o tę samą przysługę, dodając jeszcze nazwę swojej rodzinnej wioski. „Wda się gangrena – wyjaśnił – i wrzucą mnie do wspólnego grobu”. Młoda dziewczyna w kitlu, która asystowała chirurgowi przy innym łóżku, odwróciła ku niemu zaniepokojoną, niestosownie piękną twarz. Cruik uśmiechnął się do niej

z rozpaczą i czym prędzej wyszedł z namiotu.

Armaty i moździerze grzmiały teraz nieprzerwanie, zagłuszając trzask muszkietów, a tu i ówdzie widać było, bez widocznego związku z tymi strzałami, upadające grupy jeźdźców lub wzbijane w powietrze fontanny ziemi, porywające z sobą połamane pajace. Eksplozje wstrząsały wzniesieniami, a na idealnie błękitnym niebie wydierała się ogłuszona jaskółka. Alexander Cruik przypomniał sobie o tajemnej mocy spojrzenia i mowy. Uniósł głowę w stronę ptaka i zawołał, z oczami wypełnionymi łzami:

– Nie przepowiadaj! Nie można przepowiadać takich rzeczy!

Choć zdziesiątkowane bataliony unijne ustawiały się w szyku, podczas gdy rozproszony nieprzyjaciel wycofywał się chaotycznie, zostawiając za sobą nielicznych żołnierzy, którzy – najwyraźniej oszołomieni – wciąż jeszcze strzelali, niezdolni zapanować nad sobą. Pewien podoficer o płomiennych włosach i dziobatej twarzy wyskoczył tuż przed Cruikiem z wzniesionym bagnetem i przyjrzał mu się niepewnie. Reszta kompanii kroczyła za nim ze spuszczoneymi, by nie liczyć utraconych towarzyszy, głowami.

Krokiem lunatyka, mimo nawoływań sierżanta, Alexander ruszył w stronę opustoszałego pola bitwy, na które nie dotarły jeszcze służby ratownicze. Kiedy znalazł się na otwartej przestrzeni, błagając Boga o miłosierdzie, jego wysoka czarna postać, pochylona nad stertami trupów, pewnemu południowcowi, rannemu w nogi i głowę, zdała się sępem. Ostatkiem sił żołnierz zdołał unieść swój muszkiet i oddać strzał. Chwilę później wyzionął ducha. Trafiony w okolicę serca Alexander Cruik upadł na kolana, rękoma oparł się na ziemi, a twarz zwrócił ku mordercy. Pomyślał, że ten zmarły jest do niego podobny jak rodzony brat. Łkając po raz pierwszy od wczesnego dzieciństwa, pocałował ową zakrwawioną twarz.

Sierżant obserwował scenę ukryty za armatą. Otrząsnąwszy się z osłupienia, przeskoczył przez faszynę i plataninę martwych ciał i zgięty w pół skierował się ku rannemu.

– To już niepotrzebne – powiedział kaznodzieja.

– Poznaję pana! – zawołał William Pill. – Pan jest kaznodzieją czerwonoskórych, przyjacielem sióstr Fox. – Uniósł głowę rannego, by zwilżyć jego wargi alkoholem ze swojej manierki. – Będzie dobrze – powiedział. – Zaniosę pana na tyły...

– Nie trzeba, zaniósłby pan tylko trupa – zaprotestował kaznodzieja. – Ja też pana pamiętam – dodał, wspierając się na łokciu. – Kochałem

w życiu tylko jedną kobietę. Moglibyśmy razem dokonać wielkich rzeczy... Proszę posłuchać, noszę na szyi amulet, bez wartości handlowej. Proszę mi obiecać, że spróbuje go pan przekazać Kate Fox. Dostałem to w dniu, w którym Czirokezi zabili mi na moich oczach matkę. Wyruszyliśmy tego dnia, jak wielu innych, na zachód. Indianie zobaczyli mnie w głębi wozu, ale nie zrobili mi nic złego. Zanim porzucili mnie na pastwę losu z koniem i zwłokami matki, zawiązali mi wokół szyi ten amulet, nie mam pojęcia dlaczego. Nigdy się z nim nie rozstałem.

William Pill mimo wszystko zawłókł ciało kaznodziei w bezpieczne miejsce. Następnie, przy świadku, spełniając ostatnie życzenie Alexandra Cruika, wsunął do kieszeni łańcuszek z amuletem.

Na polach i wzgórzach pokaleczonych pociskami, gdzie rozprute konie gniły na słońcu, zliczono dziesiątki tysięcy żołnierzy z obydwu obozów, którzy nie zdążyli zapisać nazwisk i adresów na skrawku papieru. Wobec podobnej rzezi gubernator Pensylwanii przyznał subwencję na organizację komitetu oczyszczenia pola walki, a także na budowę cmentarza. Tymczasem zwycięstwo pod Gettysburgiem odwróciło kartę na rzecz unionistów, a sierżant William Pill, próbujący szczęścia przy każdej nadarzającej się okazji, zyskał tam galony porucznika. W ciągu kilku kolejnych miesięcy front wił się niczym wąż złapany w siatkę, przesuwał się z jednego regionu lub stanu do drugiego. Żadne zwycięstwo nie przynosiło traktatu o zawieszeniu broni, obie strony mnożyły ofiary liczone w setkach tysięcy. Dopiero w kwietniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku prezydent Lincoln mógł wreszcie wkroczyć z triumfem do Richmond, stolicy konfederatów, którą zdobył właśnie generał Grant.

Bez palca lewej ręki, oderwanego przez pocisk, z klatką piersiową pociętą ostrzem bagnetu, ocalony w cudowny sposób z pożaru wywołanego przez słynnego generała, zwolennika strategii spalonej ziemi, William Pill bez żalu pozbył się munduru. Ani jedna godzina jego życia od czasu zaciągnięcia się do armii po pierwsze miesiące konfliktu nie minęła mu bez myśli o Pearl Gascoigne. Zwycięstwo Unii liczyło się dla niego mniej niż możliwość ponownego spotkania z dziewczyną. Widział, jak umierają w boju jego towarzysze, sam też zabijał, niesiony upartą myślą: musi jeszcze zobaczyć kobietę, którą kochał nad Boga i równie mocno jak Amerykę. Tymczasem Pearl go opuściła, zdradziła go dla chimery, wymysłu, najgorszej z niedorzeczności: postanowiła być kobietą wolną, pisać książki i się spełniać.

Wysiadłszy z pociągu, Pill odnalazł swojego konia u hodowcy z hrabstwa

Monroe, któremu powierzył go trzy lata wcześniej. Zwierzę postarzało się, ale zrywało się do biegu jeszcze całkiem dobrze, tak więc zdemobilizowany porucznik galopem ruszył do Rochester, zdecydowany zapomnieć o niedawnych przeżyciach, nućąc melodię, jaką przed bojem śpiewali ochryple czarni rekruci:

Oh, Babylon's falling, falling, falling

Babylon's falling to rise no more

Oh, Babylon's falling, falling, falling

Babylon's falling to rise no more⁴¹.

II

Dobry duch Livermore

Pierwszy siwy włos się wyrywa, a potem długo nic się nie dzieje – dopiero z wiekiem pojawi się drugi.

Kate narzuciła płaszcz ze złocistego lisa i przeszła przez lśniący od rosy park ukwieconą alejką, która przecinała drogę. Idąc od pawilonu myśliwskiego zmienionego w małe biuro aż do posiadłości Livermore, nie zwróciła nawet uwagi na zapach róż i lilii, z których tak dumny był tutejszy wyrobnik, niemal czarny Jamajczyk z akcentem cockney. Charles Livermore korzystał z jego usług ze względu na zmarłą żonę. Czy istniał jakikolwiek przedmiot lub zwyczaj, którego by nie zachował ze względu na pamięć Estelle? Zamknął się w swoich wspomnieniach, a żałoba stała się dla niego wyostrzoną formą uwagi poświęconej nieboszczce. W niczym to jednak nie szkodziło jego karierze bankiera na Wall Street – interesy traktował jako sposób zabicia czasu, szansę zapomnienia, której sen już mu nie zapewniał.

Kate przyjęła propozycję wdowca w samym środku wojny, rok po śmierci Estelle. Lata nauki, jaką umożliwił jej Horace Greeley, mogłyby się jeszcze długo ciągnąć. Im więcej człowiek się uczy, tym cięższa wydaje mu się taca niewiedzy. Angaż u Livermore'a wydał jej się doskonałą okazją, by uwolnić się od osobliwej alienacji. Nie musiała też dzięki temu iść śladem nieszczęsnej Margaret, która wydziedziczona przez rodzinę zmarłego męża, wróciła do podrózowania z miasta do miasta, na każde zawołanie impresaria pozbawionego wszelkich skrupułów. Mogła też urządzić się inaczej niż Leah Underhill, która praktykowała spirytyzm jako dodatkową formę zarobku i chwały.

W uroczym zakątku wyspy Manhattan, w pobliżu którego trwały prace nad założeniem ogromnego parku z rezerwatem dzikich zwierząt, Kate zapominała o gorączce Nowego Jorku, gdzie raz po raz wybuchały miniatury wszystkich wojen świata. Jej pracodawca oraz trust ludzi interesu, którym przewodniczył pan Greeley, żywo sprzeciwiali się kaprysowi Fernanda Wooda, mera miasta, który pod pretekstem współpracy ekonomicznej ze stanami Południa zalecał Nowemu Jorkowi secesję.

Będąca niezbyt na bieżąco z zamieszaniem w świecie polityki i finansów

Kate przetrwała wojnę na swojej zielonej wysepce, zajęta tym, czego od niej oczekiwano. Każdego poranka mimo chłodu udawała się do posiadłości, podziwiając po drodze blade barwy krzewów różanych z Portland, krwistoczerwone rembrandty i karłowate róże o bliźniaczych kwiatach, noszące zabawną nazwę Pompon Perpetual. Jesienne róże były z całą pewnością najbardziej imponujące. Pan Livermore zostawiał jej o tej porze wolną rękę – wyjeżdżał bowiem w tygodniu na Wall Street – ale Kate i tak maszerowała codziennie do obszernej, dwupiętrowej budowli w stylu kolonialnym, żeby w kuchni, w towarzystwie kucharki, starej Karaibki, i czasami jamajskiego ogrodnika zjeść śniadanie składające się z herbaty i ciastka. Pozostała służba – niemiecka pokojówka, kalabryjski woźnica oraz pani McCords, służąca z wieloma obowiązkami – trzymała się od niej z daleka; jedna ze względu na przesady, pozostali z nieufności lub zazdrości. Najstarsza stażem, kucharka, opowiadała, co wiedziała, jak chciała – instynktownie i dosadnie, nie bawiąc się w analizy i niuanse, reagując niechęcią na jakiegokolwiek pytania. Kate chętnie jej słuchała, obserwując liście herbaty na dnie swojej filiżanki lub płomyki ognia lizące paszczę wielkiego żeliwnego pieca z dwoma paleniskami. Z tych chaotycznych wypowiedzi i monologów dowiedziała się znacznie więcej niż z łzawych zwierzeń wdowca.

Estelle była młodą dziewczyną z rodziny południowych arystokratów, córką plantatora z Tennessee o zdecydowanych poglądach, który miał blisko tysiąc niewolników. Dziewczyna uciekła z domu po tym, jak zmuszono ją do asystowania przy publicznym wieszaniu uciekiniera, któremu uznała za stosowne wcześniej pomóc. Przeklinając wszelką przynależność, Estelle dotarła koleją do Nowego Jorku, gdzie przygarnęła ją pani McCords, zdeklasowana krewna. Za jej to wstawiennictwem, kobiety wykształconej, pełniącej funkcję sekretarki finansisty, Estelle została mu przedstawiona. I obudziła w nim uczucie tak silne, że zreformował dla niej swe dawne poglądy i przeznaczył pokaźne sumy na walkę z niewolnictwem. Miało to miejsce kilka miesięcy przed wyborem Jeffersona Finisa Davisa na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Bitwa pod Fort Sumter nie miała jeszcze miejsca, ale wciąż nie słabło oburzenie, jakie wywołało powieszenie Johna Browna, radykalnego abolicjonisty i bohatera, który poprowadził swój prywatny oddział składający się z dziesięciu ludzi na federalny arsenał Harpers Ferry w Wirginii.

W kontekście rozluźnienia związków klanowych i rodzinnych małżeństwo Estelle i finansisty wpisało się idealnie w trwający przewrót

społeczny. Ale ani młoda żona przekraczająca zakazy, ani Charles Livermore nie przeżyli tych godzin na ziemi inaczej niż Adam i Ewa. Choć był od niej starszy o dwadzieścia lat, Estelle pozwoliła mu się kochać z rosnącym wciąż oczarowaniem. Nikt na świecie nie zdołałby okazać jej tyle czułości, serdeczności i zmysłowej uwagi. W obliczu tego słońca skarby, jakimi szafowali inni pretendenci zwabieni jej urodą, wydawały jej się blade jak księżyc. Livermore kochał Estelle miłością idealną, nieporównywalną z niczym. Wszystko, co nie było nią, nie miało dla niego znaczenia, łącznie z jego własnym życiem. Namiętność przybrała u niego formę nieomal ludożerstwa – zasypywał ją pocałunkami, musiał bez mała powstrzymywać się przed pochłonięciem małżonki. Choć człowiek interesu, zdawał się wciąż przy niej obecny; by lepiej ją wielbić, z chęcią oddałby swoją fortunę w zamian za dar wszechobecności. Mieszkańców posiadłości niepokoiła ta jego przemiana. A także to, że wesoła, ale rozmarzona Estelle wyraźnie traciła siły. Im bardziej poddawała się zachłannej miłości męża, tym mniejszy opór stawiała sezonowym infekcjom i innym chorobom. Pewnego zimowego dnia położyła się do łóżka. Lekarze zdiagnozowali u niej galopujące suchoty. Umarła bez żalu, wezwawszy do siebie cały personel posiadłości, by uroczyście oświadczyć, że żadna ludzka istota nie była tak kochana jak ona.

Livermore kazał zbudować specjalne igloo na wzniesieniu w parku i czuwał przy zmarłej dzień i noc, otulony w gronostajowy płaszcz, dopóki nie nadeszła odwilż. W tym samym miejscu zarządził wykopać grób, a na nim postawić kaplicę z białego marmuru. Po bokach ołtarza miały stanąć figury alabastrowego anioła i Jana Kalwina. Kalwin, w stroju typowym dla renesansu, miał rysy Livermore'a, a przynajmniej jego profil zwrócony ku drugiej figurze. Kate, którą Jamajczyk zaprowadził w to miejsce już w drugim dniu jej pobytu w posiadłości, przyswoiła sobie twarz Estelle, patrząc na anioła. Obraz piękna utrwalony w kamieniu wprawił ją w milczące zakłopotanie. Nic już nie docierało do niej z zewnętrznego świata. Nikomu nie przyszło do głowy, by ją poinformować o zabójstwie prezydenta Lincolna, a tym bardziej o zbrodniach organizacji byłych oficerów z Południa na terenie rodzinnego miasta Estelle. Kate odbierała nastrój miejsca z chorobliwą ostrością; nie umykał jej absolutnie żaden stan umysłu jej rozmówców. Potrafiła przeżywać męki świętego Sebastiana przy rozplatanym piorunem drzewie lub cierpieć jak święty Stefan na widok żaby ukamienowanej przez urwisa. Kate broniła się przed tą wrażliwością w osamotnieniu; zwracała się ku miejscom pozbawionym wszelkich

wpływów i ku osobom manifestującym jej zdrową obojętność, takim jak kucharka czy ogrodnik. Ten ostatni był milczący, lecz nie głuchy. Zwracał dużą uwagę na jej pragnienia i – być może – myśli, starał się, by nie czuła się obco w tym miejscu poświęconym kultowi zmarłej.

Ze swej strony Charles Livermore rozdziwił się na poziomie mentalnym. Finansista z Wall Street, którego operacje ekonomiczne w żaden sposób nie ucierpiały, popadał w głęboką melancholię tuż po powrocie do domu i gotów był spróbować wszelkich czarów, byle tylko otrzeć się o złudzenie życia wiecznego. Zagubionemu w kabałach wdowcowi spotkanie Kate Fox rok po śmierci Estelle wydało się dobrym znakiem. Ta młoda kobieta spojrzała na niego zza kurtyny zaświatów. Wcześniej na próżno obiegał media w Nowym Jorku, Bostonie i Rochester: wszędzie zdradzał prozaizm, a nawet wulgarność duszy, niespójne z jego wymaganiami. Łatwo rozpoznawalni szarlatani chełpili się swymi mediumicznymi i magnetycznymi zdolnościami. Szybko się zorientował, że prawdziwe media są tylko biernymi pośrednikami, zwykłymi pasami transmisyjnymi; byli wśród nich pomywacze zwłok i nieokrziesani pasterze – im pewnie łatwiej przychodziło unicestwienie w sobie świadomości i woli. On jednak nie potrafił nawiązać kontaktu z zaświatami za pośrednictwem osoby nieźrównoważonej, urwisa czy przygłupa w ekstazie. Kate natychmiast ujęła go sposobem bycia, dziecięcą prostotą i wdziękiem; bardzo przypominała mu Estelle. Livermore był świadom swojego stanu, lecz melancholia stanowiła dla niego schronienie; nie dbał o to, że w zakładach dla umysłowo chorych więcej było dziś spirytystów niż syfilityków.

Przez całe lata dwa lub trzy razy w tygodniu w pokoju, w którym Estelle wyzionęła ducha, odbywały się seanse przy zamkniętych drzwiach i oknach. Pogrążona w transie Kate siedziała przy stoliku przed swoim pracodawcą, dysponując pełną swobodą wyboru zwyczajowych procedur, pisanie ręką czy za pośrednictwem mówiącej tabliczki. Podczas czterdziestego trzeciego seansu Livermore dostrzegł aureolę między łóżkiem z baldachimem a lustrem na szafie, w którym odbijał się nieruchomy płomień pojedynczej świecy. Kiedy dały się słyszeć pierwsze postukiwania, przestał wątpić w powodzenie doświadczenia, lecz żeby mieć całkowitą pewność, podjął wobec Kate Fox dodatkowe środki ostrożności i kontroli: związał jej nadgarstki i sam przytrzymał nagie stopy dłońmi. Jako że stukanie nie ucichło, Charles Livermore oszalał niemal z radości i postanowił do swojej pewności dołączyć jeszcze dowody. Zapraszał wiarygodnych świadków, znakomitości takie jak profesor Mapes z Akademii Narodowej czy

prawoznawca Edmonds, którzy stanęli w końcu, podobnie jak swego czasu zmarły już Robert Hare z uniwersytetu w Pensylwanii, pod sztandarem sióstr Fox, choć w jeszcze nie tak odległej przeszłości działali w trybunale inkwizycyjnym prześladującym nową herezję. Profesor Mapes potrafił zdemaskować wszelkie sztuczki iluzjonistów i innych fałszerzy. Kate Fox była jednym z niezwykle rzadkich mediów wywołujących efekty fizyczne, której nigdy nie udało się przyłapać na oszustwie. Energia ujawniająca się w jej obecności nie mogła nim być, chyba że całe domostwo stanowiło chytrze urządzoną scenerię jej przedstawienia. Przekonany i ufny po tylu próbach i weryfikacjach – każda dłoń osobno w szklanym akwariu, oddzielające je blaszki cynkowe, dźwignie na wadze z ruchomą wskazówką mierzące działające siły – Livermore poprosił Kate, by wstawiła się za nim u ducha Benjaminą Franklina, którego czcił od najmłodszych lat. Gdyby jeden z założycieli Stanów Zjednoczonych zgodził się pojawić w towarzystwie Estelle, byłoby to dla niego najwyższym potwierdzeniem, bardziej wiarygodnym niż wszelkie możliwe dowody materialne. Estelle nieustannie pisała lewą ręką Kate, trzymającą grafitowy ołówek, a jej styl i charakter pisma tak doskonale opisywały szczegóły jej dawnego życia, że Livermore poczuł się wkrótce niemal w pełni pocieszony. Fakt, że tymczasowo zakochał się w Kate, za której pośrednictwem objawiała mu się Estelle, w niczym nie umniejszył jego namiętności do marmurowego anioła. Materializacje następowały po sobie coraz częściej, a słabowita Kate, przepełniona nieustannie monstrualną energią, rozpadała się powoli niczym słomiana kukła.

Podczas trzysta osiemdziesiątej ósmej sesji Estelle oznajmiła, że ta jest ostatnia, że nadeszła dla niej godzina wyzwolenia. Na koniec seansu Kate musiała stracić przytomność, obudziła się bowiem w koszuli nocnej, w swoim pokoju w pawilonie, o świcie nowego dnia. Spostrzegła, że rozebrano ją wcześniej do naga.

Charles Livermore, który znów był już tym samym, szanującym się mężczyzną, pozostawił jej wybór między życiem pełnym rozrywek i nauki u jego boku a wolnością. Wiedząc, że jego zdrowie fizyczne i psychiczne trzyma się na cienkiej nitce, Kate pożegnała go z żalem, po czym udała się po raz ostatni do anielskiej kaplicy. W geście podziękowania, chcąc wesprzeć rozwój spirytyzmu, finansista z Wall Street opłacił jej pobyt w Anglii oraz środki na kontynuowanie przez jakiś czas przez nią badań. W długim, przepełnionym pochwałami liście polecił Kate Fox swojemu korespondentowi, Benjaminowi Colemanowi, masonowi i gorliwemu

zwolennikowi spirytyzmu opisanego przez wielce drobiazgowego Allana Kardeca, autora *Księgi duchów*.

Siedząc w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na park, bankier przeczytał raz jeszcze swój list, z owym dystansem, jaki zawsze odczuwa się w obliczu przelanego na papier długo skrywanego sekretu.

„Panna Fox jest bez wątpienia najcudowniejszym żyjącym medium. Nie sposób wyrazić, jak wiele mi ofiarowała w ciągu tych godnych pożałowania lat żałoby i jak dalece czuję się jej dłużnikiem. Powierzam więc ją tobie, mój wierny towarzyszu. Zależy mi przede wszystkim na tym, by otoczono ją opieką tak długo, jak pozostanie z dala od swojej rodziny. W wieku lat trzydziestu pięciu Kate posiada serce i spontaniczność dziecka; odczuwa tak głęboko nastroje właściwe każdej istocie, iż zdarza jej się być przesadnie nerwową lub kapryśną. Wierzę, że szybko przekonasz się o jej naturalnym geniuszu i oswoisz ją. To od twojego szacunku i zaufania zależeć będzie jej niezwykła wrażliwość na inne wymiary...”

W chwili, gdy miał już zakleić kopertę, Livermore dostrzegł na dole, przy wyjściu z kaplicy, sylwetkę Kate zmierzającą w stronę wysokich drzew parku i poczuł – nie próbując tego nawet zrozumieć – żywe ukłucie w sercu.

III

Zielona wróżka i zabójca

Śnieg leniwymi falami zasypywał jezdnię Floss Avenue. Margaret zatrzymała się w tłumie przechodniów przed witryną sklepu J&M Nicols, gdzie właśnie ustawiono przerażające manekiny o ludzkich twarzach, ubrane w gotowe stroje. Przypomniały jej się materializacje rzekomego medium, Williama Mac Orpheusa, występującego w Barnum's Great Circus Museum and Menagerie, który rozbił właśnie na kilka dni swój cyrkowy namiot w Rochester, a także jej własne posępne seanse, podczas których usiłowała przywrócić głos zmarłej zabalsamowanej witriolem i solą potasową.

Otuliwszy się kołnierzem płaszcz, ruszyła dalej, trzymając się jak najbliżej fasad budynków, by uniknąć ochlapania błotem przez wozy i dylizanse. Powrót do Rochester w samym środku zimy okazał się dla niej katastrofą. W młodości przeżyła w tym mieście prawdziwą bajkę, wraz z Kate poznała tu smak sławy, otoczona opieką starszej siostry. Majątek, choć zarządzały nim osoby trzecie, sprawiał, że wszystko wydawało jej się proste i słuszne. Czyż to nie pan Splitfoot zachęcił je do podróżowania z miasta do miasta i głoszenia dobrej nowiny? Duchy lubiły stylowe meble, wysokie sufity i ciężkie kotary. W dawnym domu przy Central Avenue Margaret przez długi czas wierzyła w te historie o kontaktach z zaświatami. Zresztą stoły naprawdę wirowały. A niektóre zjawiska powtarzały się jeszcze od czasu do czasu, kiedy zapominała o swoich porażkach i zniechęceniu. Ale jakaś część jej samej spaliła się w ogniu mijających lat. Siły witalne wyssała publiczność składająca się z wampirów, coraz częściej uciekała się więc do przeróżnych sztuczek i zaplanowanych forteli. Spektakle oszusta Mac Orpheusa, w których uczestniczyła w cyrku Barnum, nie miały przed nią tajemnic. Zresztą spirytyzm nie był już tym czymś nigdy, odkąd pojawiła się fala nowych, katolickich imigrantów. Margaret nie orientowała się w tych wszystkich hierarchiach duchów ani w oczyszczających skutkach reinkarnacji wiodącej w stronę boskiego światła. Wiedziała, że nie licząc niektórych kobiet dotkniętych ciężką chorobą oraz kilku prawdziwych nekromantów sprzymierzonych z ciemnymi mocami, cały świat oszukiwał i udawał w tej dziedzinie.

Trzeba jednak było z czegoś żyć, a Margaret zachowała mimo wszystko nieco uznania należnego siostrze Fox, choć nie zdołała wyjść z cienia Leah Underhill, wielkiej kapłanki religii liczącej kilka tysięcy wiernych. Sprzedawała więc swą nieśmiertelną duszę za kilka dolarów za seans.

Margaret wzruszyła ramionami na widok ślepego żebraka napotkanego w bramie, który podniósłszy ciemne okulary na czoło, liczył zebrane monety. Skręciła za róg wąskiej i ciemnej uliczki, gdzie płatki śniegu wirowały niczym pierze ze skubanego ptaka. Szydł Dobrego Apostoła, przyozdobiony brodą z sopli, skrzypiał na wietrze na swoim słupie. Popchnęła drzwi o zażółconych szybkach i natychmiast otoczyło ją ciepło bijące od pieca. Na szczęście w wilgotnych stanach można było pokrzepić się zieloną wróżką. Nad absyntem wątpliwej jakości, najtańszym w lokalu, kobieta może i traciła reputację, ale było jej wszystko jedno, nie miała nic przeciwko zadawaniu się z marynarzami i młynarzami. Po trzecim, czwartym absyncie zabarwionym siarczanem cynku czuła się lepiej na tyle, by móc rozejrzeć się wokoło. Za kontuarem John, właściciel, gorzelnik i piwowar, wśród swoich butelek, kieliszków i beczek, dobrze już podpity, perorował przed pieśniarzem i woźnicą najbliższego dyliżansu do Nowego Jorku.

– Za dużo jest praw – mówił. – Każdy gubernator żąda swoich, tracimy powoli rozsądek! Zgoda, wieszajmy przestępców, ale spójrzcie: w Bostonie prawo zabrania gry na banjo na ulicy, w Idaho nielegalne jest łowienie ryb z grzbietu żyrafy, a w Tennessee nie mamy prawa złapać ryby na łące...

– Coś wiem na ten temat – odparł pieśniarz. – Tam, skąd pochodzę, w Karolinie Północnej, zabrania się nieczysto śpiewać.

Mężczyzna w średnim wieku otworzył drzwi i jakby popchnięty zawieruchą, przypadł do kontuaru. Zamówił od razu najlepszy absynt. Jego skórzany płaszcz ociekał wodą, podczas gdy on otrzepywał dłonią czarny, sztywny kapelusz z szerokim rondem. Margaret wydało się, że rozpoznaje w nim jednego z gości nieistniejącego już Spiritualist Institute, a może któregoś z bywalców salonu Leah – z czasów niezwykle szacownej pani Fox-Fish. Mężczyzna miał oliwkową cerę, ciężkie powieki, gładkie siwiejące włosy i rysy delikatne i zmęczone. Na jego astenicznej twarzy malowało się wyczerpanie hulaki. Położył niedbale nakrycie głowy na kontuarze. Jego powieki uniosły się i przebiegł wzrokiem rozproszonych gości szynku. Odurzona alkoholem Margaret wytrzymała jego badawcze spojrzenie. Nauczyła się nigdy nie spuszczać oczu, co pomagało odwrócić uwagę publiczności podczas sztuczek wymagających zręczności.

Zaintrygowany Lucian Nephtali sięgnął po kapelusz i zbliżył się do miłośniczki absyntu, opartej ciężko o wielkie lustro.

– My się znamy – powiedział, nie tracąc czasu na prezentacje. – Leah?

Już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, zbliżając się do kobiety, uświadomił sobie swój błąd.

– Przepraszam – dodał. – Z daleka przypominała mi pani...

– Osobę o dwadzieścia lat starszą ode mnie, która jest moją siostrą – wyrzuciła z siebie jednym tchem Margaret, po czym podniosła rękę i zawołała piskliwie: – John, podaj mi jeszcze jeden!

– Dwa! – poprawił ją Lucian, siadając. – Najlepsze!

Margaret przyjrzała się intruzowi z rozbawieniem. Ze strzępów wspomnień wyłoniła się przed nią jego postać, pozycja społeczna i kontakty. Z zadowoleniem skonstatowała, że pamięć, mimo rozkładu psychiki, wciąż jej dopisuje.

– A co słyhać u Charlène i drogiego Harry’ego? – spytała po chwili milczenia.

– Charlène postradała zmysły, nie wiedziała pani? Zabawne, grała rolę pani Mountchessington w teatrze Forda w Waszyngtonie tego wieczoru, gdy zamordowano Lincolna. Dobrze znała zabójcę. Pamięta pani, grała kiedyś w *Makbecie* z obłąkanym Johnem Wilkesem Boothem. Tym razem była to sztuka *Nasz amerykański kuzyn*. W pewnym momencie Booth wyskoczył na scenę, wrzeszcząc: „Tak umierają tyrani!”, była to swego rodzaju szekspirowska ingerencja w tę mieszczańską farsę. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tego Jan nie będzie wiedział, ale to nie ma żadnego związku. Niedawno przenieśliśmy Charlène do Athens w Ohio, do luksusowego, niedawno otwartego azylu. Co się zaś tyczy Harry’ego...

Właściciel kawiarni podszedł wymienić im szklanki, zerkając z niepokojem na klientkę.

– Mam nadzieję, że ją pan odprowadzi – szepnął, nachylając się do ucha mężczyzny.

Margaret uśmiechnęła się, zdegowana, i zapaliła papierosa.

– Dla pana wszyscy jesteśmy blagierami, prawda? – wymamrotała. – Nigdy pan w to nie wierzył! Fluidy magnetyczne, komunikacja z zaświatami, stukające duchy...

Lucian Nephtali, zakłopotany, starannie moczył cukier. Istotnie, nie wierzył, chociaż nigdy nie zdołał przyznać, że jego przyjaciel przestał istnieć. Z grobu swojego jestestwa Nat wyłonił się niczym jego własna, ukryta dusza.

Nachylił się ku Margaret.

– Duchy w stoliku? To przecież groteskowe. Ale też swego czasu u pani siostry Kate zauważyłem pewne niezwykle właściwości psychiki, których nie potrafię nazwać. Swego rodzaju hipnotyczne rozdwojenie jaźni, a może nadzwyczaj przenikliwe odrętwienie, naturalna empatia, moc przenikania rzeczy i istot, z jakiej ona sama nie zdawała sobie w pełni sprawy.

– Kate jest po prostu prawdziwym medium.

Wybawiony z kłopotu Lucian Nephtali zauważył kurze łapki, drobne zmarszczki w kącikach ust, a przede wszystkim nawyk zagryzania dolnej wargi i mrugania powiekami, jaki miała siedząca przed nim kobieta. Drżenie jej dłoni i rozszerzone źrenice świadczyły o poważnym rozstroju nerwowym. Leah, kobieta o pięknym kolorycie, wiodąca wystawne życie w Nowym Jorku, nie zdawała się od niej starsza.

– W jakim celu korzystał pan z usług mojej młodszej siostry? – zapytała Margaret, kryjąc się za parawanem dymu.

Tym razem nie mógł uniknąć odpowiedzi, w każdym razie absynt nie pozwalał mu na kłamstwo, podobnie jak opium. Przed chwilą zaś opuścił nielegalną palarnię, otwartą w porcie po zamknięciu Golden Dream. Choć uważał się za niedowiarka do szpiku kości, przez długi czas konsultował przeróżnych wróżbitów, żywych i martwych: Szymona z Judei, Paracelsusa, Roberta Fludda czy też markiza de Puysegura. Sam bliski był zagłady, bombardowany ze wszystkich stron niezdrowymi wpływami, jakie przyciąga żałoba. Mimo to przeżył, nadal bez wiary. Dzięki małej Kate. To ona pewnej niezapomnianej nocy związała cienkie nitki ukryte w głębi duszy, łączące jego i Nata Astora, ratując go tym samym od cierpienia z miłości.

– W jakim celu? – powtórzył wreszcie. – Zapewne, żeby zrozumieć moją zbrodnię. Pani siostra oświeciła mnie w tej kwestii. Jej oddech rozwił mgłę w moim umyśle i ujrzałem ślad krwi. Zgłosiłem się jako sprawca zabójstwa do mojego przyjaciela koronera z Rochester, który od lat na to czekał. Odbył się proces. Niewiele brakowało, a zostałbym skazany na śmierć. Ale Harry Maur, wezwany na świadka, potwierdził pod koniec przesłuchania, że był obecny w dniu i miejscu tragedii i że to jednak było samobójstwo.

Margaret słuchała nieuważnie. Na twarzy z przeszłości nakładały się na siebie niewyraźne, falujące obrazy.

– Ale samobójstwa nie ma! – niemal krzyknął Lucian, cofając się z pobielającymi wargami. – Nie, nie – ciągnął już łagodniejszym głosem – są tylko mniej lub bardziej przemyślane zabójstwa.

Margaret wzruszyła ramionami. Czyżby i ona zabiła męża, sama o tym nie wiedząc? Wydobyła z niepamięci łagodnego i poważnego Eliszę, słabnącego w oczach po powrocie z ekspedycji, i poczuła naraz dojmującą tęsknotę, ostrze przenikające wnętrza, po czym przypomniała sobie swoją odprawę po pogrzebie. Pozbawiona majątku, wygnana z domu przez rodzinę męża, znalazła się w punkcie wyjścia, bardziej samotna niż kiedykolwiek; musiała odzyskać poważnie nadwyreżoną sławę, by móc zarobić na życie z dnia na dzień jako Margaret Fox-Kane. Niestety, w międzyczasie media bardzo się rozmnożyły. Naiwna Ameryka lig, kongregacji i sekt oddała się nowym szarlatanom, bez słowa wdzięczności dla dwóch pionierskich sióstr. Pan Splitfoot musiał dobrze się bawić pod łopoczącym sztandarem Old Glory.

Z umysłem otępiałym w oparach alkoholu Margaret nie zauważyła tak naprawdę zmiany, jaka nastąpiła, gdy Nephtali ustąpił bez słowa miejsca innej postaci z jej życia.

– Znów jesteś pijana! – oburzała się postać. – A dziś wieczorem masz występ, wejście po dwa dolary, zapomniałaś?

– To powrót do Rochester tak mną wstrząsnął... – powiedziała.

– Byłaś tak samo wstrząśnięta, kiedy runęłaś jak długa na ziemię tydzień temu w Filadelfii.

Franck Strechen wyciągnął Margaret z lokalu, zanim zdążyła dokończyć kieliszek. Śnieg, wciąż gęsty, gasł w czarnym błocie. Mężczyzna zatrzymał dorożkę i podał woźnicy adres hotelu. Przez całą drogę Margaret słyszała jakby dochodzące z innej planety gorzkie wyrzuty impresaria. Przyglądała się rozmazanemu światu, z którego wyłaniały się zlepki wspomnień, natychmiast pochłaniane przez trupio bladą lawinę. Duży dom przy Central Avenue po lewej wydał jej się maleńki i ponury. Nagle przypomniała sobie pewną obietnicę i zawołała w stronę woźnicy:

– Buffalo Street, szybko! Na stary cmentarz!

Nikt nie miał prawa zabronić jej wizyty u mamy. W swoim ostatnim liście przed wyjazdem Kate napisała do niej: „Gdybyś znalazła się przejazdem w Rochester...”.

Przypomniała się jej piosnka, do kieliszka i do płaczu, i zanuciła ją z werwą:

*If ever you pass by the old homestead
Pray step right inside for to see if I'm dead!
And drink to our love if you find I am gone
But love me again if you find me at home⁴².*

IV

Nekromanci ze Starego Świata

Dwanaście pracujących kotłów Oceanica sprawiało, że olinowanie i żelazne poszycie statku drżały. Za to olbrzymi komin parowca pasażersko-towarowego, wypuszczający w nieruchome niebo kłęby dymu, zasłaniające chwilami obydwie tylne maszty, na które dziarska ekipa marynarzy wciągała żagle, drgał niemal niezauważalnie. Oparci o poręcz nadburcia na pokładzie spacerowym pasażerowie pierwszej klasy przyglądali się manewrom, niewiele z nich rozumiejąc. Brakuje wiatru, a może trafili na niekorzystne prądy? Na dziobie, rufie i na niższych pokładach rozsiadał się tłum trzeciej klasy. Wydzierzawiony w ubiegłym roku przez White Star Line, pływający pod brytyjską banderą Oceanic opuścił Nowy Jork, by zaopatrzyć Londyn w kontyngent nuworyszy, rozczarowanych emigrantów i siwiejących wyrzutek.

Przez dwa tygodnie trwania rejsu Kate najczęściej stała na mostku otulona w futro i pozwalała, by zmienny wiatr – czasami subtelny niczym oddech umierającego, a po chwili o niezgłębionej gwałtowności – robił z nią, co chce. Nigdy nie czuła się bardziej wyzwolona od samej siebie, niemal bezcielesna, pozbawiona owej ciężkości, którą sen wlecze za sobą pod pozorami ludzkiej powierzchowności. Przy złej pogodzie wracała do swojej kabiny, nie spuszczać jednak wzroku z morza. Ogromne smoki z piany i mgły tańczyły jej przed oczami. Kate wyobrażała sobie nieskończoną podróż ku spokojowi ducha. Po dziesięciu dniach życia w zamknięciu między relingami i mostkami, restauracją i luksusową kabiną uznała, że nikt nie przeszkodziłby jej w prześlizgnięciu się za burzę w księżycową noc. Podobne do cudownego wiatru drżącego w promieniach światła błakające się dusze zmarłych na morzu nie przejmowały się jej obsesjami. Nawet najgorsza z nich przekroczy pewnego dnia Przylądek Dobrej Nadziei na swoim statku widmie. Zresztą, jakiemu niemądremu medium przyszłoby do głowy wzywanie duchów na pokład statku – wszystko tu trzeszczało i poruszało się tylko na rozkaz Neptuna! Dziesiątego dnia, wreszcie uwolniona od nieprzeniknionego smutku, oczarowana fontanną tryskającą z wieloryba i tańcem morświnów, Kate zrozumiała, że nie straci panowania nad sobą. Pewnego ranka, kiedy mocno kołysało

statkiem, pobiegła za latającą rybą, która wylądowała na pokładzie. Kiedy wrzucała ją z powrotem między fale, miała wrażenie, że wypuszcza synogarlicę z lodu.

Zbliżając się do Starego Świata, oczyszczona przez ocean z ponurych myśli, chciała uwierzyć, że tu, z dala od fanatycznych purytanów, którzy z braku zakorzenienia obciążali się kapryśnymi duchami, wszystko się ułoży. Po tej stronie Atlantyku, zgodnie z tym, co wyczytała w książkach, duchy miały zwyczaje właścicieli i poczucie więzi rodzinnych. „Jestem duchem twego ojca, skazanym tułać się nocą po świecie”⁴³ – czyż to nie z *Hamleta*?

Kiedy na horyzoncie pojawiło się angielskie wybrzeże, ponownie ogarnęła ją nieopisana trwoga. Czego będą od niej wymagać? Jaką postawę przyjąć wobec gospodarzy? Po trapie zesła jak lunaticzka. Na nadbrzeżu kłębił się tłum nędzarzy i kulejących kobiet, hordy dzieci w łachmanach krzątały się przy nieokreślonych czynnościach lub włóczyły wokół doków niczym wyliniące psy. Przez ułamek chwili Kate była przekonana, że jeden z tragarzy o ziemistej cerze śledzi ją, pchając wózek z bagażami. Ale oto już woźnica w purpurowej liberii z miedzianymi guzikami szedł jej naprzeciw. Kolasa na resorach czekała na nią przy lśniącym od deszczu nadbrzeżu. Wewnątrz, mając za sobą dwie nieprzespane noce, zamknęła oczy i poddała się kołysaniu, zasłuchana w dźwięczny tętent kopyt, który we śnie zmieniał się w odgłos kroków Old Billy’ego.

Służba Benjamina Colemana przywitała ją bez zbytnich ceremonii w wiejskim zameczku w Chelsea, przypominającym karłowatą fortecę ze swoimi gotyckimi wieżyczkami i wąskimi oknami, brukowanym dziedzińcem, gargulcami i rzeźbionymi występami nad olbrzymimi, opancerzonymi kutym żelazem wrotami. Kate znalazła się w zupełnie innym świecie, gdzie anemiczna jasność i chłód walczyły z marmurową mgłą, z której wyłaniały się antyczne kształty architektoniczne. Wszystko tu było inne, przepełnione zarazem tajemnicą, intymnością i bardzo głęboką familiarnością. To przenikliwe uczucie, że wybiegła w przyszłość, dosięgało ją, kiedy dziecięce krzyki za wysokimi murami, ceglasta twarz mężczyzny grającego na harmonijce na rogu brudnej ulicy, panorama widzianego z góry parku, z którego wzbijał się w powietrze papierowy ptak, albo po prostu ten niezmienny deszcz w kolorze żelaza uświadamiały jej coś, czego wcale nie przeżyła, w każdym razie jeszcze nie, wypełniając ją niepojętą tęsknotą. Gdyby miała umysł dogmatyka, jak ci wszyscy gorliwi fanatycy

obeznani z przedpotopowymi alegoriami z Indii czy Tybetu, bardzo szybko zdołałaby się przekonać do spirytystycznych przypuszczeń na temat migracji dusz, ale nie mogła lub też nie chciała zrozumieć tych zawiłych wykładów. Poprzednie istnienia były dla niej osiągalne w każdej chwili. Co się zaś tyczy rozrastającego się spisu duchów, pan Splitfoot nigdy nie szepnął jej na ten temat ani słowa. Na razie pozostawiono jej tyle wolnego czasu, że bez protestu pozwalała się przesłuchiwać przyjacielom pana Colemana.

Londyn fascynował ją jeszcze bardziej niż Nowy Jork za sprawą tego, co skrywał w sobie mrocznego i niebezpiecznego: to tutaj, na tych tak podobnych do siebie ulicach ciągnących się wzdłuż Tamizy, wśród tłumów na Oxford Street, pod arkadami Royal Opera House albo w ogrodach Hampton Court tylu znanych jej bohaterów doświadczyło dramatu swojego istnienia. Dla Kate nie istniała różnica między postaciami z powieści i ich twórcami. Tak więc Shakespeare, Anthony Trollope czy Dickens, o którego śmierci właśnie się dowiedziała, nawiedzali te miejsca na równej stopie z alchemikiem Benem Jonsonem czy chorymi na dżumę z Dziennika roku zarazy Daniela Defoe. Odkrywszy *Targowisko próżności* w bibliotece Livermore'a, na krótko przed swoim wyjazdem, zaczęła identyfikować się z młodą Amelią tylko dlatego, że jej przyjaciółka Becky – mimo podejrzanego pochodzenia – wydawała się czarująca, i to jej właśnie, a nie Thackeraya, Kate szukała na ulicach Londynu. Sama w kolasce albo w towarzystwie milczącej damy do towarzystwa, lubiła się gubić w tej olbrzymiej przestrzeni, jej zdaniem gęściej zaludnionej niż cała Ameryka, choć owszem, mniej kolorowej, nie licząc Hindusów w turbanach. W nierzeczywistości wygnania, które budziło w niej fałszywe wspomnienia, Kate widziała wszystko jakby w zwolnionym tempie, wyłaniające się z tkaniny cienia. Za każdym razem, gdy przekraczała most, topielcy dawali jej znaki. Na wzgórzu Hyde Park, zaskoczona śniegiem pod koniec dnia, kiedy w całym mieście zapalano już latarnie gazowe, wydało jej się, iż dostrzega jedną z tych praczek całunów, jednego z tych zmaterializowanych duchów – spaloną żywcem matkę dzieciobójczynię albo ściętą ulicznicę – które nazywa się nocnymi praczkami. Wróciła wówczas do Chelsea wstrząśnięta, pełna obaw, czy na drugim końcu świata nie wydarzyło się aby jakieś nieszczęście.

Tego wieczoru czekano na nią w salonach jej gospodarza. Musiała tylko zmienić suknię i przypudrować blade policzki. Trzy wielkie żyrandole oświetlały pomieszczenia o lakierowanych parkietach i sufitach pokrytych

malowidłami Rubensa lub kogoś z jego szkoły; rzędy kolumn ciągnęły się od stóp schodów wzdłuż całej galerii. Wciśnięty w czarny strój, jak wszyscy obecni dżentelmeni, Benjamin Coleman okazał radosną niecierpliwość na widok Amerykanki zmagającej się z dwiema damami.

– Wypożyczam ją sobie – rzekł, ciągnąc Kate za łokieć. Po odejściu kilku kroków nachylił się ku niej: – Proszę uważać na Perdite i Fantasime, to uczennice Ellis Brotherwood. Praktykują magiczny orgazm.

Trzymając Kate za rękę, pan Coleman wspiął się po paru stopniach na niewielkie podwyższenie, którego większą część zajmował fortepian. Przyciągnął gościa do siebie.

– Drodzy przyjaciele – zaczął ceremonialnym tonem – jestem nieskończenie dumny, mogąc przedstawić wam dziś wieczorem tę, którą wszyscy chcieliście poznać...

Wśród zebranych znajdowały się poważne postaci z brodami i monoklami, nie brakowało też wytwornych sukni przeciążonych wisiorami. Kate poczuła się onieśmielona nagłym uwielbieniem, którego stała się przedmiotem. Oparta o czarne skrzydło fortepianu, pożałowała w tej chwili, że nie potrafi grać, by móc uciec w Bacha lub Beethovena. Tymczasem gospodarz ocalił ją z zakłopotania, prosząc zebranych, by nie wystawiali na próbę wyjątkowo wrażliwego medium, jakim jest panna Kate Fox.

– Czy muszę wam przypominać, że my, adepci spirytyzmu, zawdzięczamy niemal wszystko tej pięknej osobie, która przybyła do nas z Nowego Jorku i która po raz pierwszy ponad dwadzieścia lat temu, gdy była jeszcze małą dziewczynką, nawiązała kontakt z zaświatami, nie licząc oczywiście Sybilli Kumańskiej czy też Jezusa rozmawiającego z Eliaszem i Mojżeszem... Sprawie naszej sprzyjają najwięksi mędracy, tacy jak astronom Camille Flammarion, który na pogrzebie Allana Kardeca powiedział głośno i wyraźnie: „Spirytyzm jest nauką, nie religią”, albo nasz drogi przyjaciel chemik William Crookes, członek Akademii Królewskiej. Przytoczę tu dziś słowa odkrywcy talu: „Spirytyści mają wobec tej damy olbrzymi dług do spłacenia, zawdzięczają jej radosną nowinę, której los uczynił ją heroldem...”.

Nagrodzona brawami Kate poczuła, że oblewa ją rumieniec, nie zażądano od niej jednak na szczęście ani okolicznościowego przemówienia, ani seansu. Pan Harisson i panna Rosamond Dale Owen, dwoje redaktorów czasopisma „Spiritualist”, podeszli do niej, by jej pogratulować.

– Czy stała się pani kiedykolwiek ofiarą nieczystych duchów? – nie

wytrzymała panna Owen.

– Czy przyznaje pani – dołączył ze swym pytaniem pan Harisson – że spirytyzm to trzecie objawienie boże?

W tej samej chwili pewien młodzieniec o chorobliwie szczupłej sylwetce, z diamentem wpiętym w krawat, przywitał zebrane towarzystwo z wysokości estrady:

– Zupełnie nieznana dotąd sonata, którą zaraz państwo usłyszą, została podyktowana Allanowi Kardecowi przez ducha Mozarta. A zagra ją dla państwa, za moim pośrednictwem, duch mojego zmarłego mistrza, jego energia biomagnetyczna...

Podczas gdy szkielet unosił poły swojego surduta i sadowił się przy fortepianie, Kate poczuła na sobie palące spojrzenie; nieco upojona trzema kieliszkami szampana wypitymi jeden po drugim, przyjrzała się niewyróżniającej się niczym fizjonomii, którą cechowała prostota i beztroska, a okazała się należeć do krotochwilnego czterdziestolatka.

– Proszę się nie obawiać – rzekł ten żartobliwie – nie jestem spirytystą.

Kate od razu poczuła się przy nim swobodnie, jak wtedy, gdy człowiek znajdzie punkt zaczepienia na karuzeli. Chętnie objęłaby ramionami szyję tego drewnianego konia, który miał na imię George i ukrywał lewe oko za ciemnym monoklem. Nieznajomy odpowiedział szczerą radością na widok ciekawości pijanej kobiety. Czyżby i on wypił za dużo?

– Prawdę mówiąc, jestem adwokatem naszego błazenka w kwestiach czysto materialnych.

– Pan Coleman ma wytoczony proces?

– Wpływowy mężczyzna, jak pani gospodarz, czasami potrzebuje prawnika. Na szczęście chodzi wyłącznie o lokowanie kapitału. Między nami mówiąc, nie sądzę, by duchy, o ile w ogóle istnieją, potrzebowały adwokatów...

Przez cały rok pod opieką Benjamina Colemana, którego wysiłki, by traktować ją jak krewną lub powinowatą, nie umknęły uwagi Kate, ta poddawała się uwielbieniu ze strony londyńskiej elity, obłudnej ciekawości neofitów przybyłych z przedmieść i swego rodzaju gorliwej rywalizacji międzynarodowych zwolenników doktryny religijnej. Kręgi spirytystyczne, kongregacje i towarzystwa naukowe zapraszały ją na bardzo modne seanse odbywające się bez lub w obecności ekspertów na terenie niemal całej Anglii i w stolicach północnej Europy. Kate dowiedziała się podczas owych spotkań wielu interesujących rzeczy. Między innymi tego, że świat spirytystów istniał na długo przed nami, a jego hierarchie przypominają

układy papistów. Że dusze ewoluują od minerału aż po człowieka. Że wszystkie tułające się duchy, mniej lub bardziej zdematerializowane, przemierzają niewidzialną drogę do perfekcji i dzielą się na nieczyste, stukające, fałszywych sawantów, neutralne i tym podobne na niskiej skali poddanej namiętnościom i materii, a na wysokiej skali, oświeconej boską intuicją, na duchy życzliwe, uczone, mądre i wybitne, duchy Jezusa, Siddharthy Gautamy lub Zaratustry, tuż przed błogosławionym rozpląnięciem się w boskości. Słynne występy wszechwiedzącego wizjonera, jakim był Szkot Daniel Dunglas Home, niejakię pani Bławatskiej przybyłej z Kairu albo też znakomitej Florence Cook, która jako pierwsza zmaterializowała w swoim gabinecie pełną postać ducha (nie mniej poważanej Katie King, zmarłej dwa wieki wcześniej), stanowiły zaledwie część spektakularnych eksperymentów. Od jakiegoś czasu usiłowali oni za pośrednictwem projekcji ektoplazmy oraz innych niezwykłych zjawisk dowieść istnienia *perispirit*, stanu pośredniego między duchem a materią, swego rodzaju przedłużenia fluidów lub rozdwojenia elektromagnetycznego ciała astralnego. Dowodami miały być odciski w parafinie, lewitacja mebli lub samych sprawców, przechwycenie niepoczesnych śladów na płytach fotograficznych.

Kate Fox wciąż jednak cieszyła się sławą, a dla wielu pozostawała symbolem i prorokiem. Dlatego też stan wojny i rewolucje w imperium nie przeszkodziły królowej Wiktorii, noszącej nieustającą żałobę po księciu małżonku, w podjęciu potajemnie – między dwoma posiedzeniami Rady Ministrów – młodej Amerykanki, by ta wsparła ją myślą pochodzącą z zaświatów.

W Chelsea odbyło się jeszcze wiele przyjęć. Kate poznała nowe twarze. Naturalista Alfred Russel Wallace wyjaśnił jej, jaki wpływ mają rzeki na rozmieszczenie bliskich sobie gatunków zwierząt, i podarował jej magnetyt z Archipelagu Malajskiego. Stary francuski pisarz, obeznany z życiem na wygnaniu, zaprosił ją do Guernsey, gdzie rezydował od czasu śmierci swojego wnuka i małżonki. Ślepa księżna podarowała jej srebrną płytę o wróżbiarskich właściwościach, ze swoim wizerunkiem z czasów, gdy jeszcze widziała. Wiele arystokratycznych dziewcząt zakochało się w niej dla zabawy.

Pewnego listopadowego wieczoru tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku wśród gości znów pojawił się adwokat pana Colemana, nagle pozbawiony swojego przyciemnionego monokla. Kate, przyglądając się jemu i jego oczom, z których jedno było zielone, a drugie szare,

zrozumiała niepokój, jaki dręczył ją od miesięcy. Zachęcony nagłym poblądnięciem jej oblicza George Jencken z rozmarzeniem poprosił ją o rękę za plecami jej opiekuna.

V

Normalne życie

Prawdziwe życie, po tylu latach wzywania zmarłych i sił okultystycznych, kojarzyło się Kate z wyłączną miłością jednego mężczyzny. Tuż po ślubie z nieznanym sobie wzruszeniem wycofała się z udziału w społecznej komedii i całkowicie poświęciła adwokatowi George'owi Jenckenowi, którego nazwisko przyjęła; jakby wstąpiła do klasztoru. Wyzwolona z dnia na dzień od cudzych spojrzeń, pielęgnowała swój nowy status anonimowej małżonki z zamiarem oderwania się od świata, co kojarzyło jej się z nieznanym dotąd uczuciem pełni szczęścia. Nie mogąc jednak osiągnąć całkowitego spokoju ducha z powodu przeszkody, jaką stanowiły szkielety, oderwane ręce i wszystkie te macki ektoplazmy zamieszkujące jej sny, Kate starała się nabrać sił, tkając kanwę zapomnienia, której luźny wątek splatała powoli gestami, jakie widziała swego czasu w Rapstown i Hydesville. Układała ręczniki i prześcieradła na półkach starej szafy, nie licząc już podejrzanych trzasków, myła kryształowe kieliszki pod bieżącą wodą, nie zwracając uwagi na klekoty i wysokie wibracje, zapalała lampę fosforową albo świece, żeby po prostu dziergać na drutach szal. I czytała wiersze Keatsa, które podarował jej mąż:

*Hyperiona nadobna małżonko!*⁴⁴

Albo poematy Dantego Gabriela Rossettiego, które kupiła sama w Alexander's Bookshop w swojej dzielnicy Notting Hill: „Wybranka nachylała się nad bursztynową linią nieba; jej złociste oczy były głębsze niż najgłębsza woda, w dłoni trzymała trzy lilie, a we włosach jej lśniło siedem gwiazd...”.

Autor, oszalały z rozpacz, miał ponoć ukryć rękopis w trumnie swej pięknej małżonki, by następnie wydobyć go i opublikować osiem lat później. George, ujrawszy w rękach żony ową nowość wydawniczą, wspomniął o tym, pieszcząc jej piersi. Po tylu uciekających histerykach, lubieżnych purytanach i patriarchach o ciężkich dłoniach podobało jej się bycie pożądaną bez żadnych przeszkód czy pośredników, jak każda kobieta, którą się całuje i rozbiera. Ciało mężczyzny, jego mięśnie i krzepkość, zajmowały czubki jej palców i całą skórę, pozwalały nie myśleć o niczym innym jak tylko o natychmiastowej rozkoszy – między splotem lędźwiowym

a kroczem, od karku po palce u nóg. Rozkosz osłabiała szczęście, by pomnożyć miłość dziesięciokroć. Kate nie mogła się wyzbyć oszałamiającego posmaku śmierci w akcie fizycznego oddania, uwalniała się od niego za każdym razem dzięki rytuałowi dziecięcych pieszczot, które budziły w adwokacie niejake zdziwienie.

By nie zapomnieć o życiu, pani Jencken chroniła się przed ponurymi skłonnościami swojego umysłu, w najtrudniejszych chwilach okazując entuzjazm. Radość była u niej symptomem niepokoju. Dlatego też ceniła sobie nade wszystko dżdżystą i wyblakłą melancholię jesiennych dni, wolne od obowiązków wieczory przy kominku i niczym niezmaconą niedzielą nudę: czuła, że żyje, dzięki łagodnym kontrastom. Lubiła kołyszące się na wietrze wysokie drzewa w londyńskich parkach, chmury nad rzeką, kiedy schodziła pieszo aż do starego mostu w Battersea, wykupionego przez Metropolitan Board of Works i zagrożonego rozbiórką, a nawet osobliwą rozpacz ulic Whitechapel, gdzie wałęsały się tysiące ocalałych z epidemii cholery sierot, dorastających na ulicy na szmaciarzy, żebraków i – przy odrobinie szczęścia – praktykantów w fabryce.

Zajęty w ciągu dnia w biurze w City, w Queen's Bench Division albo na spotkaniu u tego czy innego klienta, George przez długi czas nie był świadom jej lunatycznych wycieczek. Aż do tego wieczoru, kiedy Kate wróciła późno, z błędnym spojrzeniem, w poszarpanych i poplamionych krwią rękawiczkach. Zrozumiał, że została napadnięta przez zgraję dzieciaków na East Endzie, dokąd wybrała się spacerem całkiem sama, i że broniła się do połamania paznokci. Uspokoił ją i opatrzył zadrapania. Odkrył również, iż być może od miesiący odwiedza namioty Christian Revival Society, gdzie kaznodzieja William Booth pomaga najuboższym mieszkańcom Londynu. Z naturalną wspaniałomyślnością, lecz jednocześnie zaniepokojony zdrowiem psychicznym swojej małżonki, tym bardziej że sam ukrywał przed nią swoje dolegliwości, adwokat otoczył żonę opieką i postarał się, by jego zaufany woźnica śledził ją wszędzie tam, gdzie odmawiała mu swego towarzystwa.

Lecz oto pewna szczęśliwa okoliczność – jak mawiają ci, dla których jest ona całkiem obojętna – zmieniła wkrótce stan umysłu małżonków Jencken. Kate powiła bliźnięta do tego stopnia podobne, że pomyliła je między sobą dwa lub trzy razy, pozostawiając przypadkowi wybór ich tożsamości. Wreszcie ojciec postanowił przywiązać im do kostek łańcuszki z wygrawerowanymi imionami. To, że do tej pory jednego nazwano Arcadym, a drugiego Johnem Eliasem – lub odwrotnie, ani o włos nie

zmieniło ich egzystencji. Kate nie potrafiła określić, który z nich był starszy o kilka minut, co wprawiało ją w zakłopotanie. Ciężę zniosła niczym bujający w obłokach ptak: wysoko, daleko od czarnych bagien. Zapłodnione ciało otwierało umysł na dziecięce radości i na białe kosmyki włosów, na gwiazdy i olśnienie lodowatą otchłanią. Poród był dla niej jej własnym porodem. Kate urodziła się ze swojego własnego brzucha, a może z wnętrzości wszechświata, z bliźniętami w znaku zodiaku. Wydarzenie to zawierało w sobie wszystkie inne, strumień pokoleń, nieskończone metamorfozy i cieniste serce śmierci, pulsujące poprzez miliardy istnień.

Macierzyństwo oddaliło od Kate strach przed prokreacją. Chłopcy rośli w oczach, wciąż tak samo wymienni, wykorzystujący przy każdej okazji swoją identyczność. Arcady odpowiadał na wzywianie Johna Eliasa i odwrotnie, wymieniali się ubraniami, kiedy ktoś chciał ich w ten sposób rozróżnić, aż do dnia, w którym jeden z nich zapadł na ropne zapalenie opon mózgowych. Po dwóch tygodniach spędzonych w odosobnieniu wyzdrowiał, lecz choroba pozostawiła po sobie ślad w postaci zaburzeń pamięci uciążliwych na tyle, że bliźniacy zrezygnowali z ulubionej zabawy, która zresztą stała się nieskuteczna.

Zajęta kształceniem dzieci i okazywaniem uwagi mężowi, Kate nie czuła już potrzeby uciekania w miasto lub w kataleptyczne sny. Czasami niespodziewanie dopadała ją nostalgia za amerykańskimi miastami, tak innymi od wielkiej londyńskiej szachownicy, gdzie zasypane pyłem węglowym przedmiejskie dzielnice przeplatały się z parkami. Tam wszystko było możliwe, sława i obłęd, nieszczęście i fortuna. Wciąż jeszcze pulsowało w niej, niczym dobra, lecz gasnąca już gwiazda, wspomnienie Horace'a Greeleya, wyrozumiałego mecenasa, zmarłego rok po jej ślubie, po kilku nieudanych próbach starania się o fotel prezydencki. Żałowała też pięknych dni w Rochester i tęskniła za Margaret. Brakowało jej nawet Leah. Nadchodzi kiedyś dzień, w którym bracia i siostry zastępują pamięć po pogrzebanych już przodkach, gdyż tylko w nich odnajduje się tembr głosu i zachowania żyjące w głębi naszych serc.

Margaret wysyłała jej z daleka długie, krzykliwe listy, w których przeklinała całą ziemię, poczynając od Leah, która pozwoliła sobie na skrytykowanie jej publicznie w imię sprawy spirytystycznej, pod pretekstem, iż nadużywa alkoholu i oddaje się nielojalnym szarlataneriom z francuskimi i niemieckimi spirytystami, występującymi w ramach tournée na Main Street America i na Wschodnim Wybrzeżu. Z jej listów wynikało, chociaż nie przyznawała się do tego wprost, że jej impresario –

i prawdopodobnie kochanek – Franck Strechen wykorzystuje ją z cynizmem sutenera. Kate gratulowała sobie po cichu, że nie ma już do czynienia z tym towarzystwem, pod niektórymi względami równie bratobójczym co kazirodczym, i że udało jej się uchować bliźniaki i męża z dala od zatrutych wyziewów zaświatów. Nie miała już bowiem wątpliwości, że obracając się wśród zmarłych, człowiek zaprzeda im ciało i duszę. George, który poślubiając ją, stracił klientelę pana Colemana, cieszył się – choć na wpół zrujnowany – że udało mu się oddalić ukochaną kobietę od tej niebezpiecznej, jego zdaniem gorszej niż zatrucie sporyszem, herezji, ku której zwracały się coraz liczniejsze tłumy pogrążone w żałobie po wojnie, katastrofach i epidemiach, gdy nie znalazły pocieszenia w tradycyjnej spowiedzi.

Pan Coleman i Charles Livermore przestali się nią interesować, odkąd wyszła za mąż – matka dzieciom z pewnością więcej czasu poświęca garnkom w kuchni niż duchom. Kate miała za jedyne towarzystwo George’a, swoje dzieci i teściów. Wuj Herbert odwiedzał ich raz w tygodniu, zawsze jowialny, szczęśliwy ze swojego statusu stryjecznego dziadka, a bliźniacy, zachwyceni rozrywką, traktowali go jak króla. W ich pokoju piętrzyły się prezenty, dla każdego inne: stosy zabawek wystarczyłyby dla odróżnienia Arcady’ego od Johna Eliasa, gdyby choroba nie nadwyrężyła ich rywalizacji. Choć wuj Herbert był radykalnym ateistą, zwolennikiem Komuny Paryskiej i zapalonym czytelnikiem Karola Marksa, starał się jednak trzymać z dala od dawnej pytii mówiącego stolika. Nauczył się nigdy nie osądzać ludzi ze względu na ich inność i traktował Kate z ową chłodną dobrocią, jakiej wyraz musieli swego czasu dawać lekarze walczący z dżumą, obeznani z teorią miazmatów. Raz w miesiącu pojawiała się nieco mniej uprzejma babka bliźniaków, zazdrosna wdowa, zagarniająca dla siebie uwagę syna i wnuków kosztem synowej, którą podejrzewała o stosowanie czarów. Czyż nie była jedną z sióstr Fox – trzech gorgon o węzowych włosach, Mojr czy też potwornych szarych Sióstr z legendy, które dysponowały tylko jednym okiem i jednym zębem?

Kate czuła się najszcześniejsza w rybackiej chacie położonej między plażą i falezą, którą wynajmowali czasami na lato w Gower, w Walii, kiedy tylko George mógł towarzyszyć jej i dzieciom. To właśnie po powrocie z tygodniowego pobytu na półwyspie jego problemy ze zdrowiem – do tej pory niegroźne – przybrały dramatyczny obrót. Jeszcze przez jakiś czas George uczęszczał, podtrzymywany przez woźnicę, do swojego biura w City, zarzekając się, że to tylko kwestia przemęczenia, aż wreszcie położył się do

łóżka i umarł pewnej letniej nocy tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku, powtarzając czuwającej przy nim małżonce, że to naprawdę nic poważnego, że będzie ją kochał jeszcze wiele lat i o wiele mocniej, kiedy tylko stanie na nogi.

Samotna w pustym domu, dzieci bowiem powierzyła tej nocy ich babce, Kate potrząsała ciałem męża, błagając go, by się ocknął, krzyczała, że to wcale nie jest zabawne, że nie może jej tak opuścić bez pożegnania, płakała, trzymając jego zimne już dłonie, całowała jego usta i oczy. Wreszcie, ustąpiwszy wobec oczywistej prawdy, próbowała przywołać z pamięci modlitwę z dzieciństwa. Po długiej ciszy, trwającej blisko godzinę, wymamrotała tak często czytane wyznanie wiary Johna Wesleya, wyryte dżutem na frontonie kościoła metodystów w Hydesville:

*Do all the good you can
By all the means you can
In all the ways you can
In all the places you can
At all the times you can
To all the people you can
As long as ever you can⁴⁵.*

VI

Dwie wdowy z Notting Hill

W wieku dziewięciu lat nie umyka uwadze nic z tego, co knują dorośli. Arcady i John Elias porozumieli się bez słowa po powrocie z cmentarza. Rozmawiali i myśleli, wymieniając jedynie spojrzenia. Nie ma sensu przytłaczać się słowami, chyba że dla zabawy. Cisza nie jest wyłącznie domeną głuchych.

Wuj Herbert, babka, ciotki i starzy kuzyni opanowali mieszkanie po pogrzebie, jak gdyby chcieli tu ukryć pewną tajemnicę albo przywłaszczyć sobie dom ich ojca. Później wszyscy ci ludzie wrócili do siebie, pozostawiając dom pełen cieni. Kate przyszła utulić ich na dobranoc, opowiedzieć kilka bajek o błogosławieństwie i o raju, cały czas jednak po jej policzkach toczyły się łańcuszki łez. I to one, dzieci, musiały ją odtąd co wieczór pocieszać, wyjaśniać jej, że George jest blisko, że patrzy na nich swoimi różnobarwnymi oczami, jednym niebieskim – z tego świata, a drugim zielonym – z tamtego.

Dwa tygodnie później w burzowy jesienny wieczór Kate zaczęła się uśmiechać. Zapowiedziała synom niespodziankę: Margaret, ich ciotka, przepłynie ocean, żeby ich poznać. Jedna ciotka więcej, jedna mniej, nowina nie zrobiła na chłopcach wrażenia, ale uśmiech Kate obiecywał wiele. Arcady i John Elias jeszcze przez kilka miesięcy obserwowali jej starania, by wyzwolić się od smutku, lecz ona sama rozdrapywała rany obydwoma rękoma. Pewnego wieczoru, późną porą, zaciągnęła ich do pokoju, w którym złożono ojca do trumny. Stał tam stół i trzy krzesła, naprzeciw łóżka, u wezłowania którego paliła się świeca.

– Kto tu jest? – spytała Kate po rozsadzeniu ich i przykazaniu, by ułożyli rączki na blacie stołu.

Była zima, lodowaty wichur wstrząsał dachami i kominami przy akompaniamencie grzmotów. Od czasu do czasu przesycony deszczem powiew zdawał się wyłamywać ramę okienną. Naraz alfabet zaczął odpowiadać na cyfry głosem Kate, a stół wystukał o podłogę jedną, a następnie drugą nogą: raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Czy na pewno pięć? Numery należało przetłumaczyć na litery i słowa.

A-R-C-A-D-Y J-O-H-N E-L-I-A-S K-O-C-H-A-M W-A-S

Czy to wszystko? Bliźniacy nie mieli wątpliwości, że ojciec ich kochał. Mimo że ta zabawa podobała im się – świeczniki, trzęsący się stół i tajemnicze odgłosy – to powieki ciążyły im bardziej niż ziemia rzucona na trumnę. Kate musiała ich podtrzymywać, odprowadzając do łóżek. Innym razem stół uniósł się w górę niczym mały balon. Arcady nie mógł uwierzyć, że jego ojciec, jeszcze niedawno tak rozsądny, powracał z zaświatów, by płać takie psoty. John Elias zgadzał się z bratem i choć tamten nie wypowiedział się jeszcze ani słowem, oświadczył zniechęcony:

– Panie Splitfoot, kiedy skończy pan te swoje błazenady?

Kate podskoczyła na krześle, pozwalając stołowi opaść na podłogę.

– Któż wam o nim opowiadał? – wyjąkała.

Bliźniacy przyglądali się matce z wyjątkową uwagą, jaką obdarza się bliską osobę, która ma zamiar przyznać się do jakiejś wady lub ukrywanej perwersji.

– Ależ ty sama, mamo! – powiedział Arcady. – Kiedy przechadzasz się nocą po pokojach...

– Chłopcy, chłopcy! – zawołała, nie umiejąc znaleźć lepszych słów, i przytuliła ich głowy do piersi.

Kate porozumiała się z siostrą za pośrednictwem telefonu, z centrali pocztowej. Margaret dobiła właśnie do portu w Londynie i zadzwoniła z biura towarzystwa morskiego w umówionym dniu i o umówionej porze. Tak, nic się nie zmieniło, czekano na nią pod wskazanym adresem, w mieszkaniu w Notting Hill. Kate nie zdziwił zachrypnięty i apatyczny głos po drugiej stronie słuchawki, który przypisała zmęczeniu podróży.

Kiedy jednak siostra stanęła w drzwiach w towarzystwie dwóch tragarzy obarczonych skrzyniami, nie zdołała powstrzymać odrazy na widok jej zniszczonej twarzy.

– Postarzałam się, co? – powiedziała łagodnie Margaret, by wybawić ją z zakłopotania. – Niedługo będę nadawać się tylko do przetopienia! Ale ty się niewiele zmieniłaś. Mówi się, że mamy twarz naszego serca...

Kiedy wniesiono bagaże i Margaret zdjęła wierzchnie okrycie, siostry usiadły naprzeciw siebie, para unosząca się znad dzbanka z herbatą falowała między nimi, rozmowa potoczyła się, jakby nigdy nie została przerwana, a rozdźwięk między rzeczywistym starzeniem się a ulotnością jednego dziesięciolecia spędzonego z dala od siebie zatarł się zupełnie. Czyż Margaret nie nosiła od zawsze wypalonego krzyża swojego przeznaczenia? Już prosiła o wino, piwo, whisky, by dojść do siebie po uciążliwej podróży.

– Ale gdzie są moi siostrzeńcy? – spytała, nieco zmieszana swoim

brakiem obycia.

– U swojego wuja Herberta z okazji urodzin małej kuzynki.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznam! – oświadczyła Margaret, nalewając sobie z butelki, którą jeszcze zdążył otworzyć George. – Chcesz jeszcze? Dwie siostry w żałobie...

– Za dużo pijesz – szepnęła Kate.

– To mnie pociesza, przypomina stare czasy... Zabierzesz mnie do Metropolitan? Chciałabym zobaczyć też stare uliczki, pałace, kościoły. Ach! Mogłybyśmy zbić fortunę w tym wielkim mieście!

– Skończyłam ze spirytyzmem.

– Rozumiem, musisz dbać o siebie. Mimo że co rusz oszukujemy, budzimy niebezpieczne siły...

– Co? – zawołała Kate. – A więc oszukiwałaś?

– Wszyscy oszukują, co ty sobie wyobrażasz, nie zawsze ma się natchnienie, poza tym zdarzają się wieczory, kiedy duchy są na nas obrażone. Cóż więc robić, kiedy siedzisz przed publicznością, która życzy sobie stukania, lewitacji i całej reszty? Serwujemy im lipę, sztuczki, sama wiesz, każdy musi czasami oszukać. I nie znam ani jednego tak zwanego medium, którego by się nie dało zatrzymać pewnego dnia z kieszeniami pełnymi sznurków.

Oparłszy brodę na złączonych pięściach, Kate przyglądała się starszej siostrze z najwyższym zakłopotaniem, nawet nie za sprawą wyznań, które zarazem rozbawiły ją i oburzyły, ale z powodu przemiany, jaka biła od jej osoby. Jej głos, język i fizjonomia musiały znosić w ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele upokorzeń. Kate zastanawiała się, drżąc, jak musiało wyglądać jej życie po śmierci Elishy Kane'a.

– Patrzysz na mnie jak na obcą osobę – zauważyła Margaret. – Jestem tą samą, nie obawiaj się. Doznałam jedynie rozpacz i przeciwności losu, jak wiele kobiet w naszym kraju. A Leah mi nie pomogła... Nie masz nic innego do picia?

Nie rozstały się przez całą noc, wspominały dawne czasy, minione radości i wszystkie ulotne duchy, pięknego Lee z Rapstown, dzieci z Hydesville, Pecquota, Lily Brown i Harriett, dziewczynę z rancza, gdzie powiesił się niewolnik, a także Pearl, swoją nauczycielkę.

– Spotkałam ją w Rochester – powiedziała Margaret. – Została wpływową osobistością, walczącą o prawa kobiet. Pisze powieści...

– A jej ojciec, pastor?

– Nie żyje i mam nadzieję, że smaży się w piekle. Na piekło papistów

trzeba sobie zasłużyć!

Nazajutrz, kiedy bliźniacy wrócili, Margaret przytulała ich, całowała, oplakując wszystkie dzieci, których sama mieć nie będzie, śmiejąc się jednocześnie z samej siebie, a nawet śpiewając jak stary pionier:

O boys, we're goin' far to-night

*Yeo-ho, yeo-ho, yeo-ho!*⁴⁶

Zapewne na zasadzie kontrastu w ciągu kolejnych tygodni zachowywała się nad wyraz spokojnie, nieobecna w dzień, nocą zatopiona w lekturze religijnych dzieł. Ponieważ przestała pić i nie unosiła się już co chwila, mówiąc o Leah, najwyższej uzurpatorce w królestwie duchów, Kate uznała, że zmiana otoczenia ją uspokoiła. Maggie wypoczywała w Londynie od tej całej ekstrawagancji, spirytystycznego poruszenia i licznych konfliktów kipiących w amerykańskim kotle.

Zagubiona, nie pragnąc niczego prócz wsparcia poza tym światem, Margaret przemierzała kościoły i świątynie. Mimo pofarbowanych włosów i pudru na czole wiek zniekształcił kojące odbicie, widoczne jeszcze wczoraj w cudzych spojrzeniach i w lustrach. Opróżniona z poczucia siebie – owej ciepłej, zanikającej krągłości, trwającej na jawie i we śnie, swoistego wewnętrznego sanktuarium, w którym czekamy na to nieokreślone coś – wałęsała się, ukryta za zmienną maską, raz tragiczną, a raz obojętną jak londyńskie niebo, od kaplicy w donżonie do kościoła St Marylebone, który tak bardzo przypominał nowojorskie świątynie, od katedry St Paul do St Clement Danes w pobliżu Covent Garden. Ów splendor pod cienistym sklepieniem, opustoszały między dwiema falami tłumu w godzinach mszy, uspokajał ją; nawet nie próbowała zrozumieć natury kultu anglikańskiego, metodystycznego czy prezbiteriańskiego. Nędza miasta poza gmachami i strzeżonymi parkami – w Whitechapel, East Endzie, w pobliżu St George, gdzie zmęczone prostytutki paradowały wśród brudnych dzieci, pijaków i kalekich żebraków, w Limehouse i Lisson Grove, gdzie potoki ludzkiej rozpaczki płynęły między torami kolejowymi i włączami do kanałów – wydała jej się czymś nieznanym po drugiej stronie Atlantyku, czymś odwiecznym, kwitnącym na własnych wrzodach i jakby przyrośniętym do tonącego statku.

Wędrując tak, to właśnie w sercu Londynu, na obrzeżach dzielnicy Whitechapel, w pobliżu City of Westminster znalazła wreszcie swój port. Przepych opactwa oczarował ją, lecz nie wzruszył. Ani królewskie grobowce za ołtarzem, ani rycerskie sztandary z herbami nad stallami nawet na chwilę nie przykuły jej uwagi. Zatrzymała się przed rzeźbą Dziewicy

otoczonej kamiennym kręgiem apostołów i świętych.

Przez wiele kolejnych dni powracała do Lady Chapel, a następnie, być może wiedzona podziwem, skierowała się w stronę placu budowy, gdzie miała powstać katedra, do kapliczki ocalałej ze starego kościoła katolickiego, przylegającej do budowli służącej za prezbiterium. Margaret weszła do sanktuarium z mieszaniną uczuć przytłoczenia i wolności. Gąszcz świec i niebieski dym kadzideł u stóp obrazu przedstawiającego Niepokalane Poczęcie, a także cień rzucony przez wielką postać Chrystusa na krzyżu przywodziły jej na myśl aranżację gabinetów mediumicznych. Trwała tak długo przed Dziewicą, z nieobecny, błagającym spojrzeniem, że zaniepokoiło to pewnego pogrążonego w modlitwie księdza. Zjawa podeszła i nachyliła się ku niej, szczupła w swojej czarnej, lamowanej sukni z czerwonymi guzikami.

– Potrzebuje pani pomocy? Każdy z nas cierpiał smutek. Czy jest pani katoliczką?

Tych kilka słów, wypowiedzianych przez duchownego przypadkowo napotkanego w ruinach świątyni, poruszyło Margaret, która po długiej rozmowie i spowiedzi przystała, drżąc, na konwersję. Pozwoliła księdzu wpłynąć na siebie bezgranicznie. Dowiedziała się później, podczas sakramentu chrztu, do którego przystąpiła wraz z innymi nawróconymi, że był nim sam arcybiskup Westminsteru, kardynał Henry Manning, jeden z najbardziej wpływowych katolickich teologów, a też gorący zwolennik idei społecznej sprawiedliwości Johna Wesleya. Sam również należał do grona konwertytów, pozostawiwszy za sobą heretycką przeszłość. Nosił na palcu wraz z biskupim pierścieniem obrączkę młodej mężatki, zmarłej rychło po zawarciu ich związku. Utajony nekromanta, niepoczyszony prałat z bystrością pojął emocje rządzące nową doktryną. Margaret była dla niego łatwą ofiarą i swoistym trofeum: oddana już Dziewicy Marii, dała się przekonać, jak niegdyś swojemu mężowi, przerażającej wizji potępienia. Czyż wszystko w spirytyzmie nie wynikało z demonicznych praktyk? Ujarzmiona czarami liturgii katolickiej, a zarazem odpowiednio otrzeźwiona, czuła się lepiej w ciągu kilku kolejnych miesięcy, w okresie rekonwalescencji, podczas której jej jedynymi lekami były woda święcona i opłatek.

Kate nie poznawała już siostry. Nigdy nie rozmawiały z sobą o wiecznym dziewictwie Marii albo o adoracji eucharystycznej. Jeszcze mniej na temat uczestnictwa Trójcy w istocie boskiej. Różnorodność wad i grzechów, wewnętrzna rozkosz lub świadoma i dobrowolna transgresja nie

zaprzętały do tej pory ich myśli. Margaret wracała grzecznie wieczorem, nie przeklinała ani nie rozglądała się za butelką. Wstrzemięźliwa i skromna, postrzegając wszystko jako łaskę. Z natury hojna, Kate troszczyła się o jej szczęście, oferując wiele ponad to, na co pozwalała jej asceza. Od śmierci George'a korzystała, nie przeliczając, ze swojej skromnej części spadku; niestety, nic nie mogło powstrzymać zbliżającej się ruiny. Wynajmujący i księgowi adwokata w końcu przestali przymykać oczy na długi wdowy.

Kiedy przyszło oddać klucze do mieszkania, Margaret sprzedała biżuterię i kilka sukni, żeby pokryć koszty przeprowadzki. Wraz z bliźniakami, siostrą i dwoma wozami mebli pani Fox-Jencken urządziła się w East Endzie. Ponieważ obowiązek szkolny wygasł wraz z ukończeniem przez dziecko dziesięciu lat, co pokrywało się wówczas z najniższym wiekiem rekrutacji do pracy w fabryce albo w kopalniach węgla, Kate sama zajęła się edukacją synów, łącząc dyscypliny, ucząc na równi tego, co zmyślane, i tego, co konieczne, wprowadzając wiedzę o złych duchach i kilka pojęć z algebry. Na szczęście dzięki Maggie, która – rozdarta między ekstazą i jasnością umysłu – powoli wróciła do picia, bliźniacy mogli pobierać nauki w pewnej katolickiej instytucji. Ani przez chwilę, z początku zmuszonej do wyrzeczeń, a w końcu pogrążonej w ubóstwie Kate nie przyszło do głowy zwrócenie się o pomoc do łączącej sknerstwo z konwenansami rodziny zmarłego męża lub sprzedanie na jednej ze scen musicalowych Londynu swoich mediumicznych zdolności.

Kiedy Maggie, stęskniona za ojczyzną i ogarnięta wątpliwościami co do swojego powołania, wsiadła na pokład statku do Nowego Jorku, pogrążona w smutku Kate zaczęła po cichu spijać resztki z butelek pozostawionych przez siostrę, między jedną a drugą wizytą w olbrzymim parku Kensal Cemetery na obrzeżach Notting Hill, gdzie wznosiło się – pośród posągów archaniołów i płaczków – mauzoleum rodziny Jenckenów, budowla w kształcie antycznej świątyni. Naprzeciw grobu swojego męża Kate zauważyła samotną mogiłę porośniętą margerytkami. Nazwiska nie dało się odczytać, lecz zachowało się epitafium:

I'd rather hear something to make me laugh⁴⁷.

Rada zza grobu zabrzmiała w jej uszach jak szyderstwo. Pomyślała o bliźniakach i uciekła czym prędzej z cmentarza do swojej dzielnicy, East Endu.

VII

Mens agitat molem⁴⁸

Nowy Jork dymił niczym tysiąc lokomotyw zakopanych w śniegu. Z fabryk i manufaktur, licznych placów budowy, skąd wyrastały ku górze piramidy z cegieł i żelaza – wśród nich emblematyczna konstrukcja w kształcie żurawia portowego przy ujściu rzeki Hudson, przyszła Statua Wolności na granitowym forcie – z promów o stożkowatych lub płaskich dachach, przemierzających rzekę i cieśninę, unosiły się ku niebu obłoki szarej i czarnej pary gęstsze niż mgła w górach. Można by pomyśleć, że to śnieg spływa z nieba nieprzerwaną falą.

O trzeciej po południu dzień, który ledwo co wstał, już powoli gasł. Leah Underhill stała oparta o zagłówek fotela przy oknie – na rogu South Street Seaport – z panoramicznym widokiem na nowy port, redy nadbrzeża i ujście rzeki w stronę Governors Island. Zastanawiała się, czy jej kłopoty ze zdrowiem i inne przeciwności losu zgodzą się na zawieszenie wyroku na okres świąt. Osoba w jej wieku może mogłaby znosić drobne dolegliwości jeszcze przez wiele lat, ale pod warunkiem że nie będzie nieustannie dręczona przeróżnymi niedogodnościami. „Za serio na świat patrzysz, kto się nazbyt troszczy o niego, ten go sobie zraża”⁴⁹ – usłyszała niedawno w Standard Theatre na premierze *Kupca weneckiego*. Uważała, że od kiedy oddała się sprawie spirytyzmu, przypadły jej w udziale całe tony zmartwień za sprawą jarmarcznych kuglarzy, hipnotyzerów, iluzjonistów, sprzedawców mikstur i innych nieuczciwych konkurentów, przybyłych zwartym szeregiem, by przeinaczyć wiadomości z zaświatów. Na całym terytorium Stanów Zjednoczonych organizowano kongresy mediumiczne w namiotach cyrkowych, kościołach i salach balowych, nie zapraszając jej wcale. George P. Colby, gdzieś na Florydzie, ogłosił się urbi et orbi prorokiem spirytyzmu. Anglikański kaznodzieja William Stainton Moses – mistrz w dziedzinie głębokiego transu – twierdził, że pod dyktando spisał warunki życia w zaświatach. Emma Hardinge Britten wierzyła, że zna wszystkie szczegóły dotyczące wydarzeń i cudów, za które odpowiadają bezcieleśni. A co powiedzieć o tej Eusapii Palladino, która wy dostała się ze swojego *perispirit* całkiem bez rozumu? Albo o nadętej Frickie Wonder, która takdoskonale potrafiła piersią i biodrem przykuwać uwagę uniwersyteckich

starców w najgorszych burdelach, albo jeszcze o tym bufonie Williamie Mac Orpheusie, jednej z głównych gwiazd nowego cyrku Barnum z trzema estradami! Lista obłudników i przeniewierców wypełniłaby almanach! Nie do pojęcia! Leah czuła się zbyt stara i zbyt często oszukiwana, by próbować odróżnić plewy od ziaren. Nie dbała już o to zresztą, gdyż jako jedyna zbierała laury. Modern spiritualism był wyłącznie jej dziełem, nikt nie mógł temu zaprzeczyć, a już na pewno nie jej młodzi, apatyczni i kapryśni wspólnicy. Niczym Jan Chrzciciel dała impuls nowej religii, która dziś szerzyła się w całym świecie, sprawiając, że tłumy doznawały objawienia. Dzięki niej wszyscy zmarli byli Łazarzami gotowymi odezwać się i potwierdzić swą obecność. Runął mur między światami żywych i duchów. Wspierała również wyzwolenie kobiet, białych i czarnych niewolnic, oferując im twierdzę duchową nie do zdobycia przez większość mężczyzn zadufanych w swojej brutalnej sile.

Jej boleści łagodniały na widok śniegu. Owa wełnista, niemal niezauważalna powolność, którą tak lubi otulać się dusza, musiała być właściwością aniołów. Mimo to w głowie Leah siedział niejeden demon. Udziały w fortunie Underhillów i akcje kolejowe przynosiły jej wystarczająco dużo, by mogła spędzić w Nowym Jorku jeszcze wiele istnień – gdyby Bóg postanowił wynagrodzić jej trudy – nie musząc już wygłaszać przemówień podczas konferencji. Spirytualizm od spirytyzmu różniła zaledwie jedna sylaba, często beztronsko podmieniana przez „trzecie objawienie Boga”.

Leah wiedziała, że gotowa jest znieść wszystko: linczujących, sceptyków, naukowców niezdolnych przyznać, iż nie ma cudu bez wiary, tuziny szarlatanów, a na koniec i spirytyzm, który podkradał jej znalezisko, podobnie jak prześladowca Paweł z Tarsu przypisał sobie słowa powracającego na ziemię Jezusa. Zbyt już posunięta w latach, by przejść do ofensywy, mogłaby się cieszyć emeryturą, gdyby tylko wróg trzymał się na dystans. Ten jednak stroił miny, stojąc w progu od czasu powrotu jej sióstr. Pozbawiona dochodów, wciąż rozdarta między pijaństwem a szaleństwem, zmuszana przez nieuczciwego impresaria Margaret za kilka dolarów dawała groteskowe występy w salach koncertowych, mając za jedyną ambicję oczernienie jej, Leah Underhill, która w wieku siedemdziesięciu pięciu lat jako jedyna dźwigała dziedzictwo Hydesville. A żałosna Kate, która tej jesieni wysiadła na brzeg w Nowym Jorku ze swoimi jędzowatymi bliźniakami, dała prawdziwy pokaz postępującej degeneracji. Swojemu doradcy, skutecznemu i w naturalny sposób pełnemu szacunku dla

konwenansów człowiekowi, powierzyła złożenie wniosku do wymiaru sprawiedliwości, by uciszyć skandalistki. O ile nie udało mu się umieścić pierwszej w zakładzie psychiatrycznym, o tyle procedura odebrania dzieci drugiej pod zarzutem zaniedbania i znęcania się psychicznego była na dobrej drodze.

Ból głowy i pleców skłonił Leah do opuszczenia okna i powrotu do sypialni. Jej dwa bolończyki, Horace i Wildy, wskoczyły na łóżko, kiedy tylko się położyła. Domagając się pieśczoł, merdały ogonkami. Rozczulona, wsunęła chude palce w białą wełnistą sierść.

– Moje kochane – powiedziała, czując, że powieki coraz bardziej jej ciężą. – Wy nigdy nie zrobiłybyście przykrości waszej mamusi, wy...

Sen przypominał łagodną śmierć, bez cierpienia i zakłócających wizji. Z czasem Leah naprawdę uwierzyła w istnienie duchów. Najwięcej ich pojawiało się w ulotnych marzeniach sennych. Kobieta interesów cierpi znacznie bardziej z powodu beczynności i samotności, a jej pupile nic nie mogą na to poradzić. Jej pamięć chłostały fale wspomnień z młodości w Rapstown. Urodzona wśród rasy przeznaczonej ziemi i stajniom, zdołała się zbuntować, gotowa na wszystko, by upodobnić się do dam z komitetów działalności dobroczynnej przybywających z miasta. Spędzała całe noce nad książkami pożyczonymi od pastora, uczyła młode, wykształcone dziewczęta, byleby tylko uzyskać wstęp na salony. Jej pierwszą ambicją wieku dojrzewania było nauczenie się gry na pianinie. Bogaci hodowcy dekorowali z dumą swoje rancza instrumentami. A pastor cieszył się, że ma do dyspozycji młodą osobę, która tchnie życie w przerośnięte organy podarowane kościołowi przez kongregację.

Gdy świadomość, asymetryczna jak rytm jej serca, zanurzała się we śnie, najstarsza z sióstr Fox odniosła wrażenie, że splądrowano starannie uporządkowane półki jej wspomnień. Obrazy z życia zlewały się z sobą bez żadnego związku, sprowadzając wielki ocean światła do potrzeby oddania moczu lub stapiając twarze zmarłych i żywych, jakby były zrobione z ciasta. Ona sama płonęła, niczym czarownica na stosie, gdzie każdy język ognia odpowiadał jednemu dniowi jej życia. „Igra pani z niebezpiecznymi siłami” – szeptał jej w twarz starzec z kompasem i sekstantem, zdzierając przy tym z siebie płaty skóry, które wyrzucone w górę, odlatywały z ptasim skrzekiem. Jak uciec przed kostnicą snów? Głowy, członki i kadłuby ciał zdjętych ze stołów do sekcji zwłok tańczyły wokół niej groteskową sarabandę samobójców, topielców i morderców. Odziani w skóry galijscy przodkowie nadbiegali teraz ze wszystkich stron, by podkraść jej biedną

bieliznę starej kobiety. Czyż tysiąclecia w zaświatach nie mają tej samej wartości co jedna chwila? Z ucha wyskoczyła jej purpurowa papuga i przepędziła duchy, po czym wbiła w nią dziób – demoniczne ptaszysko – nie przestając ogłuszać jej słowami *mens agitat molem*. Nawet martwa – wydawało jej się, że słyszy swoje myśli – musiałyby włożyć wiele sił w zrozumienie tego fenomenu.

Opary rozwiały się w końcu. Powstała z grobu, z umysłem w rozsypce, Leah Underhill wydała z siebie głuchy jęk, który przeraził pieski. Usiadła. Każde kolejne tyknięcie zegara na ścianie sprawiało, że czuła się pewniej. Po chwili wstała i pokuśtykała w stronę okna w salonie, trzymając się za biodra. Śnieg obrysowywał zebra i podpory mostu Brooklyńskiego. Ledwo można było dostrzec wzniesienia po drugiej stronie cieśniny, a wyspy przy ujściu rzeki znikły w półmroku. Nie w pełni dobudzona, pocierała długo głowę, jak gdyby chciała usunąć resztki snu, po czym wzięła ze stolika srebrny dzwoneczek.

Niecierpliwie potrząsnęła nim kilkakrotnie. Stwierdziła, że na nic się jej zdała drzemka w środku dnia. Irytował ją świst w lewym uchu, a jeszcze bardziej nieuniknione spóźnienie na spotkanie w Kręgu Spirytualistycznym przy Union Square, gdzie podejmowano pacyfistycznego pułkownika Henry’ego Steela Olcotta i pana Williama Quana Judge’a, członków założycieli Towarzystwa Teozoficznego. Tępili oni na swoim terenie źródło ich inspiracji, niejaką Helenę Bławatską, również pretendującą do tytułu medium. I chwalała im za to! Było rzeczą oczywistą, że idea spirytualistyczna, zamiast występować z brzegów, powinna dawać przykład zdrowemu ekumenizmowi.

Leah przywołała wreszcie wielce zasmuconą służącą z Wirginii, z głową w papilotach.

– Zdążyłabym umrzeć ze sto razy – rzuciła jej z fałszywym spokojem.

– Dała mi pani wolne popołudnie...

– Nawet gdyby to były trzy dni albo cały miesiąc, trzeba mimo wszystko stawiać się, kiedy dzwonię!

Rude włosy i wytrzeszczone oczy pracownicy przywiodły jej na myśl purpurową papugę z sennego koszmaru. Leah znieruchomiała, podejrzliwa.

– *Mens agitat molem!* – zawołała. – *Mens agitat molem?* Co to może znaczyć?

VIII

Trzy listy dla jednej zdrady

Nie licząc zamieci ochrzczonej imieniem Great White Hurricane, która w połowie marca na wiele dni unieruchomiła północną część Stanów Zjednoczonych i Kanadę pod grubą czapą śniegu, pochłonęła setki ofiar i zastygła tonami lodu na mostach i drogach kolejowych, dziennikarze „New-York Tribune” prowadzący kronikę wypadków nie trafiali na zbyt wiele smacznych kąsków. To właśnie mówił sobie stary Oilstone – sympatyczne przezwisko nadała mu redakcja, odkąd dotknęła go całkowita łysina – napychając się wędlinami w Katz’s Delicatessen, nowym bistro przy Lower East Side, kiedy nagle wydało mu się, że rozpoznaje pewną twarz nad kuflem piwa. Jego zawód wyuczył go wyławiać każdą znaną twarz, nawet zniekształconą upływem czasu. Codzienne obcowanie z fotografiami prasowymi przyzwyczajało oko do metamorfoz: trzeba było zachować w głowie portret piękności, która niszczy. Ta stara pijaczka o obrzmiałej twarzy, z workami pod oczami i rozczochranymi włosami musiała niechybnie być jedną z sióstr Fox. Swego czasu przeprowadził z nimi wywiad w Barnum Museum. Jeśli nie liczyć matki Underhill, papieżycy dewotów od mówiącego stolika, należących do starej szkoły, która w Nowym Jorku zyskała rangę swoistej instytucji, wszyscy zapomnieli już o siostrach Fox i ich sztuczki z palcami u nóg. Nowość była jedynym obowiązującym hasłem w Nowym Jorku. Trzeba było iść z postępem, być modnym, *up-to-date*. Stary Oilstone, który miał prawdziwego nosa, bez trudu odgadł, ile korzyści mógłby wyciągnąć z tego upiora. Dla dziennikarza płatnego od wiersza rozpracowanie upadłej sławy w sezonie ogórkowym było po prostu koniecznością. Skandal zawsze popłaca, gdy brakuje cudu. Można wracać do przeszłości tylko pod warunkiem, że wiadomość będzie sensacją.

Stary dziennikarz zamówił jeszcze jeden kufel dla Margaret, która przez chwilę sądziła, że wzięto ją za prostytutkę.

– Czy przypadkiem nie Kate Fox? Albo raczej jej siostra? – wyszeptał z udawanym zapałem.

Fakt, że została prawie rozpoznana, może by jej zaimponował, gdyby w lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie nie dojrzała maski świadczącej

o klęsce. Bez oporu zgodziła się odpowiedzieć na pytania, przywołując na usta zgorzknienie ostatnich lat. Upojenie alkoholowe sprawiło, że dała się wciągnąć w grę i nie oszczędziła żadnego szczegółu staremu Oilstone'owi, który kilkakrotnie złamał grafit na notatniku.

„O tak zwanym współczesnym spirytualizmie opowiem panu niejedno. Z początku, kiedy cała ta sprawa się zaczęła, Katie i ja byliśmy dziećmi, a nasza najstarsza siostra, stara już obecnie kobieta, strasznie nas wykorzystwała. Natomiast nasza mamusia miała czyste serce i wierzyła w te rzeczy. Leah to inna para kaloszy. Prostytuowała nas bez skrępowań. Wszystkie zyski szły do jej kieszeni...”.

Kilka dni później jej słowa, przeredagowane na poprawną angielszczyznę, ukazały się na pierwszej stronie „New-York Tribune”. Margaret, która nie wzięła na poważnie przypadkowego spotkania z rzekomym dziennikarzem, zobaczyła artykuł w innym barze przy Lower East Side, rozłożywszy egzemplarz udostępniony do publicznej lektury. Z początku oniemiała, w końcu jednak wzruszyła ramionami i odczytała datę publikacji ponad informacją o nakładzie. Obudziła się w niej podejrzliwość: czyż nie nawróciła się również dwudziestego czwartego września? Wciąż wierna wierze katolickiej, Margaret ujrzała w cyfrach roku kolejny symbol: tysiąc osiemset osiemdziesiąty ósmy – boska jedność wsparta na trzech nieskończonościach Trójcy!

Spodobała jej się wizja zamieszania, jakie wywiad ten wywoła w środowiskach spirytystów i spirytualistów – świat przypomni sobie o niej. Bez trudu wyobrażała sobie wściekłość Leah. Jednak długi list, jaki od niej otrzymała kilka dni później, wcale o tym nie świadczył. Na pięciu stronach siostra napominała ją, opisywała niełaskę, w jaką Margaret się wpędziła, i utyskiwała na wstyd, jaki przyniosła rodzinie, zapewniała ją też, iż przy kolejnym wybryku wytoczy jej proces. Papeteria miała pięknie wydrukowany nagłówek z nazwiskiem Leah Fox-Underhill, a litery skreślone niebieskim atramentem odznaczały się dopracowanym kształtem. Margaret zmięła kartki w kulki i wrzuciła je do ognia.

W umeblowanym pokoju w Lower East Side albo Greenwich Village, bez innego bagażu prócz skrzyni, w której trzymała swój strój sceniczny i kilka przyborów, Margaret popadła w ponurą anonimowość. Jej kapryśna wypowiedź wcale nie nadwyrężyła reputacji Leah, która wykorzystwała swoje możliwości i poprosiła najlepsze pióra kultu spirytualistycznego o obronę jej honoru. Zręcznie wykorzystana obelga może się stać trampoliną do rozgłosu.

Bardziej niż kiedykolwiek pozostawiona na pastwę losu, Margaret rozważała powrót do hrabstwa Monroe, gdzie – jak pamiętała – pozostawiła kilku znajomych należących jeszcze do tego świata, z których niektórzy być może udzieliliby jej pomocy. Miasto położone na uboczu, takie jak Rochester, chlubi się tym, czym znudziły się już Londyn i Nowy Jork.

Margaret rozważała coraz poważniej zakup biletu w jedną stronę z dworca Central Station, kiedy dwa listy dostarczone jej tego samego dnia odwiodły ją od tego zamiaru. Jeden przytłoczył ją smutkiem i złością, drugi podarował środki na wymierzenie boskiej sprawiedliwości, którą zwie się zemstą. Pierwszy napisała Kate, która w swej rozpaczy nie pozostawiła adresu zwrotnego. Leah zdołała więc osiągnąć swój cel. Na podstawie jej oskarżeń Katie została zatrzymana pod zarzutem włóczęgostwa, gdy wraz z synami, obładowana bagażami, poszukiwała nowego lokum. Odebrano jej prawo do opieki nad dziećmi. Mimo wszelkich możliwych odwołań i błagania przed sądem i gubernatorem decyzja się uprawomocniła. Bliźniacy, umieszczeni w sierocińcu Saint-Vincent-de-Paul, domagali się matki równie mocno jak ona ich. Sąd przydzielił jednak opiekę nad Arcadym i Johnem Eliasem angielskiej rodzinie ze strony ojca. Wuj Herbert czym prędzej zabrał ich na pokład statku należącego do Generalnej Kompanii Transatlantyckiej. Na to składała się cała zawartość jej listu. Kate dodała jeszcze, jakby wynurzając się na chwilę z zatapiających ją fal: „Maggie, obroń mnie! *Help me! I cannot survive without my angels*”. Drugi list Margaret otworzyła drżącymi rękoma i przeczytała przez zasłonę łez:

„Droga Margaret Fox-Kane,

jakiś czas temu, z zaskoczeniem i satysfakcją, przeczytałem Pani deklarację w «New-York Tribune». Ma Pani całkowitą rację, wyjaśniając zaistniały stan rzeczy. Leah Fox-Underhill wyrządziła Pani oraz młodszej siostrze skandaliczną krzywdę. Uznałem, iż mogłaby Pani kuć żelazo póki gorące i zyskać na tym. Czemu by nie zorganizować demonstracji publicznej w Nowym Jorku? Wpadłem na ten pomysł i stwierdziłem, że moglibyśmy oboje zarobić sporo pieniędzy, wynajmując największą salę w mieście, tę w Akademii Muzycznej. Użycie odpowiednich sloganów «Powrót sióstr Fox» albo «Margaret Fox ujawnia oszustwo» gwarantuje nam zarobek dobrych dwóch tysięcy dolarów. Podejmę się – na dotychczasowych zasadach – zorganizowania występu, jego promocji i zapewnienia mu sukcesu.

Proszę pamiętać, droga Margaret, jakim oddanym agentem byłem dla Pani przez wiele lat.

Franck Strechen”

Do listu dołączona była kartka z hotelu w Brooklynie, na której podkreślono numer telefonu. Jeszcze tego samego dnia Margaret skontaktowała się z impresariem i postanowiwszy zniszczyć wpływy Leah Underhill, ustaliła z nim główny zarys przedsięwzięcia, nie wchodząc w szczegóły. Strechen chciał widowiska, czegoś mściwego i krwawego.

Przez kilka tygodni poprzedzających wydarzenie Margaret myślała tylko o jednym: jak odnaleźć Katie. Na próżno wypytywała o nią w okazałych posiadłościach dawnych znajomych: finansistów i kupców rozmiłowanych w tym, co tajemnicze. Wpuszczano ją jednak tylko do holów. W przyływie rozpacz, gdy odmówiono jej wstępu do mieszkania, które wynajmowała przy Cotton Street, upokorzyła się, błagając o pomoc Leah w siedzibie Kręgu Spirytualistycznego przy Union Square. Wyrzucono ją stamtąd bez ceregieli po tym, jak siostra bez skutku usiłowała namówić ją do wyznania win i zbrodni. „Prędzej zdechnę!” – odparła. Obecni adepci wynieśli ją jak worek ziemniaków, odprowadzeni lodowatym spojrzeniem Leah. Tego dnia, przezuwając swoją nienawiść, wędrowała wiele godzin w czerwcowym słońcu, szukając Kate – między powierzchnią morza i wzgórzami Central Parku. Na jednym z zakrętów drogi, w bezlitosnym blasku słońca, pewien kaznodzieja przepowiadający koniec świata perorował, mając tylko siebie za całą widownię:

– Oto stoję przy drzwiach i pukam: jeśli ktoś usłyszy mój głos i otworzy drzwi, wejdę do niego, jak przyjaciel do przyjaciela.

O to właśnie chodzi, pomyślała, „jeśli ktoś usłyszy mój głos”, ale nikt jej nie odpowiadał ani z nieba, ani z ziemi.

Zbliżał się sierpień, rozpoczął się okres gwałtownych burz, którym towarzyszyły ulewne deszcze, co jednak ani o stopień nie zmniejszyło tropikalnego upału. Pod niezbyt korzystnym portretem nowojorskie gazety zapowiadały, komentując złośliwie lub z zakłopotaniem, niezwykle występ Margaret Fox w wielkim audytorium Akademii Muzycznej. Nie wypuszczając ani na chwilę z dłoni sztyletu swej złości, Margaret czuła narastającą panikę. To, że raz czy drugi rozpoznano ją na ulicy, przeraziło ją, jak zapowiedź klątwy. W swych wędrowkach z jednej dzielnicy do drugiej wytchnienie znajdowała tylko pod szyldem gospody: absynt – lub jakikolwiek inny alkohol – opłacony z dwustudolarowej zaliczki na poczet gazy ożywiał umierającą część jej samej. Musiała karmić ów ogień dniem i nocą, nie tracąc nad nim kontroli, by wreszcie jednak oddać się niewidzialnemu na kilka brutalnych godzin, podczas których targały ją woskowe demony. Piekło obiecane rozpustnikom przyjęło ją na czas

okrutnego preludium, z którego wyrywała się dwadzieścia razy we śnie – wydawało jej się, że biegnie za lunaticzką podobną do błędnego ognika. Gdy otworzyła szeroko oczy, krzycząc bezgłośnie w kamiennej ciszy, wydawało jej się, że woła o pomoc. Nikt jednak jej nie odpowiadał.

Wreszcie obudziła się i usłyszała znajomy, cichy głosik:

O the good times are all dead and gone

Singin' hi-diddle-i-diddle

Still I love you dear, my whole life long

Singin' hi-diddle-i-diddle⁵⁰.

IX

Poltergeist w Akademii Muzycznej

Tłum jest tylko swego rodzaju malstromem opinii, otwartą paszczą głodną dusz, wirem. Gdzie tylko wyłoni się przypadkowy lewiatan – cykloniczny smok, burzowy wąż – tam znika wszelki ślad po altruizmie czy zwykłej litości. Można tylko spuścić nisko głowę i liczyć na rychły powrót zwyczajnego chaosu.

W wielkiej sali Akademii Muzycznej Nowego Jorku przepychanki na schodach i w holach niepokoiły służby porządkowe instytucji, przyzwyczajone do grzecznego dreptania melomanów. Za kulisami, zajęty szacowaniem na oko liczby przybyłych głów w kapeluszach lub bez, Franck Strechen zacierał dłonie. Miał przed sobą publiczność jak na życzenie, chociaż nie liczył za bardzo na przyszłe dochody ze względu na stan wyniszczenia swojej współniczki. W tej chwili przynajmniej była trzeźwa i pozwalała nałożyć sobie makijaż, gotowa – wydawałoby się – dać pokaz sztuczek mediumicznych zgodnie z obowiązującymi zasadami. Sądząc po akcesoriach scenicznych Margaret Fox-Kane, można było się spodziewać klasycznych konwersacji ze stołem, doświadczeń z pismem bezpośrednim na odległość i z mówiącą tabliczką ouija przy użyciu odwróconych szklanek, kilku ćwiczeń lewitacji na jednym punkcie podparcia, częściowej materializacji poprzez zagęszczenie ciała astralnego oraz, być może, darów z zaświatów, bukietu kwiatów lub starej Biblii. W modzie były obecnie szafy i cudowne zniknięcia. Strechen niepokoił się tylko o skutki transu na jej osłabiony umysł, nigdy bowiem nie wątpił w ogromny potencjał nerwowy, jaki Margaret wkładała w sztuczki kuglarskie i ucieleśnianie duchów.

Wciąż ukryty za kurtyną, przyglądał się uważnie pierwszym rzędom: prawdziwa śmietanka! Przybyło całe środowisko spirytystyczne Nowego Jorku. Rozpoznał wśród mniej lub bardziej zasłużonych sław nieprzewidywalnego Williama Mac Orpheusa, Thomasa Jaya Hudsona za jego sumiastymi wąsami, jasno słyszące media z prowincji, chrystusowych magnetyzerów niebezpieczniejszych niż Meduza, całe mnóstwo sługusów organizacji spirytualistycznych oraz najwierniejszego sprawie Andrew Jacksona Davisa we własnej osobie. Twarze żółte, białe i czarne kłębiły się hałaśliwie w głębi sali. Naiwna masa o niekontrolowanych instynktach,

ciekawiska gawiedź – osobliwi amatorzy, opętani przez przekonania, entuzjastyczni profani – w razie porażki ich należało najbardziej się obawiać.

Oczekiwano widowiska, to pewne, lecz kuszące ogłoszenie czyniło wydarzenie jeszcze bardziej atrakcyjnym:

*Modern Spiritualism
exposed for the first time
by one of the Fox Sisters.*

Drżenie kurtyny nie umknęło uwadze jednej osoby na widowni, wciśniętej między dwie gromady ludzi na miejsce za dwa dolary. Tak szczupła, że aż nierozpoznawalna, Kate Fox-Jencken ukrywała się niepotrzebnie i wbrew duchocie pod kapeluszem z dużym rondem i licznymi żałobnymi woalkami. Kilka godzin wcześniej wystawała przy kulisach, kasach i wyjściach ewakuacyjnych, usiłując złapać siostrę i błagać ją, by nie narażała się na tak wielkie niebezpieczeństwo. Negatywne energie, które siostry musiały wypuścić z zamknięcia podczas seansów w obecności tłumów, skumulowały się teraz, ciągnąc je ku niechybnej zgubie. Kate była o tym przekonana od czasu rabunku, jakiego dopuścił się na niej wymiar sprawiedliwości; przez jakiś czas buntowała się i walczyła, teraz jednak ukrywała się w cieniu. Musiała się chronić przed wszechogarniającym spiskiem. Jej drobne manie z okresu Hydesville, których tory Leah na jakiś czas zmieniła, rozrosły się teraz do szalonych rozmiarów – wyciągały zmarłych z cmentarzy, przymuszały tysiące niewolników do swojego kultu. Wkrótce cienie zaleją żywych. To, co może się zdarzyć, przekracza najśmielsze wyobrażenia.

Odziana w ciemną suknię, z włosami rozdzielonymi równym przedziałkiem, blada Margaret przywitała zebranych po krótkiej zapowiedzi prezentera: należało zachować religijną ciszę, która sprzyja pokazom. Na scenie, gdzie zrekonstruowano jej gabinet mediumiczny, wywołała na początek zamierzone efekty: stukotanie i przeróżne hałasy, przemieszczenie przedmiotów, samoistne spalenie kartki zapisanej pismem bezpośrednim i zamkniętej w opieczętowanej skrzyneczce. Przez chwilę wydawało się, że daje się wciągnąć zabawie w spirytualny telegraf – marszcząc brwi, wzywała Benjamina Franklina i Abrahama Lincolna. Następnie stanęła na wprost zachwyconej publiczności i zapowiedziała drugą, wyjątkową odsłonę swojego występu.

Ku ogólnemu zdziwieniu oświadczyła bardzo spokojnie:

– Spirytualizm od początku do samego końca jest oszustwem. To

największe szalbierstwo naszego stulecia. Kate Fox i ja zostałyśmy wciągnięte w ten ruch jeszcze jako małe dziewczynki, byłyśmy zbyt młode i zbyt niewinne, by zrozumieć, w co tak naprawdę się bawimy. Obie zostałyśmy zepchnięte na ścieżkę obłudy przez pozbawionych skrupułów dorosłych.

– Hańba! Ona oszalała! – wołano już z pierwszych rzędów.

Zanim harmider i krzyki zdążyły ją zniechęcić, Margaret powróciła do swojego gabinetu i zabrała się do prezentowania każdej ze swoich sztuczek od podszewki. Na oczach zebranych dokonywała dekonstrukcji kuglarskich iluzji. Następnie wyjawiała swoją metodę stukania, pokazując skrzynię rezonansową zainstalowaną pod stopami i liczne klawisze pod blatem stolika. Postępowała z niezwykłą determinacją, jakby znajdowała się na miejscu zbrodni podczas rekonstrukcji zdarzeń. Zwolnione ruchy i niesłychana ekspresyjność jej fizjonomii zastąpiły paranormalne manifestacje z siłą, która mogłaby się wydać cudem sama w sobie. Wśród oszołomionych widzów zapanowała grobowa cisza. Nie było już nic do oglądania. Teatr sióstr Fox został raz na zawsze zniszczony. „To szaleństwo, istne samobójstwo” – szeptano tu i ówdzie. Co ciekawe, tłum opuścił Akademię Muzyczną w milczeniu, jakby uczestniczył właśnie w uroczystości pogrzebowej.

Na zewnątrz, na mrocznym placu, wśród roztańczonych niebieskich płomyków latarni gazowych, ludzie rozchodzili się ze spuszczoneymi głowami, nie patrząc sobie w oczy, jedni w stronę publicznych środków transportu, inni, niecierpliwi mimo ciepłego wieczoru, czekali na swoje powozy stojące w niekończącym się ciągu. Pewien starszy człowiek o szerokich ramionach, który lekkie kuśtykanie tłumaczył słabością biodra, zdawał się szukać kogoś spojrzeniem, aż wreszcie uniósł rękę na widok oddalającej się postaci i ruszył żywszym krokiem w jej stronę. Kate skrzywiła w wąską, źle oświetloną ulicę, kiedy mężczyzna w końcu się z nią zrównał.

– Ależ pani biegnie, proszę poczekać! – powiedział. – Proszę się nie bać, zauważyłem panią na schodach w Akademii Muzycznej, proszę poczekać!

Jako że mroczny cień nie zwolnił kroku, William Pill alias Mac Orpheus zastąpił mu drogę. Przyglądał się kobiecie kilka chwil, zbulwersowany widokiem pokrytej zmarszczkami twarzy dziewczynki z Hydesville.

– Dobrze się kiedyś znaliśmy – powiedział. – Pamięta pani?

– Tak, tak... – wyszeptowała Kate – ale proszę mnie zostawić.

– Dlaczego pani siostra to zrobiła? Czy pani wie?

– Nie mam pojęcia, to jej sprawa, niech mi pan pozwolić przejść...

Usunął się w bok, ale nadal szedł przy niej, kulejąc. Kate sprawiała wrażenie, jakby niemal nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Przypominała wychudzonego elfa ukrytego za woalkami, odciętego od rzeczywistości, żyjącego w równoległym świecie, gdzie wszystko wygląda tak samo, choć wykonane jest z zupełnie innej materii.

Minęli kilku włóczęgów, zaciekawione dziewczyny palące papierosy przy witrynach sklepowych, pijaków zmagających się z demonami. Zdyszany William Pill zastanawiał się nad fenomenem tej wątlej kobietki, której – mimo że mało się znali – zawdzięczał swój sukces. Dzięki niej stał się na tyle bogaty, by żyć uczciwie – z własnego punktu widzenia, spotkał też swojego anioła, niestałą w uczuciach ukochaną, uczoną kobietę, która zaszyła się ze skrzynią książek w Rochester.

– Czy ktoś panią kochał, Kate? – nie mógł się oprzeć zapytaniu, ogarnięty nieopanowanym, starczym wzruszeniem.

Ponieważ nadal milczała, ujął ją delikatnie pod rękę i nachylił się do jej ucha.

– Oczywiście, że panią kochano, była to wręcz wielka namiętność. Podczas wojny domowej, pod Chancellorsville, pewien mężczyzna, którego znała pani dobrze swego czasu, poprosił mnie przed śmiercią, bym przekazał pani jego jedyny skarb. To indiański naszyjnik, noszę go przy sobie od ponad dwudziestu lat z nadzieją, że pewnego dnia będzie mi dane go pani przekazać.

– Mężczyzna? – spytała Kate.

– Alexander Cruik, kaznodzieja – wyjaśnił Pill, rozsupłując węzeł naszyjnika. – Ten amulet przyniesie pani szczęście. Zawiera pępowinę pewnego wodza Siuksów zabitego w walce.

Ściskając naszyjnik w dłoni, Kate patrzyła w ślad za chybotliwym cieniem drugoplanowego aktora jej życia, który na chwilę wyłonił się z otchłani, by następnie – po odprowadzeniu jej przed drzwi hotelu, w którym udała, że mieszka – powrócić w głąb zapomnienia, tam gdzie trafiali wszyscy ci, których kiedykolwiek spotkała na tej ziemi. Ruszyła dalej w stronę rzeki Hudson. Żadnemu z licznych nocnych spacerowiczów nie przyszło do głowy ją zaczepić. Otworzyła dłoń z amuletem, który w jednej chwili porwał z jej ręki mały ulicznik. Mając przed sobą migoczące na wodzie konstelacje rzucane przez rozświetlony prom, który kierował się w stronę ujścia rzeki, rozplątała woalki i zdjęła kapelusz, by zasmakować wiatru od pełnego morza.

Dwóch marynarzy przeszło nadbrzeżem, nie zwróciwszy na nią uwagi.

Pijani na umór, wywrzaskiwali na cały głos niezrozumiałą piosnkę:

Adieu fula', żegnaj mada'

Adieu guenda, żegnaj skarbu'

Mój ptaś odleci

Niestety, niestety, nigdy nie wróci.

X

Z gratulacjami od pana Splitfoota

Kilka lat później deszcze obmyły ludzką pamięć, a wzmianka o śmierci Leah Fox-Underhill pewnej zimowej nocy tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku zajęła mniej miejsca w kronikach niż straszliwa męka Williama Kemmlera, pierwszego skazańca, na którym wykonano wyrok śmierci na krześle elektrycznym dzięki zasługom Thomasa Edisona, zatrzymanie i zabójstwo wodza Siuksów Siedzącego Byka, masakry nad Wounded Knee i w Pine Ridge, gdzie nie oszczędzono ani kobiet, ani dzieci, ustanowienie nowych praw dotyczących segregacji w Missisipi i w stanach południowych czy też inauguracja New York World Building, najwyższego budynku na Manhattanie. Spirytyzm, bezkompromisowa religia, która bez uciekania się do pojęć piekła i czyśćca zapewniała każdemu zbawienie dzięki reinkarnacji i wędrówce dusz w stronę niebieskiego światła, zajął na całym świecie miejsce nowoczesnego spirytualizmu i jego awatarów. Nie przeszkadzało to jednak fanfaronom, fanatykom i aferzystom handlować z pospółstwem bez wyobraźni, które nigdy nie potrafiło się obchodzić z tym, co nieznanne.

Masy imigrantów wciąż napływały z Europy i Azji. Do katolików z Irlandii dołączyli ci z Polski i Włoch. Niemcy uciekający przed cholera i *Weltpolitik*, Chińczycy taoiści lub buddyści z Fujian i Guangdong, Żydzi z Imperium Rosyjskiego, ocaleni z pogromów, lądowali nieprzerwanie tysiącami na Ellis Island i na pontonach East River. Jedni i drudzy wałęsali się niczym rekonwalescenci na wygnaniu, zagubieni pod podobnym do poprzedniego niebem, zmieniając nostalgię w szaloną nadzieję. W tym fermentującym mrowisku osobno trzymali się ciężko pracujący, osobno zuchwali mieszczanie i handlarze, dygnitarze i mafiosi, a osobno podeksycytowani i obłąkani dewoci. Wszyscy jednak działali na ślepo, zawiązując przeróżne układy, zgodnie z prawem lub poza nim, tworząc wielki tygiel.

Na uboczu tego światka, żyjąc z żebractwa i tajemniczych darowizn, sypiając to tu, to tam: w schroniskach dla ubogich, w tanich hotelach lub na polowym łóżku za dolara czy dwa za noc, pod gołym niebem lub wśród wysokich murów budowli, Kate Fox zdołała zachować godny wygląd: czyste

buty, schludną fryzurę – pozwalała czesać się życzliwym prostytutkom – oraz nienaganny strój dzięki pomocy, jakiej udzielała w pralni schroniska ewangelickiego. Widziała się z Margaret tylko raz od dnia jej katastrofalnego występu w Akademii Muzycznej. Obie, ogarnięte wyrzutami sumienia na wieść o chorobie Leah, podjęły próbę otrzymania jej przebaczenia. Chwilę później, pijąc jedną whisky za drugą i zmuszając siostrę do picia razem z nią, Margaret uniosła się i zaczęła przeklinać w najlepsze najstarszą siostrę, która zamierzała wyzionąć ducha bez pogodzenia się z nimi. Niedługo potem siostry rozdzieliły się, zobojętniałe w swoim pijaństwie, a tygodnie i pory roku mijały dla nich niczym chmury przeganiane przez wiatr.

Kate, włóczęga, czuła się u siebie na zakrętach dróg. Nie zdawała już sobie sprawy ze swojej tułaczki od pałacu z liści, rozświetlonego okrągłym księżycem, do świątyni baru, z którego wytaczała się całkiem pijana. W zagubieniu wszystko wreszcie nabierało sensu, na zawsze, na zawsze, na zawsze! Rzeczywistość była piękna, delikatniejsza niż bibułka papierosa między jej przepalonymi płucami a palcami Boga. Dochodziły ją ledwo słyszalne głosy Stwórcy, a w głowie kłębiły się nieskończone doskonałe figury geometryczne. Czasami śmiała się do siebie, przenikana przez potok twarzy w tłumie między Piątą Aleją a Harlem River. Kto słyszy Ducha? Wy czy ja?

*O, siostrze w kąpielu, woda jest taka zimna
Że twoje łzy mnie parzą.*

Nieśmiertelny Murzyn wziął ją w ramiona pewnego wieczoru, gdy upadła. Bruk na jej czole pozostawił ślad w kształcie serca. Nie płacz, pani, Bóg o tobie nie zapomni, życie jest gdzie indziej. Podniosła się młoda, jak za czasów Pecquota. Miała jeszcze do pokonania drogę między pałacem z liści a świątynią baru. Alkohol jest jak wieczność. Idę do ciebie, utracony sekrecie, moje włosy są białe.

Pewnej nocy w taniej oberży mężczyzna o dostojnym chodzie nawiedził ją we śnie. Och, Katie, mała czarownico, wkrótce nadejdzie pora, by skończyć z tą komedią.

– Kim jesteś, nie pamiętam już.

– Jestem duchem człowieka, który nie lubił kobiet, a ciebie kochał, gwiazdo ostatniej godziny.

– To pan, Lucianie? Pan również nie żyje?

– Martwy? Żywy? Któż może twierdzić, że po prostu nie śpi?

– Przypominam sobie. Powiedział mi pan, że bym się nie bała.

– Powiedziałem, kiedy pani spała, że zawsze, zawsze, zawsze będę przy pani. Jakie to ma znaczenie, czy dzisiaj, czy jutro, i ci wszyscy spoceni królowie?

– Nie rozumiem.

– Nie możemy się oddalać od ukwieconej drogi.

– Nie rozumiem.

Kate uwielbiała gołębie, które wzbijały się gwałtownie w powietrze, niczym w tańcu z szablami. Całymi dniami przyglądała się w Central Parku bliźniakom innych ludzi – wszystkie dzieci były bliźniętami. Powtarzała sobie, że nie ma silniejszego brzmienia niż pamięć. Jej dzieci bawiły się przy niej, duże, większe od niej, były tu duszą. Po co ważyć duszę i materię? Nie, to nie magia. Chciałaby, żeby Margaret była przy niej, bez złości, w burzliwej bezsenności pełnej widm. Maggie dobrze wiedziała, że ich wszystkie kłamstwa kryją o wiele ważniejszą prawdę, olbrzymią, klęczącą na otoczonym mgłą pagórku późną jesienią w Hydesville...

Jestem twoim smutnym królem

Ostatniego wieczoru kochankiem.

Kiedy pracownicy służby sanitarnej Armii Zbawienia znaleźli ją na ławce z lekką śniegową pierzynką na piersiach, uśmiechała się, jeszcze żywa, i szeptała w kółko słowa, których wolontariusze nie mogli lub nie chcieli zrozumieć. Czy było to „Nie pocieszaj mnie”, czy też „Upadłe życie nie ma schronienia”, a może *We are all wandering spirits?* Na rozchwierutany wózek, w chwili gdy kończyła z całą tą ziemską powłoką i wszystkimi wspomnieniami, Kate zbuntowała się, otwierając szeroko oczy.

– Och! – przestraszyła się. – Dziwny jesteś, panie Splitfoot, że tak siedzisz mi na kolanach.

– Nie ważę zbyt wiele, Katie *darling!*

– Och! Och! Panie Splitfoot, będzie mi pana brakowało!

– O nic się nie martw, Katie, czekam na ciebie pod lekkim całunem.

Na ostrym dyżurze w Bellevue Hospital lekarz dyżurny stwierdził lekceważąco zgon nowo przybyłej i przeżegnał się niedbale.

– Co z nią robimy? – spytał pielęgniarzy.

– Nie ma przy sobie dokumentów, to włóczęga, pewnie jakaś imigrantka ocalała ze szkorbutu albo tyfusu, którą dopadła cholera.

By uniknąć ryzyka epidemii, zwłok nie przekazano do teatru anatomicznego. Oddano je grabarzom, którzy w charakterze zapłaty często otrzymywali tylko złote lub srebrne zęby, a w rzadkich przypadkach nieco skradzionej czułości. Utworzyli stos z wielu innych zwłok w wykopanej fosie

i zalali je palonym wapnem. Czy było to na Woodlawn Cemetery? Wspólny grób – słabe to pocieszenie – jest spełnieniem idealnego społeczeństwa. Poranna rosa obmywa ludzką pamięć.

Kilka miesięcy później, w posępnym upojeniu alkoholowym, Margaret Fox tak mocno śniła o swojej młodszej siostrze, że aż umarła. Jej pokryte wrzodami ciało z powodu braku środków i dokumentów potwierdzających tożsamość również złożono do wspólnego grobu.

Tak się kończy – na tyle precyzyjnie, na ile pozwala mediumiczne stężenie obecne na tych stronach – budująca i wzruszająca historia sióstr Fox.

Nikt nigdy nie będzie medytował ani tańczył nad ich szczątkami. Czy ktokolwiek chyli czoła nad zbiorowym grobem?

Epilog

*Żegnaj, ma Wyobraźni!
Żegnaj, kochana towarzyszeko życia!
Odchodzę już, sam nie wiem dokąd,
Na jaki los, czy ujrzę ciebie jeszcze,
Żegnaj więc, Wyobraźni.
Na koniec pozwól obejrzeć się za siebie⁵¹.*

Walt Whitman

Właściciel panharda-levassora o dwucylindrycznym silniku, zesłany na miejsce pasażera, stwierdził, że Pearl Gascoigne błyskawicznie zasmakowała w szybkiej jeździe. Na trasie prowadzącej z Rochester do Hydesville minęli tylko jeden automobil, auburna przypominającego luksusową kolosę, kilka dorożek i wiejskich wozów. Droga, która była akurat w trakcie asfaltowania, kilkakrotnie przecinała linię kolejową lub ciągnęła się wzdłuż niej, lecz podróżujący ani razu nie zobaczyli lokomotywy.

– Nie zapominaj, że dosiadasz trzydziestu sześciu koni! – upominał zlekniiony William Pill. – Może chcesz oddać mi kierownicę?

– Nie ma mowy! – zaprotestowała Pearl. – To takie upajające...

– Zwolnij przynajmniej. Jedziesz blisko dwadzieścia pięć mil na godzinę po zboczach!

Do celu dotarli wczesnym popołudniem, w zimnych i białych niczym śnieg promieniach słońca. Był jasny kwietniowy dzień, wiatr od wschodu niósł zapach morza. Kilka gatunków drzew owocowych kwitło już, wiosna tego roku nadeszła wyjątkowo wcześnie. Obrzeża Hydesville wydały im się nie do poznania. Poszerzono drogi, oczyszczono stawy, ustawiono słupy elektryczne, zbudowano wieżę ciśnień, kamienne domy i ładny budynek, który musiał być szkołą.

Kiedy automobil dotarł do centrum miejsciny, Pearl pomyliła się, zmieniając bieg, i nieomal rozjechała stadko gęsi na oczach świadków – kóz, świń i psów – które rozbiegły się na boki, gdy tylko usłyszały hałas. Dwa konie przywiązane do ogrodzenia drugstore’u parskały i rżały. Rozradowane dzieciaki nadbiegały ze wszystkich stron, by wreszcie otoczyć samochód kręgiem, kiedy Pill zaciągnął hamulec. Gospodynie, przyciągnięte wrzawą, wychylały się z okien. Z szynku na szeroko rozstawionych nogach, jakby stąpali po pokładzie statku, wyszło kilku bywalców o rozbawionych twarzach.

Pearl zdjęła skórzaną czapkę i ochronne okulary na oczach oszołomionych farmerów, którzy nigdy wcześniej nie widzieli równie ładnej i pewnej siebie starszej damy w botkach z kozłej skóry, o gęstych mlecznobiałych włosach, delikatnie zarysowanej twarzy i niepokojąco jasnych oczach. Postawny starzec, który jej towarzyszył, lekko tylko zgarbiony, w stroju bogatego hodowcy lub dyrektora cyrku, wzbudził u najstarszych niejaką podejrzliwość, choć nie potrafili powiązać go z jakimkolwiek wspomnieniem. Dziadek wsparty na lasce, która okazała się wielce przydatna, gdy wychodził z baru, podszedł do pojazdu z miną mówiącą „To dopiero maszyna!”, po czym spojrział w górę na interesującą

parę z miasta.

– Wydaje mi się, panie – rzekł, unosząc dłoń do czoła. – Mam jakby wrażenie... To znaczy, nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że już się kiedyś widzieliśmy...

– Na pewno! – odparł tamten, zapalając cygaro. – Było to przed Wielką Depresją, strajkami, wynalezieniem samochodu i wojną domową...

– W tamtych czasach byłem stróżem prawa w tej zapadłej dziurze...

– A ja zawodowym graczem, który często tędy przejeżdżał...

– *The Faker!* – wyrzucił z siebie człowiek o lasce. – Czyli to pan, William Pill!

– Jako żywo, marszałku McLeann!

Ten, gdy tylko doszedł do siebie, mrugnął uprzejmie w stronę Pearl, która ze łzami w oczach przyglądała się drewnianym fasadom.

– To pańska dama? – szepnął.

Pill wybuchnął śmiechem i zakłopotany, machnął ręką, po czym wsunął kciuki do kieszonek kamizelki i przybrał poważną minę.

– Dość już wdów i sierot! Ale bądźmy poważni: coś nowego od czasu sporu chłopów z hodowcami?

– No cóż, pola nadal są polami, a whisky wciąż ma ten sam kolor! Pojawiają się turyści, którzy chcą zobaczyć dom sióstr Fox, tam, na wzgórzu. Miastowi zawrócili naszemu merowi w głowie i chce z niego zrobić rodzaj pomnika.

Ogarnięta wzruszeniem Pearl oddaliła się drobnym krokiem w stronę kościoła. Częściowo odremontowany i odmalowany na wzór dawnego, ze swoimi rzeźbionymi zadaszeniami i krytą dachówką dzwonnica wznosząca się ponad dachami miasteczka, nie kojarzył jej się z niczym dobrym. Wielbny długo co niedziela terroryzował swoich wiernych niezłomną wiarą i zasadami moralnymi wypracowanymi przez wyrzuty sumienia. Zerknęła tylko na przylegający do świątyni domek, na wąskie okienko swojego pokoju i na pusty lokal na parterze, gdzie niegdyś udzielała lekcji. Zamknęła oczy i odwróciła się szybko, po czym odeszła w stronę głównej ulicy, a za nią, krok w krok, dwie figlarne dziewczynki i pies z czarnym pyskiem.

William Pill czekał na nią za kierownicą panharda. Przez kłęby dymu z cygara uśmiechał się do tych wszystkich lat, które upłynęły szybciej niż jeden dzień dzieciństwa. Osiadł teraz w pocziwym Rochester, wrzucił do szafy strój Mac Orpheusa i żył z odsetek najzdrowiej, jak to tylko możliwe. Pearl nigdy nie chciała go w swoim domu, zbyt zajęta walką z instytucjami

albo pisaniem przenudnych powieści. Wielce wyrafinowana, przejęta zwykłą stłuczoną szklanką, uważała ponadto, że zawadza jej bardziej niż mięsożerny bizon. Przeprowadził się jednak do Rochester tylko po to, by móc spędzać z nią od czasu do czasu szczęśliwe chwile – wspominać dni pełne namiętności, zjeść dobrą kolację, spacerować brzegiem jeziora Ontario – bez innych pobudek niż chęć oddania jej przysługi, jak podczas tej pielgrzymki do Hydesville. Nie było nic malowniczego w krajobrazie tej przeklętej okolicy, gdzie dwu- lub trzykrotnie nieomal został powieszony i zlinczowany!

Pearl, wykonując zamaszysty ruch ramionami i biodrami, zasiadła obok niego, nie domagając się tym razem sterów bolidu.

– Zawieź mnie, wiesz dokąd – powiedziała.

Zwalniając hamulec, zauważył, że potrzeba zawsze kilku sekund, by zapach eleganckiej kobiety, nawet w stroju sportowym, zawładnął przestrzenią. W wypadku Pearl nie chodziło tylko o zapach, lecz o ten cały wonny wdzięk, który od niej emanował, swego rodzaju ulotne przyzwolenie – sam nie wiedział jakim cudem – na jego ku niej skłonność.

– O czym myślisz, Williamie?

– O niczym, o dawnych sprawach.

Wzdłuż drogi ciągnęły się pola, buki i jesiony kłaniały się wokół dominujących nad horyzontem wzgórz Irokezów. Dwa kilometry dalej, na Długiej Drodze, Pearl zdziwiła się na widok zaprzęgów blokujących szlak, który prowadził w stronę stawu. Wokół budynku z desek zebrał się spory tłum.

– Trwają prace remontowe – stwierdził Pill, parkując na nasypie.

– Źle mi się kojarzy to miejsce, ci wszyscy ludzie...

Zeszli bez słowa ku farmie. Nie licząc grupki ciekawskich, nic się tu nie zmieniło od blisko pół wieku. Pearl dostrzegła taflę ciemnej wody za stodołą i zadrżała. Farmerzy odwrócili się jednocześnie w stronę przybyłych, zakłopotani i podejrzliwi. Wszystko nagle jakby zamarło. Młody szeryf i niski, otyły mężczyzna w czarnym garniturze wydawali sprzeczne rozkazy robotnikom stojącym wśród szarych worków z ziemią i żwirem.

– Więc jak, wyciągamy czy nie? – warknął dziarski wąsaty mężczyzna odziany w roboczy kombinezon.

– Wyciągamy! – rozkazał niski człowieczek.

– To nielegalne – odparł szeryf. – Złożę raport.

– Może pan sobie składać wszystkie możliwe raporty, młody człowieku! Jako mer i właściciel tego miejsca domagam się ekshumacji szkieletu...

Robotnicy zabrali się do pracy w piwnicy i wkrótce wydobyli na powierzchnię wielki brezent, trzymając go za każdy z czterech rogów. Bez większych ceregieli rozłożyli go na ziemi, a oczom zebranych ukazał się kompletny ludzki szkielet, nieco tylko powykrzywiany.

Jeden z robotników wyniósł na powierzchnię kuferek kolportera i postawił go przy kościach.

– Leżał przy trupie, w zagłębieniu fundamentów. Potrzebne były naprawdę daleko posunięte prace, by na to wszystko trafić...

Chłopi, z których każdy był w jakimś stopniu grabarzem, zbliżyli się, żeby lepiej widzieć.

– Musi pochodzić co najmniej z czasów wojny o niepodległość.

– Wymyślasz! – zaprotestował stary drwal, nachylony nad czaszką szkieletu. – Dom jeszcze tu nie stał w tamtych czasach.

– Jedno jest pewne: duchy czy nie duchy, ale siostry Fox miały nosa!

Pearl zakręciło się w głowie i dotknęła ramienia towarzysza. Ten natychmiast zrozumiał, objął ją ramieniem w pasie i ruszyli oboje z powrotem.

Kiedy automobil znalazł się ponownie na drodze do Rochester, William Pill odetchnął z ulgą. I zanucił pod nosem sobie tylko znaną melodię:

They were both joyful spirits

Returned from a haunted Castel

They believed they were alive

*Death is a well-kept secret*⁵².

Pearl Gascoigne, znów w pełnej formie, przeprosiła za chwilę słabości.

– To dziwne – powiedziała – że musiało się to zdarzyć akurat dzisiaj, dziesięć lat po śmierci sióstr Fox, jak gdyby dla uczczenia jakiejś rocznicy...

– Widzę w tym znak, kochana Pearl. Wiadomość z zaświatów. Czy wreszcie uwierzysz w duchy?

– Nie bardziej niż ty, stary szarlatanie!

-
- ¹ Tłum. Marta Olszewska.
- ² Wszystkie przekłady poezji i piosenek, jeśli nie podano inaczej, pochodzą od tłumaczki.
- ³ (Z ang.) A dom mój to był w Kansas / Przeszłości mej nie musisz znać.
- ⁴ Ten i następne cytaty biblijne, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą z tzw. Biblii Warszawskiej (*Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*) przetłumaczonej przez Komisję Przekładu Pisma Świętego. Księga Joba 1,1.
- ⁵ Księga Joba 1,7–8.
- ⁶ (Z ang.) Miły młody czło-o-wiek / Żył na wzgó-ó-rzu / Miły młody czło-o-wiek / Znałem ja go do-o-brze. Autor nieznan, *Springfield mountain* w *Ballads and Folk songs of the Southwest*.
- ⁷ (Z ang.) O siostrze, o siostrze, ze mną chodź / Na dół, w głąb morza chodź. Ballada wiktoriańska, *The Two Sisters*.
- ⁸ (Z ang.) Tup, tup, tup, dziewczynki biegą / Spokojnie, drodzy towarzysze, dziewczyna wkrótce tu będzie.
- ⁹ (Z ang.) Cóż, za sto lat od teraz / Nie będę już płakał / Za sto lat od teraz / Nie będę smutny; pieśń stała się popularna dopiero dzięki wykonaniu Elvise Presleya, *A Hundred Years From Now*.
- ¹⁰ Druga Księga Samuela, 22,8–9.
- ¹¹ (Z ang.) Jak masz na imię, Mary Jane / Jaki twój numer, Ogórek.
- ¹² (Z ang.) Gdzie mieszkasz? / W grobie! / Twoja ulubiona piosenka? / *Hello maggot!*
- ¹³ (Z ang.) Dobranoc, malutka, słodko śpij / Zachowaj pierścionek na palcu, niech lśni / W różanym kółeczku, dobranoc.
- ¹⁴ Trzecia Księga Mojżeszowa 19,31.
- ¹⁵ Księga Izajasza 2,5.
- ¹⁶ Piąta Księga Mojżeszowa 18,10.
- ¹⁷ Księga Izajasza 2,10.
- ¹⁸ Trzecia Księga Mojżeszowa 20,6.
- ¹⁹ Księga Kaznodziei Salomona 9,6.
- ²⁰ Ewangelia św. Jana 16,12–13.
- ²¹ Ewangelia św. Mateusza 18,15–17.
- ²² (Z ang.) Jestem wolny / Jestem wolny, mój Panie / Jestem wolny / Obmyty krwią Baranka / Możesz mnie powalić / Ja wstanę / Jestem obmyty krwią Baranka / Pokonam cię mieczem i tarczą / Jestem obmyty krwią Baranka.
- ²³ Ewangelia św. Marka 5,2–9.
- ²⁴ Emily Dickinson, 670 (*Nie trzeba być komnatą*), tłum. Stanisław Barańczak.
- ²⁵ (Z ang.) Dom bez miłości / To puste domostwo / Ale gdzie miłość mieszka / Tam naprawdę jest dom.
- ²⁶ Pierwsza Księga Królewska 17,17.
- ²⁷ Pierwsza Księga Królewska 17,20.
- ²⁸ Pierwsza Księga Królewska 17,23.
- ²⁹ L. Chaumont, *La Marseillaise des cotillons*, 1848.

³⁰ (Z ang.) Chodźmy, bracia, chodźmy / Do Edenu miłości / Gdzie owoc życia rośnie / A śmierć nigdy nie rozdzieli miłości. Oneida Community, *Community Song*.

³¹ Księga Ezechiela 37,1–10.

³² Ewangelia według św. Jana, 11,25, Biblia Tysiąclecia, tłum. ks. Jan Drozd SDS.

³³ Edgar Allan Poe, *Opowieści nadzwyczajne. Cień*, tłum. Bolesław Leśmian.

³⁴ (Z ang.) Niech poprowadzi cię wiatr / Do domu mojego ojca / Wszyscy będziemy żyć wolni / W domu mojego ojca.

³⁵ Ta i następne kwestie: William Shakespeare, *Makbet*, tłum. Leon Ulrich.

³⁶ H.W. Longfellow, *Pieśń o Hajawacie*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Kraków 1960. Tłum. Roman Jackow.

³⁷ Tamże.

³⁸ (Z ang.) Odprowadź mnie do mojego domu, tam daleko / Dziś w nocy, po cichu, wzdłuż rzeki Potomac / Do mojej jedynej prawdziwej miłości, odległej jak dzień / Dziś w nocy, po cichu, wzdłuż rzeki Potomac. Piosenka *All Quiet Along The Potomac Tonight*, 1863.

³⁹ R.W. Emerson, *Brahned*, tłum. Stanisław Barańczak, „Kresy” 8, 1991.

⁴⁰ William Butler Yeats, *Wiatr pośród trzcin*, 1899, tłum. Leszek Engelking.

⁴¹ (Z ang.) Babilon upada, upada, upada / Babilon upada, by nie podnieść się już / Babilon upada, upada, upada / Babilon upada, by nie podnieść się już. William Stickles, *Babylon's Falling*, 1948.

⁴² (Z ang.) Jeśli kiedykolwiek będziesz mijał stare domostwo / Proszę wstąp do środka i sprawdź, czy umarłem / Wypij za naszą miłość, jeśli stwierdzisz, że nie żyję! / Lub pokochaj mnie znów, jeśli zastaniesz mnie w domu.

⁴³ William Shakespeare, *Hamlet*, tłum. Józef Paszkowski.

⁴⁴ John Keats, *Hyperion*, tłum. Jan Kasprowicz.

⁴⁵ (Z ang.) Czyń dobro jak tylko możesz. Wszystkimi środkami. Wszelkimi sposobami. We wszystkich miejscach. We wszelkim czasie, Dla wszystkich ludzi. Tak długo, jak tylko możesz. Zdanie przypisywane Johnowi Wesleyowi, angielskiemu duchownemu anglikańskiemu, teologowi, kaznodziei przebudzeniowemu, współtwórcy, wraz z bratem Charlesem, ruchu metodystycznego, a potem niezależnego Kościoła metodystycznego.

⁴⁶ (Z ang.) Hej, chłopcy, ruszamy dziś daleko / Hej-ho, hej-ho, hej-ho.

⁴⁷ (Z ang.) Wolałbym usłyszeć coś, co mnie rozśmieszy.

⁴⁸ (Z łac.) Duch porusza materię.

⁴⁹ William Shakespeare, *Kupiec wenecki*, tłum. Józef Paszkowski.

⁵⁰ (Z ang.) Dobre czasy już za nami, minęły / Śpiewając hi-diddle-diddle / A ja ciągle cię kocham, przez całe życie / Śpiewając hi-diddle-i-diddle.

⁵¹ Walt Whitman, *Kim ostatecznie jestem*, tłum. Krzysztof Boczkowski, Kraków, wydawnictwo Inter Esse 2003.

⁵² (Z ang.) Dwie to były radosne dusze / Co powróciły z nawiedzonego zamku / Wierzyły, że są przy życiu / Śmierć to pilnie strzeżona tajemnica.